Nr. 11. Poznań, dnia 18 Marca 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

Treść nr. 11-go.

Nakład 13 tysięcy.

Od Redakcyi.

„Praca" od samego założenia aż po dziś dzień niezrównaną cieszy się wśród społeczeństwa sympatyą, cieszy się licznym zastępem wiernych jej Czytelników, Zwolenników i Przyjaciół.

Czemu to przypisać należy?

Odpowiedź na pytanie to łatwa. Otóż od chwili założenia dzierży „Praca" wysoko sztandar narodowy, budzi ducha narodowego, krzewi pośród swoich Czytelników ziarno prawdziwej oświaty i nie szczędzi ofiar ni trudu, by sympatyę tę utrzymać.

Przypomnieć tylko potrzebujemy grube kary pieniężne, jakiemi w swej łaskawości za tę działalność obdarzały „Pracę" sądy pruskie. Nie dość tych kar! Do dziś nie otwarły się i na długie, smutne miesiące nie otworzą się jeszcze podwoje więzienne dla kolegi i współpracownika naszego — *Macieja Wierzbińskiego*. A iluż było redaktorów naszych poprzednio w więzieniu! Los ten nie ominął nawet założyciela, a obecnie jeszcze współwłaściciela „Pracy" — p. *Marcina Biedermanna*.

Nie oszczędziły więc sądy pruskie ani redaktorom ani jej właścicielowi żadnej przykrości; wszyscy oni kielich goryczy musieli wypić do dna, a wszystko dla tego, że „Praca" mimo wszystkiego *nic zmieniła ani o odrobinę swojego narodowego kierunku*, nie przestała ani razu *w odpowiedni a dosadni sposób* wykazywać z jednej strony *niesprawiedliwości, jakie się nam dzieją pod rządem pruskim*, a z drugiej strony nawoływać społeczeństwo, aby i ono *swych przyrodzonych i boskich praw nie tylko do życia narodowego ale i do rozwoju — nigdy i choćby w największych trudnościach się nie zrzekało.*

„Praca" uważała to sobie za swój *święty obowiązek, a spełnienie tego obowiązku stawiała wyżej od kar sądowych*, ponad wszelkie przykrości, na jakie narażało ją to, że nie umiała i nie chciała pisać inaczej jak — *prawdę bez ogródki*.

Nie zmieniło się i nie zmieni pod tym względem w „Pracy" nic. Przeciwnie — gdy bezprawia rządu pruskiego z latami stawać się będą coraz większe (nie pragniemy tego, ale zmiany na lepsze nie widzimy) — gdy władze coraz więcej wynajdywać będą środków i sposobów do uprzykrzenia nam życia na własnej naszej ziemi, jednem słowem, im większe będzie prześladowanie społeczeństwa polskiego ze strony naszych zaciekłych wrogów — tem głośniej „Praca" wołać będzie o te prawa, które się nam po Bogu i z natury jako ludziom należą, tem śmielej będzie wytykać niesprawiedliwość rządowi i jego władzom, tem otwarciej budzić będzie — ducha nadziei lepszej przyszłości.

Tak było i pozostanie i nadal pomimo zmian, jakie z konieczności zachodzić muszą w składzie redakcyi.

Powyższe oświadczenie zniewoleni jesteśmy dać dla tego, ponieważ nieprzyjaciele „Pracy" rozgłosili, jakoby kierunek jej zmienił się był ze zmianą właściciela, jakoby się zmienił ze zmianami, jakie stają się od czasu do czasu koniecznemi ze względu na ubytek sił redakcyjnych, przebywających czasowo w więzieniach.

Kierunek się istotnie nie zmienił i nie zmieni, chyba że rząd pruski naprawi wszystkie *krzywdy*, jakie społeczeństwu całemu wyrządził, i odwoła te wszystkie *prawa wyjątkowe*, jakie na zagładę żywiołu polskiego w ostatnich latach uknuł, że wymierzy nam — zupełną sprawiedliwość, to znaczy: zaprowadzi język polski we wszystkich zakładach naukowych jako *obowiązkowy*, w szkołach ludowych jako *wykładowy*, że *zniesie komisyę kolonizacyjną* i w związku z nią uchwaloną *nowelę osadniczą*, że polskie nazwy *miast i wiosek przechrzconych kulturnie* (?!) *przywróci*, że zakaże wszelakim urzędom, szczególnie policyi, urzędom cywilnym, pocztowym i kolejowym *kłucia nas śpilkami itd.*

A póty, póki rząd pruski żadnych w swoim systemie antypolskim nie poczyni zasadniczych zmian, póty „Praca" będzie stała na tem samem, co i dotąd stanowisku — mimo kar, mimo więzień, z któremi każdy nowy współpracownik „Pracy" poważnie się liczy, lecz ich się nie obawia.

Szczerze więc i śmiało możemy przy zmianie kwartału przystąpić do Czytelników naszych z prośbą, by pozostali nam i nadal wierni, możemy się do Zwolenników i Przyjaciół naszych odwołać, by „Pracę" szerzyli wśród swoich znajomych, bo „Praca" jak była tak i pozostanie nadal — pismem szczerze katolickiem i gorąco patryotycznem — narodowem.

Redakcya.

Przeciw alkoholizmowi.

Korzystając z łaskawie udzielonego mi kącika w „Pracy,"

pozwalam sobie zabrać głos w powyżej zatytułowanej sprawie, a właściwie chciałbym się podzielić z Łaskawymi Czytelnikami wrażeniem, jakie na mnie zrobił wiec niedzielny na sali Lamberta odbyty w tej sprawie. Sądzę, że szczegółowe sprawozdania z tego wieca są Łaskawym Czytelnikom znane, oświetlenie tej samej sprawy z innej trochę strony, mianowicie co czuł przeciętny śmiertelnik znajdujący się na wiecu, może również czytelnika zająć i przyczynić się do tem lepszego ocenienia działalności ludzi, którzy dla danej sprawy wiele poświęcają i wiele usiłują zrobić.

Muszę otwarcie się przyznać, że na razie nie miałem zamiaru pójść na wiec i całkiem o nim zapomniałem. Przed wieczorem wracając z zamiejskiej przechadzki natknąłem się na kilku dobrze podchmielonych i zataczających się ludzi. Obraz to przecież nie tylko świąteczny nie zwróciłby mojej uwagi, gdyby nie mowa, którą ci pijacy mówili — oni swym pijackim językiem kazili naszą piękną rodzinną mowę. Ilekroć widzę pijanego człowieka, zawsze przychodzą mi smutne refleksye, lecz kiedy ten pijak odezwie się po polsku, to jakby mi kto serce rozrywał. Toć my wybrańcy narodów, my, którzy mamy narody odrodzić, tak się upadlamy! I rozpacz w żelazne chwyta mnie ramiona i ogarnia zwątpienie w lepszą przyszłość narodu.

Widok pijaków przypomniał mi o wiecu i jak by zmusił pójść nań, więc poszedłem. Salę zastałem szczelnie zapełnioną. Szerokie barki, krzepkie, żylaste ręce zebranych powiedziały mi, że to ludzie ciężkiej, fizycznej pracy — jednem słowem tak zwani robotnicy. Twarze poczciwe a przytem rysy jakby wykute ze stali. Czekamy na mówców. Pierwszy wszedł na mównicę dr. Gantkowski. Zaczął. Mowa jego zrazu spokojna coraz potężniała. To przemawiał nie tylko lekarz objaśniający dany referat z punktu widzenia lekarskiego, lecz obywatel miłujący nadewszystko kraj rodzinny i jego lud.

Przemówienie zwięzłe, treściwe; dowodzenia tak trafne i przekonywające, a wypowiedziane przytem z przejęciem o dobro współbraci, musiały nietylko przekonać słuchaczów o szkodliwości alkoholu, lecz porównać i wzniecić w nich zapał. Gorące oklaski były podziękowaniem za przemówienie.

Drugi przemawiał ks. Niesiołowski z Pleszewa, inicyator, główny bojownik i szermierz w naszem Księstwie z tym strasznym wrogiem ludzkości — alkoholem.

Przemówienie jego trzebaby całe wydrukować w tysiącach egzemplarzy i rozdać polskim rodzinom do nauki.

Lecz co mi się najwięcej podobało w tem przemówieniu, to zwrócenie się mówcy do robotników, by oni wzięli się do walki z alkoholizmem. Wiara w to, że robotnik polski dorósł do spełnienia tej wielkiej i tak doniosłej w życiu naszego społeczeństwa roli, udzieliła się zgromadzonym.

W powietrzu unosiła się jakaś dziwna harmonijna całość, jakby tu na tej sali został zawarty ślub między ideą, którą głosił mówca, a czynem, który miał spełnić robotnik. Zapowiedzią tego czynu było wystąpienie jednego z pomiędzy braci robotniczej p. Koźmińskiego. On w imieniu robotnika polskiego dał świadectwo, że rozumie ważność i doniosłość obowiązków, które na siebie bierze, lecz przed któremi nie cofną się krzepkie jego barki, a walka z pijaństwem skończy się jego zwycięstwem. Otucha dziwna wstąpiła we mnie i zatarło się przykre wspomnienie pijanych rodaków. Otucha wytłomaczona, bo przecież to z robotnikiem polskim sprawa, a ten nie zawiedzie.

Wyzwolenie z więzów alkoholu nastąpić musi, a to będzie zadatkiem całkowitego naszego odrodzenia. Widząc jak dzięki energii i poświęceniu się kilku dzielnych ludzi, wiele się zrobiło i robi w Księstwie Poznańskiem, przyszły mi na myśl nasze nędzne wsie galicyjskie, gdzie wieśniacy cały swój dobytek zostawiają w karczmie u arendarza, a sami biedę i głód w chacie cierpią; nasze ubogie miasteczka i osady w Królestwie, gdzie rozpijaczony rzemieślnik nie może się podnieść materyalnie i moralnie, a cały ciężko zapracowany grosz niesie do szynku lub monopolu. I cały ogrom niedoli i pracy stanął mi przed oczyma i pomyślałem sobie, że czas wielki, by Królestwo i Galicya poszły za przykładem Poznańskiego i rozpoczęły walkę z pijaństwem, by cały naród jak Polska długa i szeroka wyzwolił się z pęt alkoholu i odrodził.

Po skończonym wiecu wracając do domu, nie spotkałem żadnego pijanego, co poczytałem za szczęśliwą wróżbę dla naszego wyzwolenia z uścisków tego przeklętego węża — alkoholu.

Boruta.

Miasto Poznań
w świetle statystycznem.

Wielkie poruszenie umysłów wywołała w mieście Poznaniu publikacya cyfr statystycznych jego mieszkańców przez pisma niemieckie. Ogłosiwszy cyfry wykazujące stały przyrost polskości i cofania się niemczyzny szczególnie zaś żydostwa na prowincyi, boją się formalnie pisma te postawić swe wnioski, albowiem wedle cyfr tych przyszłość należy stanowczo do nas Polaków jeżeli tylko wytrwamy na posterunku. Nie mówiąc już nic o jadem ziejącej wściekłości urzędowych lub pół urzędowych „blattów" oraz o hakatystach zawiedzionych w oczekiwaniach swojich, przytoczę tylko głos „Pos. Neueste Nachrichten," tego pisma bezbarwnego politycznie a stale ignorującego Polaków, którem „uszczęśliwia" nas berliński kapitalista pan radzca Lewiński:

„Należy przyjrzeć się dokładnie cyfrom ludności a mówią one same za siebie; komentarze do nich zbyteczne. Niezbity upadek liczebny żydostwa na prowincyi nie wyszedł na korzyść niemczyźnie; powody tej ucieczki żydów mogą być rozmaite, faktem atoli jest, że przez ubytek żydów niemczyzna na prowincyi znowu się cofnęła. Czy ubytek ten powetowany został wyparciem polskiego ludu przez niemieckich kolonistów — tego przypuszczać nie chcemy; cyfry statystyczne w przyszłości nas o tem pouczą. Dziś atoli już każdy dobrze życzący niemczyźnie zastanowić się powinien nad tem, kto i co jest powodem wzrostu polskości i jakie tego wzrostu będą kiedyś skutki!!"

Oto głos „sympatycznego" organu, którego niestety popiera bardzo wielu Polaków. W całym artykule nie ma ani jednego dla nas życzliwego słowa, a gdyby nie wzgląd na licznych polskich abonentów to redakcya nie wahałaby się wyrazić jaśniej swej ku nam niechęci. — Ten sam p. Wagner, który niegdyś wydał broszurkę „Der Pollenkoller" godzi się dzisiaj z faktem, iż pismo, które redaguje, zamieszcza ogłoszenia HKTystów, żądające bojkotu polskiego kupca i przemysłowca w czasach przedświątecznych.

Lecz wróćmy do właściwego tematu i przypatrzmy się cyfrom. Wedle Niemców zdania

ma Poznań obecnie 137,067 mieszkańców; w tem 58,552 Niemców i żydów, 78,309 Polaków i 206 głów innej narodowości. W stosunku do ostatniego liczenia ludności z roku 1900-go *wzrośli*

Niemcy o 7,129 czyli *14 procent,*
Polacy o 12,980 czyli *20 procent.*

Polacy nietylko lepiej się mnożą, ale mają także ustawiczny dorobek z całego Księstwa, w którem żyje przeszło 1.300,000 Polaków a tylko 600,000 Niemców.

Dalej pisze redakcya „Pos. Neueste Nachrichten," że

Kto z Czytelników naszych

pozyska na kwartał przyszły nowego abonenta, a więc takiego, który dotąd »Pracy« nie abonował

i nadeśle nam na dowód zapisania pisma na poczcie kwit pocztowy na **dwa egzemplarze** „Pracy“ oraz

drugostronne oświadczenie

podpisane własnoręcznie przez nowego Czytelnika,

ten otrzyma franko jako premią dla siebie i dla pozyskanego abonenta

ilustrowane

2 egz. Czarnej księgi sprzedawczyków,

zawierającej oprócz treści bardzo pouczającej także wykaz Polaków, którzy sprzedali ziemię kolonizacyi.

Proszę odwrócić!!

Administracya „Pracy“
Rycerska ul. 38.

W tem miejscu odciąć!

Es bestellt:

Herr ....

(Ort u. Wohnung) ....

für 2 Quartal 1906.

Zahl	Benennung der Zeitung	Bezugs-zeit	Betrag M.	Betrag Pf.	Bestell-geld M.	Bestell-geld Pf.
1	**„Praca“** (Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste.)	3 Monat	1	25	—	12

Es bestellt:

Herr ....

(Ort. u. Wohnung) ....

für 2 Quartal 1906.

Zahl	Benennung der Zeitung	Bezugs-zeit	Betrag M.	Betrag Pf.	Bestell-geld M.	Bestell-geld Pf.
1	**„Praca”** (Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste).	3 Monat	1	25	—	12

Oświadczenie.

Pan ...., *abonent „Pracy“, polecił mi zapisanie sobie „Pracy“ na poczcie na 2-gi kwartał 1906 r. Stwierdzam własnoręcznym podpisem, iż w ostatnim kwartale „Pracy“ nie abonowałem i że w myśl drugostronnego pisma uchodzić mogę za „nowego“ Czytelnika „Pracy“.*

.... *dnia* .... *1906.*

....

(Własnoręcznie imię i nazwisko.)

W tem miejscu odciąć:

Zeitungsbestellung.

Unfrankiert dem nächsten Briefkasten oder einem Briefträger zu übergeben!

An das

Kaiserliche Postamt

in ....

Diese Karte ist an das zuständige Postamt des Wohnsitzes des Bestellers zu adressieren.

Zeitungsbestellung.

Unfrankiert dem nächsten Briefkasten oder einem Briefträger zu übergeben!

An das

Kaiserliche Postamt

in ....

Diese Karte ist an das zuständige Postamt des Wohnsitzes des Bestellers zu adressieren.

na *10 000* mieszkańców miał Poznań:

w roku	Niemców	Polaków	ewangelików	katolików	żydów
1890	4,309	5,076	3,318	5,772	880
1895	4 698	5,280	3,242	5,952	793
1900	4,394	5,582	3,197	6,273	512
1905	4,272	5,713	3,158	6,411	424

Przed 15-tu laty zatem, twierdzi p. redaktor, było na 1000 mieszkańców 491 Niemców a 508 Polaków czyli pół na pół; dziś na 1000 mieszkańców jest tylko 427 Niemców i żydów a 571 Polaków. Katolicy urośli z 577 na 641, ewangelicy spadli z 332 na 316, żydzi z 90 na 40.

Prawdziwości cyfr tych nie zaprzeczam. Autor zestawienia popełnił atoli wielki błąd, wliczając do ludności niemieckiej cały garnizon wojskowy liczący circa 7000 głów. Wojsko nie bierze w życiu politycznem ani w życiu ustroju gminnego *żadnego* udziału; jedynie biorąc wzgląd ekonomiczny na uwagę, należałoby uwzględnić w statystyce garnizon, który dziś jest a już jutro może miasto nasze opuścić. Pozwoli tedy szanowny autor wywodów „Pos. N. Nachrichten,“ że na rok 1905 skorygują cyfry jego w sposób następujący. Od cyfry ogólnej mieszkańców 137,067 odciągniemy 7067 głów na garnizon; zostanie mieszkańców „cywilnych“ 130,000. W tem naliczono rzekomo 78.309 Polaków. Ponieważ autor przyznaje, że w Poznaniu mieszka obecnie 64 procent katolików, a statystyce wierzyć pod tym względem można, przeto wynosi liczba absolutna katolików (137,067 razy $64,_{11}$) = 87,860. Przypuśćmy, że jest w garnizonie wojskowym 860 katolików — boć tutaj *umyślnie* przysełają rekrutów ewangelików-Niemców — natenczas wynosiłaby

ogólna liczba ludności cywilnej *katolickiej* 87,000,

a ponieważ przyznało się rzekomo do polskości 78,300

przeto pozostałoby dla katolików-Niemców 8,700 dusz czyli 10 procent co się nie może zgadzać, bo ogólny procent katolików Niemców w stosunku do katolików Polaków wynosi w Księstwie *tylko 6*.

Kto zna stosunki Poznania a szczególniej stosunki parafialne ten nigdy nie przyzna, aby każdy 10-ty katolik był wśród nas Niemcem. Liczba przyznana „Polakom“ jest zatem stanowczo nieścisłą; nie mamy powodu przypuszczać, aby procent katolików Niemców był w Poznaniu silniejszy jak w całem Księstwie gdzie wynosi 6. Odliczając zatem 4 procent od 87,000 czyli 3,480 dusz zgodzimy się zapewne na to, iż katolików Niemców jest w Poznaniu 8700 — 3500 = 5200 a Polaków 78,300 plus 3500 = *81,800*.

Wróćmy teraz do obliczenia. W życiu obywatelskiem, społecznem przypada na 130 000 ludności cywilnej 81 800 Polaków i daje to 63 procent! Na 10 000 cywilnych mieszkańców jest zatem w Poznaniu Polaków 6 300, Niemców i żydów tylko 3 700, a nie 5 713 i 4 272, jak autor chciałby rzecz mylnie przedstawić.

Sięgnijmy teraz w przyszłość. Przed 15-tu laty było na 1000 mieszkańców 508 Polaków, dziś jest na 1000 cywilnych mieszkańców 630 Polaków. Zatem wynosi przyrost 12,2 procent.

Jeżeli tak dalej pójdzie, to za 15 lat będzie na 10 000 mieszkańców 7 068 Polaków a tylko 2 932 Niemcow i żydów. Przypuściwszy, że za lat 15 będzie Poznań liczył 160 000 cywilnych mieszkańców, co bardzo jest możliwem, bo przyrost ostatnich lat pięciu wynosił 11 000, wówczas będzie nas tutaj Polaków 113 000 a Niemców i żydów tylko 46 000, co jest możliwem, bo Niemców „bawi“ tu wiele przejściowo, a żydzi się „wynoszą“.

Czego potrzeba nam, aby się za lat 15-cie módz poszczycić takim rezultatem? Uświadomienia i pracy!

Uprzytomnić nam sobie należy, iż bez wielkiego przemysłu, rozwiniętego handlu i kupiectwa, bez wykształconego rzemieślnika i unarodowionego a sytego przytem robotnika polskość w Poznaniu rozwijać się nie może. Kto zatem posiada kapitały a nie zakłada je w przedsiębiorstwach rodzimych, kto wygodnie z procentów żyje, lub bawi się jedynie w egoistyczne spekulacye, na których traci może a jeżeli zarabia to tylko jako jednostka, a nie jako przedstawiciel pewnego odłamu społeczeństwa, ten sprawie naszej nie służy, ten jest po prostu pasożytem społecznym. Mamy takich pasożytów, przypominających brytana na kupie siana, kilkudziesięciu w Poznaniu.

Dalej należy nam oświecać warstwy ubogie i uczyć je poświęcenia dla sprawy. Mimo że nas jest z 15 000 obywateli uprawnionych do głosowania, a obcych 10 000, mimo to jest ich zapisanych w listach do rady miejskiej 8 500 a nas tylko 6 500. Znacznie większa połowa obywatelstwa polskiego nie jest zapisana w spisach, dla czego? Bo jest ciemna, nieoświecona lub też nieofiarna, niepatryotyczna i nie rozumie swego narodowego interesu. Rzemieślnik lub robotnik płacący mk. 4,32 podatku rocznego nie wie, że gdyby płacił mk. 7,20 to miałby prawo głosowania a wówczas cała trzecia klasa, czyli 20 radnych byłoby na ratuszu Polaków. Dziś mamy ich 11-tu, a gdy odpadną nam mandaty z przedmieść co najdalej za 2 lata nastąpić musi, wówczas pozostanie nas w Radzie miejskiej tylko 6-ciu.

Wreszcie potrzeba nam „pracy“. Dajmy ludowi chleba, dajmy mu „robotę“; zakładajmy przedsiębiorstwa, nie gromadźmy kapitałów po obcych bankach; podnośmy się ekonomicznie, kupujmy grunta a przedewszystkiem tylko „dobre“ kamienice, i tylko w środku miasta, a przyszłość musi być naszą.

Wówczas ani zamki, ani też akademie, muzea, ani sztuczne sprowadzanie urzędników nic w statystyce nie zmienią i Poznań tak jak był, tak będzie — z każdym rokiem więcej jeszcze — polskim grodem Przemysławów.

Karol Rzepecki.

Korespondencya z Galicyi.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Kraków, dnia 10-go marca 1906.

I jeszcze raz — reforma wyborcza! Trudno! Najważniejsza to obecnie sprawa dla Galicyi, górująca ponad wszystkiemi innemi, a ponieważ właśnie teraz się rozstrzyga, pisząc do was z Galicyi, o niej przedewszystkiem pisać trzeba. Dużo innych zresztą spraw z nią się pląta i łączy. Obecna jej faza tak się przedstawia:

Gdy po danym mu przez rząd czasie do namysłu, parlament austryacki zebrał się dnia 6-go b. m. na nowo, Koło polskie na pierwszem swojem posiedzeniu w dniu 5-go b. m. zajęło się projektem rządowym. Obrady trwały ośm godzin i były bardzo żywe i wyczerpujące. Większość usiłowała przeforsować uchwałę, zwracającą się wogóle przeciwko projektowi, odrzucającą go a limine. Mniejszość, tak zw. skoncentrowani demokraci, wspierani w tym wypadku przez „centrum“ ks. Pastora„ starali się przeszkodzić temu. Ostatecznie, około dwunastej w nocy przyjęto następującą uchwałę: „Koło oświadcza się za powszechnem, tajnem i bezpośredniem głosowaniem, lecz pod warunkiem, że wraz z zaprowadzeniem prawa wyborczego tego rodzaju, rozszerzoną zostanie *autonomia* krajów koronnych czyli kompetencya sejmów krajowych.“ Przymiotnik „równe“ przy określeniu prawa wyborczego o rezolucyi opuszczono, Koło bowiem było zdania, że rząd, rozdzielając nierównomiernie mandaty, sam przez to naruszył zasadę rów-

łności w zamierzonej reformie wyborczej.

Z rezolucyi tej tylko część pierwszą Koło przyjęło *jednogłośnie*. Za częścią drugą, wytwarzającą tak zwane w języku parlamentarnym austryackim „junctim“ między reformą wyborczą a rozszerzeniem autonomii krajów i sejmów krajowych, głosowali jedynie konserwatyści i narodowi demokraci, przeciwko niej zaś oddali głosy swoje skoncentrowani demokraci i centrowcy ks. Pastora. Opozycya ta uważała bowiem tego rodzaju zasadnicze połączenie jednej rzeczy z drugą za zamiar utrudnienia a nawet uniemożliwienia reformy wyborczej wogóle.

Ogólne wówczas zapanowało zaciekawienie, jak się z tej sprzeczności zdań i poglądów w Kole wywinie jego prezes, hr. *Wojciech Dzieduszycki*, któremu dano mandat przemówienia w imieniu Koła w parlamencie. Ciekawość ta zaspokojoną została na drugiem z rzędu posiedzeniu Izby. Mowa, którą w tym dniu wygłosił Dzieduszycki, była bez zaprzeczenia „wypadkiem dnia“ w parlamencie austryackim. Pod względem oratorskim wprost świetna, była ona „par exellence“ mową *opozycyjną*, opozycyjną przeciwko reformie wyborczej wogóle. Mówca z wielką erudycyą zebrał w niej wszystko — co przemawia przeciwko zaprowadzeniu powszechnego *równego* prawa głosowania, dał wyraz obawie, że rada państwa austryackiego w razie zaprowadzenia tego prawa, zależną by wprost była od socyalnej demokracyi, a w końcu raz jeszcze podniósł stanowczo żądanie, aby w takim razie wpierw wiele spraw, rozstrzyganych dotychczas przez centralny parlament, przekazano sejmom krajowym.

Hr. Dzieduszycki nie uwzględnił więc żądania mniejszości w Kole i to nowe w jego łonie wywołało kwasy i niesnaski. Na zewnątrz zaś — w sferach rządowych i w parlamencie samym mowa ta nie wywarła spodziewanego wrażenia. Jedno z demokratycznych pism galicyjskich zaznaczyło nie bez słuszności, że gdyby Koło *dawniej*, gdy chodziło o *inne* sprawy i interesy polskie i galicyjskie, było częściej uderzyło w podobny ton opozycyjny, rząd austryacki nie byłby śmiał dziś Polakom w Galicyi, zamiast należących im się 80 do 90 mandatów, ofiarować tylko 60. W chwili, gdy to piszę, rozprawy w parlamencie nad reformą toczą się w dalszym ciągu i zapewne toczyć się będą długo jeszcze, ponieważ mówców, zapisanych do głosu jest około 200! Wszystkie prawie narodowości i stronnictwa — z wyjątkiem socyalnych demokratów — wyrażają przez usta swoich mówców — *niezadowolenie* z proponowanego przez rząd podziału mandatów. Ostatecznie jednakże projekt rządowy przekazany zostanie *komisyi*, w której rozpoczną się *targi* o mandaty. Jaki los spotka go tam, trudno dziś jeszcze przewidzieć.

Te rozprawy nad reformą wyborczą poprzedziła w parlamencie dyskusya nad interpelacyami *Rusinów* i dwóch polskich *socyalistów* z Galicyi, *Daszyńskiego* i *Breitera* w sprawie owych zajęć krwawych w *Niżnowie* i w *Ladzkiem*, o których krótko tylko wspomniałem w poprzedniej mojej korespondencyi. W zajściach tych, jak wiadomo, przyszło do starcia między Rusinami, starającymi się uwolnić aresztowanych demonstrantów, a wojskiem, a w starciu tem zastrzelono kilku Rusinów. Interpelanci żądali więc z tego powodu energicznego śledztwa, a przedewszystkiem, ażeby śledztwo to przeprowadzili specyalni wysłańcy rządu, nie zaś *polscy* urzędnicy z Galicyi. Poseł Daszyński wytoczył przy tej sposobności znów liczne skargi na polską administracyą Galicyi, czem naturalnie sprawił ogromną radość Niemcom. Koło popełniło wielki błąd przez to, że przeciwko tym interpelacyom wysłało jako głównego mówcę posła i wiceprezesa Koła, Dawida *Abrahamowicza*. Poseł ten uchodzi w Izbie od czasów Badeniego, za uosobienie samowoli i gwałtu. Samo więc jego pojawienie się na mównicy rozpętało burzę w Izbie i nadało dyskusyi ramy szerokie, a niekorzystne dla Polaków. Po długich burzliwych obradach skończyło się wszystko na wyzwiskach pod adresem szlachty galicyjskiej i na wyciu radosnem Wszechniemców. Daszyński, co mu się często zdarza — nie pomógł swojem wystąpieniem sprawie, której chciał być rzecznikiem, a zaszkodził znów tylko interesom polskim. Mimowili też poparł tylko żądania tych, którzy domagają się, ażeby tego rodzaju sprawy należały wyłącznie przed forum sejmu galicyjskiego.

Galicyanin.

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

11-go marca.

Termin wyborów. — Szkolnictwo. — Los władz naukowych. — Jubileusz Promyka. — Nowe pisma. — Prasa polska na Litwie i Rusi. — Z Litwy.

Twarde warunki życia politycznego nauczyły nas znosić z godnością i spokojem coraz to nowe krzywdy, coraz to bardziej oburzające bezprawia, jakie na naród nasz spadają i jakich odwrócić nie jesteśmy w stanie. Do takich krzywd i bezprawi zaliczyć musimy *wyłączenie posłów z Królestwa* z pierwszych posiedzeń Izby Państwowej.

Nikt nie przypuszczał tej możliwości i dzisiaj jeszcze trudno z nią się pogodzić. Ogłoszenie terminu wyborów w różnych częściach Rosyi przed 10 maja, a więc przed dniem pierwszego zebrania się Izby, z wyłączeniem Królestwa — daje dużo do myślenia i smutne przewidywania powoduje.

Ogłoszono terminy wyborów dla całej Rosyi środkowej, południowej, północnej i Rusi, a pominięto Królestwo, czego wytłomaczyć nie można okolicznością, że nie jesteśmy jeszcze do wyborów przygotowani. Przeciwnie, prace przedwyborcze zaszły w Królestwie dalej, niż w caracie, gdzie prawie nie słychać nic o zjazdach, wiecach, kandydatach... Możemy się jeszcze wprawdzie pocieszyć tą myślą, iż lada dzień ukaże się nowe o nas rozporządzenie; przygotowujemy się jednakże tymczasem na zawód najgorszy, choć jak zawsze niczem nie usprawiedliwiony. Oprócz Królestwa wyłączono także Syberyę, Kaukaz i prowincye nadbałtyckie, zdaje się więc, że rząd w ten sposób chce pozbawić pierwszą Izbę znacznego zastępu posłów opozycyjnych. Najbliższa przyszłość rozstrzygnie nasze wątpliwości.

A tymczasem z coraz to większem ożywieniem rozwija się u nas akcya przedwyborcza. Wspaniały przebieg miał wiec w Płocku.

Pozatem odbyły się zebrania w Łukowie, Sieradzu i kilka w Warszawie. Wszędzie podnoszono potrzebę autonomii (samodzielności) Królestwa.

Bez przerwy, bez wytchnienia toczy się nadal walka o język polski w gminie i szkole. Ostatnie prywatne gimnazya polskie bronić się muszą przed zakusami władz, usiłujących narzucić im język rosyjski przy wykładach historyi i geografii powszechnej. Profesorowie szkół średnich handlowych, Rosyanie, gromadnie wyemigrowali do Rosyi, z chwilą spolszczenia tych zakładów naukowych. W całym kraju szkoły ludowe mają przeważnie wykład polski. W samej Warszawie znaczna część szkół miejskich pozostaje nieczynną, inne znów, z wykładem rosyjskim, są widownią nieustannych awantur. Usiłowania ze strony ludności przymusowego zamknięcia szkół takich są na porządku dziennym. A już położenie wyższych władz szkolnych jest wprost niezwykłe, bo... władz tych niema dziś

wcale! Inspektor Ławrowskiej, od chwili dymisyi gromadnej wykładającym po polsku nauczycielom — siedzi w domu i pod pozorem choroby nie pełni swych obowiązków. Jankowskij, jego pomocnik, od dwóch tygodni na urlopie się leczy od niedawnego pobicia, drugi pomocnik Orłow padł dnia 6 bm. ofiarą zamachu ulicznego. Zranił go ciężko 3-ma kulami z rewolweru robotnik Michalski. Został ujęty. Gorąco Moskalom w Warszawie.

W chwilach tych burzliwych, przełomowych, przypada 25-cio letni jubileusz cichej, spokojnej, lecz nader owocnej pracy jednego z najzasłużeńszych ludowych naszych działaczów — Kazimierza Promyka.

Surowość i spotęgowana podejrzliwość cenzury, utrudniały niepomiernie pracę Promyka. Mimo to jednak wychował on całe pokolenie ludu wiejskiego, nauczył go czytać i myśleć. „Gdyby nie „Gazeta Świąteczna'', nie byłoby nas tutaj'', powiedział jeden z uczestników wiecu włościańskiego w Warszawie. Istotnie, gdyby nie ona, wątpić należy, czy posiew „Polaka'' i demokracyi narodowej wydał by plon tak obfity.

Promyk (Konrad Prószyński) wsławił też polskie imię po świecie. Przed kilkunastu laty towarzystwo pedagogiczne w Londynie postanowiło rozstrzygnąć kwestyę, jakim dzieciom na świecie najłatwiej nauczyć się czytać. Z pośród tysięcy elementarzy z całego świata zebranych, po gruntownem, krytycznem zbadaniu, za najlepszy uznano polski Promyka i jemu przyznano nagrodę.

Elementarz ten, wprowadzający nową, wielce ułatwioną, poglądową naukę czytania, cieszy się w Polsce wielkiem rozpowszechnieniem. Rozeszło już go się 800 tysięcy egzemplarzy.

Dziś mówią o konieczności uczczenia dwudziestopięciolecia pracy Promyka. Proponują założenie seminaryum nauczycielskiego jego imienia, pomnikowe wydanie w ozdobnej szacie jego elementarza... Najlepszą chyba nagrodą dla czcigodnego jubilata byłoby rozpowszechnienie jego „Promyka'' na całym obszarze Polski, jak długa i jak szeroka, wypędzenie mroków ciemności z ubogich chat wiejskich w Królestwie.

Jak grzyby po deszczu, mnożą się zato nowe dzienniki i czasopisma. Otrzymano koncesye na wydawnictwa następujące w Warszawie: dzienniki: „Przyszłość'', „Strzała'', „Swit'' i tygodniki: „Anioł Stróż'', „Szkoła Polska'', „Sokół'', „Nowe Tory'', „Kuryer kolejowy i asekuracyjny''. Prócz tego za 5 dni wychodzić ma codziennie tanie pismo ludowe „Naród'', z dodatkami ilustrowanemi (3 i 4 ruble rocznie), stworzy ono poważną konkurencyę ugodowemu „Kuryerowi Polskiemu'', który dzięki taniości swojej był dotąd bez konkurencyi.

Nadzwyczaj szybko rozwija się i na Litwie drukowane słowo polskie. Nie posiadające przed pół rokiem jeszcze ani jednego pisma polskiego Wilno, ma dziś aż 3 polskie dzienniki i kilka tygodników. Nawet Kijów posiada swój polski organ „Dziennik Kijowski'' pod redakcyą Wł. hr. Grocholskiego.

Na Litwie i nadal zaciekle prześladowaną jest nauka polska. Oddziały wojska napadają brutalnie na licznie powstałe szkółki polskie, rozpędzają dzieci i wyrywają im elementarze, a osoby nauczające lub udzielające lokalów karane są wysokiemi grzywnami.

Prócz tego zbrojne oddziały otaczają plebanie i poddają je rewizyi, na co się skarżą w petycyach do biskupa proboszczowie.

Rozwija się tu powoli akcya wyborcza. Zebranie wyborcze w Mińsku przebieg miało uroczysty. Wybory stwierdzają, że żywioł polski w krajach zabranych ostał się mimo okropnych ciosów ubiegłego 40-lecia. Dzięki korzystnej dla nas ordynacyi wyborczej, prawie połowę mandatów z Litwy i Rusi zdobędą Polacy.

Sarmata.

Przeciwko karciarstwu.

Odezwa. Od dłuższego czasu już towarzystwo ku zwalczaniu gry hazardowej nie uważało za potrzebne, wystąpić publicznie z przypomnieniem obowiązku walki przeciw nieszczęsnej manii hazardu i karciarstwa. O ile na mocy informacyi naszych stwierdzić było można, ohydna sprawa pilska i kilka innych pomniejszych do nich podobnych w jak najszerszych kołach społeczeństwa obudziły głęboki wstręt do wszelkich praktyk karciarskich i spowodowały, iż nawet w sferach dawnym nałogom ulegających nastąpiło opamiętanie się i zapanowało ogólnie przekonanie, iż w naszych warunkach nie można tolerować hazardu choćby pozornie w jak najniewinniejszych formach występującego.

To też, kiedy na początku karnawału tegorocznego z jednej strony ukazało się oświadczenie grona obywateli wzywające do wstrzymania się od zabaw publicznych, a z drugiej strony wyrażano obawy, iż brak takich zabaw spowoduje młodzież do szukania innych rozrywek i przyczyni się do ponownego rozwielmożnienia karciarstwa, sądziliśmy, że obawy te okażą się płonnemi, że wstręt do hazardu i karciarstwa obudzony w społeczeństwie przezwycięży wszelkie pokusy działające w kierunku przeciwnym.

Niestety, jak słyszymy, obawy te jednak nie były bez wszelkiej podstawy. Dochodzą nas wieści, że w pewnych kołach towarzyskich znowu toleruje się hazard i to na wielką skalę. Z oburzeniem należy nam stwierdzić, że wciąż jeszcze istnieją u nas koła skądinąd mające pretensye do przewodnictwa w społeczeństwie, które nie mają dość siły moralnej, aby potępić surowo wszelkie zakusy hazardu i karciarstwa i oczyścić się z jednostek grom hazardowym oddanych.

Wobec tego uważamy za obowiązek swój, ponwnie podnieść nasz głos ostrzegawczy wołając:

precz z hazardem! precz z karciarstwem!

Niech każdy obywatel dobrze myślący wszędzie, dokąd wpływ jego sięga, z całą stanowczością stara się o to, aby hazard w każdej formie bezwzględnie potępiano, aby nigdzie go nie tolerowano!

Precz z hazardem! precz z karciarstwem!

Zarząd.
Tow. ku zwalczaniu gry hazardowej.

List otwarty Henryka Sienkiewicza do Polaków
ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Wspominaliśmy już niejednokrotnie o wielkiej ofiarności rodaków naszych z Ameryki na wszystkie nasze cele narodowe. Od roku, kiedy znane wypadki spowodowały wielką nędzę w Król. Polskiem, płynęły znaczne ofiary z Ameryki od tamtejszych rodaków na otarcie łez biednych braci naszych. Słusznie też, że bracia ci za ofiary te składają podziękowanie. I obrali oni sobie formę bardzo sympatyczną, bo otwarty list znanego w najodleglejszych zakątkach, gdzie Polacy przebywają, — *Henryka Sienkiewicza.* List ten dziękujący rodakom naszym z Ameryki za ich ofiarność zasługuje na to, by poznała go cała Polska. Może pobudzi on do równej ofiarności i

resztę rodaków — w kraju i na obczyźnie. Brzmi on następująco:

Rodacy!

„Komitet warszawski Pomocy dla pozbawionych możności zarobkowania,“ który powstał z połączenia się wszystkich poprzednich komitetów ratunkowych, ogłasza i będzie w dalszym ciągu ogłaszał listy ofiar, nadesłanych przez Was ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ale, oprócz obrachunków, należy się Wam coś więcej, a mianowicie, należy się Wam od całego społeczeństwa gorąca, bratnia podzięka za Waszą ofiarność, za Wasz patryotyzm i za ów ratunek, który usiłujecie nieść ludności, pozbawionej wskutek strejków chleba w ojczystym kraju.

Wiemy, że i za oceanem niewielu z Was dochodzi do dostatków i że musicie ciężko i wytrwale pracować na chleb powszedni, ale właśnie dlatego tem lepiej rozumiemy, że to, co przysyłacie, jest istotną ofiarą, jest może nieraz groszem wdowim.

Fala życiowa zaniosła Was na dalekie brzegi, ale myśli Wasze przelatują jakby ptactwo morskie ocean i krążą nad starym krajem, a serca w Waszych piersiach płoną jednaką zawsze miłością dla wspólnej nam Matki-Rodzicielki.

Więc błogosławią Was za to w Ojczyźnie nieszczęśliwi i dzięki Wam czyni kraj cały. Wiedzcie, że błogą, doniosłą i skuteczną jest Wasza pomoc i że były już chwile, w których, gdyby nie Wy, — ratunek doraźny musiałby uledz przerwie.

Cześć Wam za to, Rodacy i Rodaczki, które w tak gorących słowach odpowiedziałyście mi na odezwę, zamieszczoną w dziennikach warszawskich. Cześć tem większa, iż oświadczacie, że ofiarność Wasza nie jest dotychczas wyczerpana i że zasiłki w dalszym ciągu z Waszych pracowitych rąk płynąć będą.

Kraj ich potrzebuje, albowiem nie jedna, ale dwie klęski gniotą go ciężkiem brzemieniem: doraźna klęska głodu i druga, sroższa jeszcze, od lat całych umyślnie podtrzymywana, klęska ciemnoty, nie wolno nam było mieć szkół naszych i za przestępcę jeszcze do niedawna poczytywany był każdy obywatel, któremu leżała na sercu oświata ludu. Chciano ten lud mieć powolnem narzędziem i rozumiano to dobrze, że tylko ciemny da się prowadzić na złowrogie bezdroża, i że posiew nienawiści tylko w ciemności wzrastać może.

Dziś, ciężkie czasy nie przeszły jeszcze, ale świta nam lepsza nadzieja i zwolna spiętrza się przed nami olbrzymie zadanie, którego bezpośrednim celem jest oświata i nauka ludu.

Albowiem tylko przez naukę i oświatę stać się możemy z czasem silnym, prawym, rozumnym i rozumnie miłującym Ojczyznę narodem. Więc pomóżcie nam i w tem, drodzy Rodacy. Nie chcę Was wzywać do nowych wysiłków, bo wiem, że i tak czynicie wszystko, co możecie, ale skoro sami zapowiadacie dalszą pomoc, to pozwólcie, aby część tych Waszych groszów szła na głodnych duchowo, t. j. na nasze przyszłe ludowe szkolnictwo polskie.

Za Wasz patryotyzm, za Waszą miłość braterską, za Waszą niezrównaną serdeczną ofiarność będą Wam wdzięczne nietylko dzisiejsze, ale i przyszłe, da Bóg, szczęśliwsze od nas polskie pokolenia.

Raz jeszcze — dzięki Wam z całego serca! — i cześć także temu szlachetnemu wolnemu krajowi, który daje Wam chleb, a nie odbiera pamięci.

Henryk Sienkiewicz.

Niżej podpisany uprasza Rodaków, nadsyłających składki na szkolnictwo polskie i na głodnych w Królestwie, aby dla uniknięcia zwłoki w odbiorze pieniędzy, nadsyłali czeki płatne nie w bankach amerykańskich, ale w europejskich i pod adresem Banku Handlowego w Warszawie do rozporządzenia następujących osób: 1) niżej podpisanego, 2) Antoniego Osuchowskiego, 3) Piotra Drzewieckiego.

Henryk Sienkiewicz.

Przegląd prasy.

Senzacyjną wiadomość o *nowym rozbiorze Polski* donosi *„Słowo Polskie“*. Wieść tę otrzymało z Paryża i podaje ją z zastrzeżeniem, że jest ona mało wiarogodną, pomimo że pochodzi z zupełnie wiarogodnego źródła. Według wieści tej:

„rząd rosyjski prowadzi formalne układy z rządem *pruskim* o ustąpienie Królestwa Polskiego za wynagrodzeniem pieniężnem pod Wisłę i Narew. Pierwsza myśl powstała w czasie widzenia się Wittego z cesarzem Wilhelmem w powrotnej podróży premiera rosyjskiego z Ameryki. Obecnie agentem w tej sprawie jest między innymi Mendelsohn.

„*Z powodu tych układów nie zostały ogłoszone wybory do Dumy w Królestwie Polskiem.* Rząd rosyjski, obawiając się opinii w Rosyi i w krajach słowiańskich, umyślnie stara się wywołać zamęt i rewolucyę w Królestwie, aby wykazać, że wszelki ład w tym kraju jest niemożliwy i że tylko układy z Prusami uwolnią Rosyę od nieprzejednanego wroga wewnętrznego i zapewnią jej spokój na granicy zachodniej na długie lata.

„Z tego powodu rząd prześladuje głównie nacyonalistów, jako przeciwników rewolucyi. Co do partyi socyalnych, rząd w doprowadzeniu kraju do wybuchu liczy na glupotę Polskiej Partyi Socyalistycznej, a na świadomy udział Bundu i Socyalnej Demokracyi.

„W ten sposób również można wyjaśnić, dlaczego rząd rosyjski nie kończy z bandytyzmem w kraju, z którym rząd pruski lub austryacki skończyłby bez stanu wojennego w ciągu kilku dni.

„*Strajki rolne*, które z wolą rządu wybuchną na wiosnę, *będą tłumione tylko pozornie i odpowiednie instrukcye zostały już wysłane do gubernatorów.*

„Cesarz Mikołaj nie jest jednak dotychczas pozyskany dla układów z Prusami, mimo przedstawień, że dojście ich do skutku ulżyłoby znakomicie finansowe położenie Rosyi“

Ciekawość zaprawdę, ile to w tem wszystkiem prawdy. Najbliższa przyszłość może to już okazać.

* * *

Korzyści wstępowania do towarzystw politycznych w barwnem świetle wystawia „Dziennik Kujawski“. Wykazawszy możność i sposób urządzania w tych towarzystwach zabaw w „zamkniętem kółku“ pisze dalej tak:

„więc i Towarzystwa polityczne mogą się bawić a pod względem *oświaty narodowej więcej zdziałać, jak wszystkie inne Towarzystwa niepolityczne.* Że u nas objawia się często gęsto tak wielki brak uświadomienia narodowego, poczucia godności i spotyka się tyle przykładów zaprzaństwa narodowego, pochodzi to ztąd, że *za mało właśnie mamy Towarzystw politycznych.* Gdybyśmy ich mieli więcej i to już przed 25 laty, nie narzekanoby u nas tak ogólnie, jak dzisiaj, na upadek ducha narodowego wśród naszego mieszczaństwa i zarazę sprzedawczykowską, szerzącą się po wsiach. Jeżeli mamy już dzięki Bogu takie Twarzystwa „polityczne“ jak na przykład naszych „Sokołów“, „Straż“, Polskie „Związki zawodowe“, powinniśmy je całą siłą popierać i *wstępować do nich gromadnie* jako członkowie, — inaczej będziemy zawsze dziećmi politycznemi, kryjącemi się w myszą dziurę przed komisarzami, policyantami lub żandarmami, jak nasze maleństwa przed kominiarzami.

„W Towarzystwach politycznych poznamy przysługujące nam prawa w Prusach, nauczymy się ich używać na własną korzyść i śmiało na nich możemy mówić o naszej narodowej obronie. Że się to szowinistycznym Niemcom nie będzie podobało, to więcej jak pewno; im się

wiele rzeczy nie podoba, a najwięcej to, że chcemy być i pozostać Polakami.

„Wypełniając ściśle obowiązki prawne, jako obywatele pruscy, mamy też prawo manifestować wszędzie naszą narodowość polską i bronić jej do ostatniego tchu w obrębie praw pruskich. Uległością zaś i zaprzaństwem narodowem, nic nie wskóramy jako Polacy, bo podłością nawet i Niemiec się brzydzi.

„A więc wstępujmy śmiało do naszych Towarzystw politycznych i *nie obawiajmy się prócz Boga nikogo na świecie!*

Zupełnie piszemy się na te zapatrywania. Musimy atoli sprostować małą pomyłkę, mianowicie że Związek zawodowy Polski nie jest w tego słowa właściwem znaczeniu towarzystwem „politycznem“, ani nie w tem zrozumieniu co „Sokół“, ani co „Straż“. Związek tylko popiera interesy warstw robotniczych, a „Straż“ i „Sokół“ mają na oku sprawy całego polskiego społeczeństwa. Ta jest według naszego zdania dość ważna różnica pomiędzy wspomnianemi organizacyami.

* * *

Mazury się niemczą! Na Warmii i na Mazurach za 60 lat nie będzie Polaków! Taki sąd wydał o postępach germanizacyi na Warmii i Mazurach jakiś hakatysta. Głos jego za „Allensteiner Ztg.“ podaje *„Gazeta Olsztyńska“*. Według niej tłomaczy ów hakatysta twierdzenie swoje tak: Polacy to tylko przybysze na Warmii i na Mazurach, nigdy oni tam nie byli stałymi mieszkańcami i siedzą niejako tylko z łaski hakatystów. Środki, jakimi rząd bez wielkiego nakładu Mazurów i Warmiaków zgermanizuje, to szkoła, różne towarzystwa, którym przewodniczą osoby wpływowe jak nauczyciele itp., dalej wojsko i wędrówka w Niemcy za pracą. „Polacy — tak pisze ów hakatysta — którzy w Prusach Wschodnich mieszkają, nie opierają się wcale temu, że ich germanizujemy i gdy tak dalej pójdzie, to rząd odniesie tu wielkie zwycięstwo. Za 30 lat weźmie niemczyzna przewagę, a za 60 lat nikt u nas ani mówić, ani nawet myśleć po polsku nie będzie“.

W odpowiedzi na powyższe wywody owego zażartego hakatysty „Gazeta Olsztyńska“ zniewolona niestety przyznać mu racyę w tem, że „germanizacya robi postępy, a winni temu sami Polacy, bo za zaszczyt sobie mają, mogąc należeć do jakichś tam niemieckich „Vereinów“, radują się, gdy wokoło nich wyśpiewują niemieckie „lidry“, na ulicy przechodząc, nie witają się polskiemi pozdrowieniami, tylko albo przechodzą koło siebie jak niemowy, albo jaki „Tag“ lub „Morjen“ sobie powiedzą. A cóż dopiero w domu pomiędzy czterema ścianami, gdzie nikt nam rozkazywać nie może, a sami jesteśmy sobie panami. Matka Polka zaledwie cokolwiek „trzaska“ niemczyzną, ale dziecię już od młodości po polsku nie mówi, bo matka uczy go zaraz owej „fajniejszej“ mowy, której go nauczyciel aż nadto jeszcze nauczy. O ową „fajność“ walczy nasz ludek polski tak, że nawet sam o tem nie wiedząc, zapomina swej mowy ojczystej przekazanej mu jako skarb przez Ojców i staje się nie Niemcem i nie Polakiem, gdyż po niemiecku nie umie, a po polsku mówić się wstydzi. Tak samo ma się z oświatą. Do czytania polskiej gazety nawoływać trzeba ustawicznie, często bez skutku, ale niechno jaki Niemiec poleci jaki „blat“, to go natychmiast sobie zapisują, choć go czytać nie umieją i choćby to było pismidło wrogie Polakom, a nawet wierze św. Iluż to na przykład polskich Warmiaków trzyma sobie taką „Allensteiner Zeitung“, która za to nieomal w każdym numerze rzuca wyzwiska i obelgi na Polaków, a często gęsto nawet religii urąga? Czyż nie ma dosyć pism szczero-polskich i katolickich?“

Smutny to nad wyraz obraz położenia, w jakiem znajdują się Polacy na Warmii i na Mazurach. I zdaje się, że jeżeli nie przyjdzie im pomoc szybka i trwała, to ów hakatysta mieć będzie racyę, że po Polakach za lat 60 i ślad tam nie pozostanie.

Miejmy atoli nadzieję, że społeczeństwo nasze na tę pomoc się zdobędzie i tysiące Warmiaków i Mazurów z powodzi germanizacyi — wyratuje. Akcya w tym kierunku ma się rozpocząć wkrótce.

Z tygodnia.

Świat cały zastraszyła straszna katastrofa, jaka wydarzyła się w Courrieres we *Francyi*. W tamtejszych kopalniach węgla nastąpił w ub. piątek wybuch gazów. Skutkiem tego zawaliło się kilka szybów. Równocześnie wybuchnął pożar. W kopalni znajdowało się według pierwotnych wieści około 2000 górników, według ostatnich 2 700. Z tych wydobyto ogółem około 700, tak cyfra ofiar w ludziach waha się pomiędzy *1 200 a 2 000*. Straszne to nieszczęście.

W tej chwili pełnej grozy, która smutkiem powiała nie tylko we Francyi lecz i we wszystkich częściach świata, obejmuje nowy gabinet ster rządów francuskich.

Co?... nowy gabinet?... Tak. Istotnie gabinet *Rouviera* upadł na początku ub. tygodnia, a w jego miejsce po krótkich układach powołano na prezesa gabinetu deputowanego *Sarrien'a*, który pozyskał współpracownictwo kilku bardzo wybitnych osób między innymi *Poincare'go, Clemenceau i Brianda*. Pierwszy należy do stronnictw umiarkowanych, drugi do radykałów, a ostatni jest *socyalistą*.

W sprawie *marokkańskiej* toczyły się przez cały ubiegły tydzień układy na tle ogólnego przeświadczenia, że o ostatecznem porozumieniu już wątpić nie można. Na razie obrady zostały przerwane z powodu chwilowego zamięszania w gabinecie francuskim i celem oddania komisyi osobnej zredagowania osobnych projektów ugody.

Dziś już na pewno można powiedzieć, że z wielkiej chmury marokkańskiej nie będzie wojny francusko-niemieckiej.

Tymczasem w *Niemczech i Prusach* starają się izby poselskie o dokończenie obrad etatowych do 1 kwietnia.

Izby te poniosły w ub. tygodniu stratę w osobie posła *Eugen. Richtera*, znanego przeciwnika polityki wewnętrznej Bismarka, przywódzcy partyi wolnomyślnych. Umarł on w sobotę dn. 10 marca. Z uznaniem podkreślić należy, że zmarły potępiał ostro gwałtowną politykę germanizacyjną rządu pruskiego, sądząc, że cel ten da się osięgnąć na innej drodze. Richter był jednym z najstarszych i najzdolniejszych parlamentaryuszy w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim i słynął szczególnie jako najlepszy znawca spraw finansowych Rzeszy i Prus.

— W polityce międzynarodowej zrodziła się w tym czasie myśl, która — urzeczywistniona — mogłaby niezmierny wywrzeć wpływ na stosunki pomiędzy różnemi państwami. Wypowiedział ją podczas wywiadu osobistego (interwiew) nowy poseł japoński przeznaczony do Petersburga hr. Motony. Postawił on mianowicie pytanie, czyby wobec faktu, że Japonia zawarła z Rosyą pokój, spodziewa się, że na stałe, kiedy Francya, zawsze związana sojuszem z Rosyą, zawarła przyjaźń z Anglią, czyż nie możnaby w bliskiej przyszłości oglądać *poczwórnego przymierza francusko-rosyjsko-angielsko-japońskiego?*

Przymierze takie mogłoby bez wątpienia w polityce światowej odegrać wprost nieobliczalną rolę...... Czy atoli da się urzeczywistnić?...

To i owo.

Znana jest dobrze nam wszystkim rubryka t. zw. wydalań „uprzykrzonych“ obcokrajowców, która w Prusiech szczególną cieszy się sławą, dla tego, że największą liczbę owych wydalań stanowią — Polacy, i to dziś najwięcej *Polacy-robotnicy,* którzy z Galicyi lub Królestwa przyszli tutaj za pracą. Nowe w tej rubryce zapisała bohaterstwo policya pruska. Oto co o tem pisze nawet hakatystyczny „Berliner Tageblatt“:

„Hurtowne wydalenie polskich robotników dokonuje się obecnie na południowych przedmieściach Berlina. W Lankwitz *wyciągnięto o godzinie 11-tej wieczorem 110 ludzi z łóżek* i wywieziono ich *ostatnim pociągiem nocnym* do ich stron rodzinnych, do Polski rosyjskiej. Wczoraj odbyły się dalsze wydalania w podobnych rozmiarach. Aby przeszkodzić ewentualnym rozruchom, pościągano żandarmeryę z Lankwitz, Mariendorfu i Marienfelde. Większa część wydalonych poddaje się zresztą spokojnie rozkazowi wyjazdu, bo widzi, że wszelki opór jest daremny; tylko dwóch przy wczorajszem wydaleniu rozwścieczyło się. W pewnej restauracyi, w której nocowało 40 Polaków, potłukli wszystko w drobne kawałki. Liczni polscy robotnicy, którzy nie znajdują się jeszcze na liście wydalonych, dobrowolnie pakują manatki i odjeżdżają do kraju, aby uniknąć hurtownego transportu. Należy zaznaczyć, że polscy robotnicy pracujący przy kanale Teltowskim nie są dotknięci wydaleniem. Spotyka to prawie wyłącznie ludzi, zatrudnionych we fabrykach i na budowlach w okolicznych miejscowościach; są też między nimi i tacy, którzy na chleb zarabiają jako kelnerzy. Przyczyną wydalenia mają (!) być nieustanne *starcia* (?) między polskimi a tutejszymi robotnikami“.

Stało się to w piątek wieczorem dnia 10-go marca. Oczywiście w żadne starcia nie wierzymy, choćby dla tego, że mająca do usług swoich różne pisma urzędowe i półurzędowe policya nic o żadnych starciach nie pisała. A przypuszczać nie możemy, żeby szanowny ten urząd zaniedbał skorzystać z takiej okazyi do zrobienia — *niebezpieczeństwa polskiego!*

* * *

Walka robotnika o polepszenie swoie bytu miała dotychczas dwóch widzów, jednego czynnego, a drugiego nieczynnego. Pierwszym, to kapitaliści, którzy zwykli uważać każde ustępstwo na rzecz robotnika za własną stratę. Ustępują oni z pola walki li tylko pod naciskiem nieszczęśliwych dla siebie okoliczności.

Drugim widzem nieczynnym, to społeczeństwa, narody, wśród których walka ta się toczyła. Sympatya tych narodów w ostatnich czasach rozpoczęła się sklaniać na stronę robotnika, szczególnie gdy Kościół i państwo robotnika wzięły niejako w opiekę. Przypomnimy tutaj tylko — encyklikę Ojca św. Leona XIII w sprawie społecznej i nowoczesne społeczne (socyalne) ustawodawstwo n. p. w Rzeszy niemieckiej: zabezpieczenie na starość, od kalectwa i niemocy. Sympatya ta ograniczała się dotąd na moralnem popieraniu dążności robotnika do naprawy swego bytu. Z ram tej nieczynności wyszło w najnowszym czasie społeczeństwo *francuskie i szwajcarskie.* Donoszą świeżo pisma tamtejsze, że założone zostały w Francyi a także w Szwajcaryi t. zw. — *ligi kupujących.* Ligi te mają na celu jak najszerszą ochronę zatrudnionych w fabrykach i handlach pracowników. W tym celu obowiązani są członkowie ligi 1) nie robić nigdy zamówienia, nie przekonawszy się poprzednio, że nie pociągnie ono za sobą ani nocnej ani niedzielnej pracy, 2) unikać zamówień w ostatniej chwili, szczególnie w czasie t. zw. przeciężenia zamówieniami (na Boże Narodzenie, w czasie zmiany sezonu), 3) zakazać wszelkich odstaw zamówień po godz. 7-mej wieczorem lub w niedzielę rano, by i pośrednio nie stawać się współwinnymi przedłużania pracy dla posłańców, sprzedawaczy i uczni, 4) każdy rachunek płacić albo zaraz albo co najmniej w ścisłych terminach.

W życiu społecznem ligi te stanowią bądź co bądź nowość i budzą wielkie zainteresowanie. Rozwój ich śledzić będziemy bacznem okiem i podawać będziemy czytelnikom naszym owoce tych badań.

Do rzeczy samej odnosimy się nader sympatycznie.

* * *

Szkoda, że język nasz nie posiada przysłowia, któreby wyrażało myśl, że Kuba się cieszy jak Michała biją, a Michał cieszy się jak Kubę biją. Przysłowie to bowiem posłużyło by na określenie uczucia, nazwanego przez Niemcy „Schadenfreude“, a nie posiadającego w języku polskim odpowiedniego mianownika. Snać naród polski nie umiał się cieszyć z tego, gdy się komuś innemu działa krzywda.

Czasy porozbiorowe, a przynajmniej ostatnie czasy ucisku i pod tym względem poważne wyłaniają w słabym, słowiańskim charakterze naszym szczerby.

Nie możemy n. p. zataić uczucia jawnej radości z następującej sprawy. Otóż Węgrzy zabronili umieścić w światowym spisie stacyi telegraficznych — *niemieckich nazw miast węgierskich.*

Niemieckie pisma podnoszą wobec tego krzyk, że dzieje się krzywda niemczyźnie, że chodzi tu o międzynarodową komunikacyę, o międzynarodowy obyczaj i o międzynarodowe względy.

Akurat te wszystkie argumenty, to kubek w kubek te same, jakie posłowie polscy przytaczali w sejmie pruskim i w parlamencie niem. — na obronę prastarych polskich nazw.

Toć świeżo nawet te wszystkie argumenty nie uchroniły od podobnego losu w całem świecie znanej, znajdującej się po wszystkich spisach służących światowej komunikacyi — polskiej nazwy *Inowrocławia.*

Była z przezwania Inowrocławia swego czasu wielka uciecha u Niemców to niech będzie wolno i nam się cieszyć, że Węgrzy tak samo postępują z niemieckiemi nazwami, jak Niemcy z polskiemi. ...ciesz się Kuba, że Michała biją!.....

„Straż.“

Skutki Okólnika Najprzew. ks. Arcybiskupa zaczynają się okazywać. Z luźnych notatek w prasie i nieurzędowych wiadomości ze „Straży“ dowiedzieliśmy się, że część starostów-księży powoli ze swego stanowiska ustępowała. Pozostała garstka (5!) wiernych sztandarowi „Straży“.

Ostatniej jednak niedzieli rozeszła się po niektórych wiecach „Straży“ wieść, że Władza Duchowna wystósowała do jednego z księży-starostów nakaz, by natychmiast pod grozą narażenia się na zarzut „grzesznego nieposłuszeństwa“ urząd *starosty złożył bezzwłocznie.*

Dowiadujemy się tymczasem, że i inni księża-starostowie nakaz ten również otrzymali. Przypuszczać trzeba, że nakaz ten wydano do całej pozostałej reszty księży-starostów. Niewątpliwie, że większość księży tych urzędy swoje poskładała.

Czyby może jednak nie było dobrze, ażeby wśród tej garstki księży znalazł się *choć jeden,* któryby się nakazowi temu oparł. W takim bowiem razie sprawa poszłaby do Rzymu i tam Najwyższa Władza Duchowna zniewoloną

by była wydać sąd, czy N. ks. Arcybiskup miał prawo wydać taki Okólnik czy nie.

Tę w każdym razie społeczeństwo odniosłoby z takiego zatargu kanoniczno-prawnego księdza-starosty z Najprzew. ks. Arcybiskupem korzyść, że przekonałoby się, czy sąd jego o Okólniku tym był słuszny czy nie. Rozstrzygnięcie tej sprawy przez Ojca św. uspokoiłoby budzące się z powodu okólnika skrupuły sumienia.

* * *

Lecz nie dość jeszcze tych kłopotów. Zaczynają się przeciwko „Straży" tu i owdzie budzić poważne zapowiedzi niezadowolenia.

Za objaw niezadowolenia uważać bowiem musimy dwie na wiecu w *Kościanie* uchwalone rezolucye.

Pierwsza z nich dotyczy niewyjaśnionej i w rzeczy samej dość zawiłej sprawy sprzedaży gruntów i kamienic w miastach przez Polaków obcym.

W sprawie tej uchwalono w Kościanie rezolucyę, złożoną w ręce delegata p. *St. Zielińskiego*: *„jakie stanowisko Główny Zarząd „Straży" zająć zamyśla wobec szerzącego się w zastraszający sposób sprzedawczykostwa miejskiego"*.

Pochop do tej rezolucyi dała zapowiedź wieca „Straży" na Kościan, na którym miał przemawiać p. *Walery Łebiński*, któremu zarzucają, że sprzedał duży dom w Poznaniu obcemu.

Druga sprawa dotyczy szerzącej się w łonie grup ludowych społeczeństwa naszego do „Straży" nieufności i podejrzenia, że zasiadające w Zarządzie „Straży" osoby, które w okresie polityki ugodowej znaczną odegrały rolę w naszej polityce, że mianowicie osoby te czynności swe w „Straży" wyzyskać chcą do *swoich partyjnych celów*. Rezolucya *„protestuje* przeciwko tym zachciankom, ponieważ godzą one w charakter „Straży" jako towarzystwa bez specyalnego charakteru partyjnego". Wzywa ona równocześnie Zarząd „Straży", by odtąd „w każdym poszczególnym wypadku zajmował stanowisko bardziej odpowiadające zapatrywaniom większości społeczeństwa i zawsze stosował się do żądań, które godność narodowa nam dyktować powinna".

Rezolucya ta przyjętą nie została. W istocie to też zupełnie jest obojętne. W każdym razie jest ona pierwszym znamiennym objawem nieufności do obecnego zarządu, a podnieść należy i to, że wyszła z powiatu, który największy dla „Straży" przyspożył poczet członków i najwięcej funduszów.

* * *

Ale i na tem jeszcze nie koniec. Podaje bowiem „Gazeta Toruńska" pismo, które zarzuca „Straży", że krępuje wolność słowa.

Rzecz miała się tak. W prasie rozwinęła się obszerna dyskusya o znanym Okólniku N. ks. Arcybiskupa. Cała prasa nie godziła się na to, ażeby N. ks. Arcybiskup ukracał prawa duchowieństwa naszego do brania udziału w pracach narodowych.

Odmienne wyjątkowo stanowisko zajęła „Gazeta Toruńska", której wydawcą jest p. *Jan Brejski*. Otóż pan Brejski przyjął swego czasu urząd starosty „Straży" i jako taki ostro skrytykował zajęte przez Główny Zarząd wobec Okólnika tego stanowisko. Nie pozostało więc Zarządowi nic innego, jak zapytać się p. Brejskiego, czy opinia „Gaz. Toruńskiej" wydaną została z jego wiedzą i wolą.

Po dłuższym namyśle p. Brejski urząd starosty złożył, protestując równocześnie przeciwko „krępowaniu wolności słowa ze strony „Straży". Zarzut to bezwątpienia niesłuszny. Pan Brejski widocznie urząd swój złożył, obawiając się, że urząd ten zostanie mu legalnie odebrany.

Nie to tylko. Pan Brejski wyjaśnia w piśmie od ekspedycyi „Gaz. Toruńskiej", że Zarząd „Straży" jest *nielegalny*, bo nie wybrany ani nie zatwierdzony przez ogół. Ma p. Brejski na myśli fakt, że Zarządu „Straży" nie wybrał żaden wiec, mogący służyć za wyraz opinii społeczeństwa, lecz że wybrało go zaledwie szczupłe grono osób, do tego zaproszone przez pp. Kościelskiego, Pfitznera i dra Jaworskiego, którzy bądź to weszli do Zarządu „Straży", bądź uzyskali w niej stanowisko płatnych urzędników.

Na razie podajemy z tego wszystkiego gołe tylko fakta, oczekując stanowiska, jakie wobec spraw tych zajmie Główny Zarząd „Straży".

* * *

Wiec w Czarnkowie odbył się w niedzielę dnia 11 marca przy licznym udziale okolicznych włościan i ziemiaństwa oraz mieszczan (około 800 było na sali). Przemówienia p. *Kościelskiego* wzbudziły ogromny zapał. Oprócz prezesa „Straży" przemawiał także p. *Walery Łebiński*, redaktor Wielkopolanina. Skutek był ten, że około 300 obecnych zapisało się do „Straży". Szczęść Boże! Starosta jest p. Szuldrzyński z Prusinowa.

* * *

Wiec w Brodnicy, odbyty tego samego dnia zapełnił salę obrad około 300 uczestnikami. Cele i zadania „Straży" wyjaśnił delegat tejże p. mec. *Dr. Wład. Mieczkowski* z Poznania. Z obecnych zapisało się na członków około 120. Starostą jest p. Bardzki z Wichulca.

* * *

Wiec w Skurczu miał piękny i miły przebieg. Sala pana Rezmera była zapełniona. Przewodniczył p. Chróścielewski. Przemawiali pp. Jan Górski z Mirotek, redaktor p. Bieliński z „Pielgrzyma", redaktor p. Kowalski z „Gazety Gdańskiej", p. budowniczy Jeżewski ze Starogardu i p. Chróścielewski. Duch był dobry. Na kandydatów zapisało się przeszło 50 osób..

* * *

Wiec w Urbanowie zagaił p. *Wojciech Łagoda*, przewodniczył p. *Stef. Chociszewski*, redaktor „Postępu." Na wstępie wyraził przewodniczący ubolewanie, że nie może przewodniczyć wiecowi starosta pow. poznańsko-wschodniego — *ks. Smorawski* z Wronczyna ze względu na znany okólnik. Przemawiał p. *Karol Rzepecki*. Na członków „Straży" zapisało się 80 obecnych. Wiec zakończył się nawoływaniem kupowania „u swoich" i wskazaniem obowiązku nauczania dzieci czytania i pisania po polsku.

* * *

Wiece „Straży" odbędą się w niedzielę dnia 18-go marca b. r.

na św. Łazarzu pod Poznaniem o godzinie 12-tej na Wzgórzu św. Łazarza (Wilhelmshöhe),

w Dobrzycy o godz. 4-tej po poł. na sali p. Mikołajewskiego. (Starosta dr. Wład. Bolewski — Krotoszyn),

w Wielkiem Wysocku (w Ostrowskiem) na sali Domu katolickiego o godz. pół do 5-tej po poł. (starosta: Stefan Rowiński — księgarz w Ostrowie.

Z TEATRU.

Dzieci słońca. Maksyma Gorkijego.

Człowiek jeden i ten sam bierze zawsze początek — rodzi się. Nie zawsze jednakże koniec jest ten sam. Nie tylko człowiek umiera, kończy on życie w różny sposób.

Ktoś, którego myśl od kolebki się nie rozwinie — urodził się i skończył swój żywot. Człowiekiem nie był, żył instynktem — był zwierzęciem.

Ktoś inny wzniósł się na skrzydłach myśli i pragnień w najwyższe sfery nieba. Geniusz... oszalał i skończył. Bo w szaleństwie życia nie ma, jest tylko długich lat konanie.

Wreszcie inni, zwykli śmiertelnicy, kończą zwykłą śmiercią. Ale jak szalenie różne ich życie.

Żyje ten dla idei i zapomina o świecie, o otoczeniu, o ludziach, zapomina o własnem życiu; tamten ukochał świat; piękno i sztuka, to jego gwiazdy, prowadzą go po rozdrożach do — samotności i rozmyślania, wreszcie inny ukochał ludzi, i ludzie jego. Tylko ta jedna, którą chce dla siebie, być jego nie chce, a on kończy — na stryczku...

Brutalna to prawda życia. I jeżeli tę prawdę wziął sobie Gorkij za przedmiot swego dramatu, to jedną tylko popełnił pomyłkę — w tytule. Zdaje się bowiem, że jego „dzieciom słońca" mniej przyświeca to jasne życiodajne słońce dnia i życia, jak raczej fatalna czarna noc...

Paweł Fiedorycz Protasow, syn — mniejsza o to — generała, zapalony badacz, człowiek zupełnie poświęcony i gubiący się w dociekaniach nauk chemicznych, żyje pragnieniem stworzenia w retorcie, w której bada składniki ciał przyrody, — życia. Wydaje on się opolerowanym przez kulturę nowoczesną alchemikiem średniowiecznym, szukającym sposobu — robienia złota.

Paweł zapomina o swem otoczeniu zupełnie. Żonę swoją Helenę pozostawia samej sobie, pozwala jej oddawać się malarstwu i daje jej na nauczyciela przyjaciela swego Dymitra Sergiuszowicza Wagina. Helena czuje się osamotnioną. Zdaje się pociągać ją Dymitr, który przez nieustanne przebywanie w jej towarzystwie, rozpoznawszy jej wysokie zalety umysłu i serca, w niej się rozkochał. Ona waha się, nie rozumem, ale sercem. Decyduje się ostatecznie opuścić Pawła, lecz nie oddawać się Dymitrowi. Kiedy jednakże miała już o tem postanowieniu powiedzieć mężowi, przekonuje się, że ten ją kocha szczerze, że nie zaniedbuje jej przez obojętność, lecz przez oddanie się swojej idei stworzenia życia i swojej nauce. Pozostaje więc z Pawłem; Dymitr staje się szczerym i serdecznym przyjacielem obojga.

Obok tego rozgrywa się dramat drugi. W domu Pawła przebywa siostra Liza. Kobieta o przeczulonym wrażliwym nad miarę charakterze. Piętno na jej życiu wywarła scena rozruchów ulicznych. Krew, jaka się przy tej sposobności przelała, nienawiść wyryta na twarzach tłumu prześladuje jej wyobraźnię — robi z niej głosicielkę miłości i zaparcia się własnego ja i własnego szczęścia.

Pomimo miłości ku Borysowi Mikołajewiczowi Czepernojemu, pomimo jego nalegań — nie oddaje mu ręki.

Borys, to jedna z tych natur, które żyje życiem otoczenia. Student, później weterynarz, natura twarda, nieco gruba i rubaszna, szlachetnieje w otoczeniu Pawła i jego domu. Jego ratunkiem, to miłość do Lizy i uzyskanie jej ręki. Odmowa jej prowadzi go do samobójstwa — powiesza się...

Liza, dowiedziawszy się o jego strasznej śmierci — wpada w szaleństwo.

Przebywa także w domu Pawła — Melania, siostra Borysa. Młodą będąc i piękną, oddała się staremu lecz bogatemu handlarzowi bydła. Życie jej spłynęło w szukaniu uciech poziomych. Poznaje Pawła, szlachetność jego budzi jej miłość, otwiera przed nią nowe, olśniewające widnokręgi życia, ideę poświęcenia się dla ludzkości. Pragnie posiąść Pawła. Kobiecą przenikliwością odczuła chłodny stosunek Heleny do Pawła, od służby dowiedziała się o — rzekomym jej miłosnym stosunku do Dymitra, przypuszcza, że Helena opuści Pawła i stara się posiąść Pawła dla siebie. Wyznaje mu swoją miłość, obiecuje mu oddać cały swój majątek, dać mu możność oddania się zupełnego nauce, lecz zostaje — odtrąconą.

Sztuka nie pozbawiona jest także tła społecznego, socyalnego. Paweł uznaje bezwzględną równość ludzi. Z Jegorem, pijanicą-ślusarzem, rozmawia za pan brat i traktuje go jak brata. A ponieważ Paweł zganił mu raz, że bije żonę, Jegor później odwdzięcza mu się tem, że sprowadza na dom jego tłum rozszalały, goniący za doktorami, o których rozgłoszono, że wywołali cholerę, by mieć kogo leczyć. Życie ratuje Pawłowi Helena wystrzałem do Jegora, który dusi Pawła...

To życie.

Inna w niem poezya, aniżeli u naszych romantyków, wprowadzających na deski teatralne — królów i rycerzy, piękne damy i bohaterskie czyny.

Poezya to, odtwarzająca w naszem życiu dążności i idee, mające zbawić ludzkość, poezya pokazująca, że zaporami do tego zbawienia są ludzie i ich ciasne, nienawistne pragnienie zaspokojenia samolubnych popędów i żądz — bez myśli o jutro i o — innych.

. . . .

Wartość „Dzieci słońca" — jest to najnowszy dramat Gorkiego, grany z ogromnem powodzeniem w teatrze... w Berlinie — trudno ocenić z pierwszego wrażenia na scenie. Wydawać się może i nam się wydawał nie tak silny, jak n. p. „Na dnie życia". Przyznajemy jednakże, że sztuki Gorkiego to szczególne mają do siebie, że im częściej je się widzi, tem głębsze robią wrażenie, co raz nowe z nich nasuwają się myśli, co raz szersze otwierają poglądy na życie i jego zadanie.

. . . .

Gra artystów w ogólności była dość poprawna. Brakło jej atoli tej wypukłości i poszczególnego uwydatnienia charakterów jak przed dwoma laty w oddaniu ról z „Na dnie życia."

Sw.

Ruch w Towarzystwach.

Pierwsze sprawozdanie z czynności Biura informacyjnego „Polskiego Centralnego Komitetu Wyborczego".

Sekretarz biura tego p. dr. *Tad. Jaworski* nadesłał nam obszerne sprawozdanie, z którego wyjmujemy następujące szczegóły:

Biuro rozpoczęło czynności swoje dnia 1-go lutego 1905 r. Umeblowanie darowała firma *Dankowski i Ska.*

Do biura nadchodzą wszystkie pisma polskie — *bezpłatnie,* kosztem zaś biura abonuje się kilka wybitniejszych pism niemieckich.

Zbieranie informacyjnego materyału jest trudne i mozolne. Dzięki jednak nawoływaniom zainteresowanie biurem rosło, a z niem coraz obfitsze nadchodziły o wszelkich sprawach informacye.

Materyał ten składa się 1) z wycinków z gazet zbieranych przez Biuro oraz 2) z akt i dokumentów nadesłanych przez osoby prywatne.

Materyał ten przeznaczony jest w przeważnej części dla użytku posłów i obejmuje wszelkie sprawy dotyczące stosunku społeczeństwa polskiego do rządu i naodwrót.

Część materyału służyć ma wszelkiego rodzaju publikacyom.

* * *

Sprawozdanie z Czynności komitetu Tow. Pomocy Naukowej Im. Karola Marcinkowskiego na miasto Poznań.

W poniedziałek dnia 12-go b. m. odbyło się zebranie wspomnianego Tow. Pom. Nauk., na którem komitet przedłożył obszerne sprawozdanie, z którego wyjmujemy następujące szczegóły.

Członków liczyło Tow. na początku roku 1905		564
przybyło nowych	159	
ubyło natomiast	58	+ 101
Pozostaje na r. 1906		*665.*

Z ubywających Tow. członków umarło 14, a mianowicie: 1) *Biegański Władysław,* 2) *Białas Jan,* 3) *Gierłow-*

ski Józef, 4) *Gruszczyński Franciszek*, 5) *Gellert Nepomucen*, 6) *Patron Jackowski Maksymilian*, 7) *dr. Kalkstein Teodor*, 8) *dr. Karas Franciszek*, 9) *Knapowski Stanisław*, 10) *Pokrzywnicki M.*, 11) *dr. Rudzki Józef*, 12) *hr. Tyszkiewicz Józef*, 13) *Bartoszewski Andrzej*, 14) *Walter Jan*.

Cześć ich pamięci!

Do kasy wpłynęło z Poznania razem z 3 przedmieściami Łazarzem, Jeżycami i Wildą wogóle *mrk. 5089*. Dawniejsi stypendyaci zwrócili po doliczeniu procentów a odciągnięciu kosztów druków i portoryi — razem *mrk. 3484,26*. Ogólna więc suma dochodu komitetu z roku 1905/06 była *marek 8484,26*.

Niestety dochód ten wobec sumy zeszłorocznego dochodu mrk. 9392,94 wykazuje ubytek mrk 907,68. Ubytek tłómaczy komitet niechęcią szerszych sfer wobec Tow. Przyj. Nauk, które tłómaczą się tem, że nie należy dawać na Pomoc Naukową, ponieważ ona wspiera szlachtę. Stwierdza przeto komitet, że z 85 stypendyatów *tylko 5 (!!)* było pochodzenia szlacheckiego.

Czasby więc był, aby te podejrzenia przeciwko Tow. Pom. Naukowej ustały i ażeby sfery jak najszersze jak najliczniej doń wstępowały.

Komitet poznański w ub. roku składał się z pp. 1) dr.Hel. Święcickiego prezesa, 2 dr. Adama Karwowskiego, sekretarza, 3) Jana Sobeckiego, skarbnika, 4) Alfonsa Kolskiego, skarbnika, 5) mecenasa posła Chrzanowskiego, 6) dr. Pawła Gantkowskiego, 7) dr. Kożuszkiewicza, 8) Jarosława Leitgebra, 9) dr. Maćkiewicza, 10) dr. Smolińskiego, 11) ks. prałata posła Stychla, 12) Stanisława Stolpego, 13) Józefa Sobeckiego, 14) K. Wendlanda.

Ten sam komitet pozostaje i na przyszły rok.

Niniejszy numer jest przedostatnim w bieżącym kwartale, więc czas największy odnowić przedpłatę,

na nowy kwartał.

Każda poczta niemiecka i każdy listonosz w mieście i na wsi zobowiązany jest do przyjmowania przedpłaty każdego czasu, która wynosi na kwartał

tylko 1 m. 25 fen.

Jeżeli Czytelnik chce odbierać „Pracę“ bez zwłoki i przerwy, winien zapisać ją *jaknajwcześniej*, abyśmy mogli uregulować odpowiednio nakład.

Do Galicyi.

Szanownych naszych Czytelników *w Galicyi* i wogóle w *Austro-Węgrzech* upraszamy uprzejmie, aby zechcieli zapisać sobie „Pracę“ *na poczcie*, zamiast przesełać przedpłatę do naszej administracyi, gdyż wypadnie im to taniej, a nam oszczędzi się mozolnej przesyłki „Pracy“ w kopertach.

„Praca“ kosztuje na pocztach austryackich tylko

1 kor. 90 hal. z odnoszeniem.

Kwity pocztowe na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczone są przed inseratami pod okładką.

Pod opaską wynosi prenumerata kwartalna na „Pracę“:

w Galicyi i Austro-Węgrzech:
2 kor. 30 hal.
we Francyi i w Belgii:
4 franki
w Anglii:
3 szylingi.
w Ameryce:
1 dolar.

„Praca“ wychodzi w zeszytach bogato illustrowanych, obejmujących 5 wielkich arkuszów druku i posiada z górą 13 tysięcy abonentów, jest zatem wogóle

największym
najtańszym
i najpoczytniejszym

tygodnikiem polskim.

Upraszamy przyjaciół naszych i wszystkich, którym leży na sercu oświata szerokich mas, o polecanie i szerzenie naszego na wskroś narodowego pisma.

Numery okazowe wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Nowi przedpłaciciele otrzymają początek bardzo ciekawej, na tle ostatnich wypadków w Królestwie polskiem osnutej powieści p. t.

„Nim wzejdzie dzień.“

bezpłatnie, jeżeli nadeślą na porto znaczek 10-ciofenygowy.

Wiadomości.

* **Nową powieść rozpoczynamy** w niniejszym numerze „Pracy“. Powieść ta, zatytułowana „Nim wzejdzie dzień“ osnuta jest na tle ostatnich wypadków, jakie rozegrały się w r. 1905 w Król. Polskiem. Są to więc wypadki najświeższe, wszyscy je pamiętamy i zapewnie wszyscy jesteśmy ciekawi, co się też to tam wśród braci naszych przez ten rok działo — jak to tam było. Powieść ta w obecnej chwili jest bardzo aktualna, bo jeszcze w Królestwie „nie zeszedł dzień“, a ostatnie doniesienia poważne budzą obawy, czy aby Król. Polskie otrzyma już przyrzeczone zatwierdzone ulgi i prawa. Toż wiadomo, że n. p. poddaństwo włościan zniesiono w Rosyi już w r. 1862, w Polsce natychmiast potrzeba było krwawego wybuchu powstania w r. 1863 i 64, ażeby pod grozą wypadków zmusić cara do nadania tej samej korzyści i włościanom polskim. Czyż i teraz tak być nie może? Zapewne, że car może odroczyć przyjęcie posłów polskich do Dumy, ale dla tego jeszcze społeczeństwo polskie nie rozpocznie powstania. Czemu? — bo dziś dojrzało w twardej szkole ucisku. Tę to szkołę ucisku i proces owego dojrzewania przedstawia autor w nowej naszej powieści „Nim wzejdzie dzień“. Życzymy Czytelnikom naszym, ażeby powieść ta przysłużyła im się ku nauce i podniesieniu ducha. — Redakcya.

* **Od ks. dziekana Odrowskiego** odebraliśmy list w sprawie doniesienia korespondenta naszego, jakoby ks. dziekan iluminował w dniu srebrnego wesela cesarza i jakoby był brał udział w uroczystym obiedzie. Z listu wyjmujemy następujące sprostowanie: W referacie z Torunia *prawdą* jest tylko to, iż zezwoliłem milcząco na podpis mojego nazwiska pomiędzy komitetowych panów, urządzających obchód na cześć srebrnego wesela cesarskiej pary.

Natomiast *nieprawdą* jest 1) jakobym *brał udział* w tej biesiadzie. Tego wieczoru miałem przed tysiącami słuchaczów kazanie w kościele św. Jana na zakończenie 40-godzinnego nabożeństwa. 2) *nieprawdą* jest, jakobym brał udział *w śpiewaniu patryotycznych niemieckich* pieśni: Deutschland, Deutschl... i Ich bin ein Preusse. Nie brałem także udziału w salamandrze. 3) *nieprawdą* jest, że plebania moja była *„wspaniale iluminowana,“* bo ani wspaniale, ani skromnie, lecz *wcale a wcale* nie była iluminowaną.

Sprostowanie to umieszczamy z przyjemnością. Znaliśmy bowiem patryotyczne uczucia ks. dziekana Odrowskiego, i było nam bardzo przykro, kiedy odebraliśmy wieść, rzucającą pozory sprzeczne z tem naszem przekonaniem na ks. dziekana. Sądzimy także, że sprostowanie to da ks. dziekanowi Odrowskiemu słuszne zadośćuczynienie za przykrość, jaką wyrządziliśmy mu poprzednią wiadomością.

* **„Niebezpieczny“ katechizm.** Wyrokiem sądu ławniczego w Ostrowie skonfiskowany został „Katechizm polskiego dziecka“, który wyszedł w wydawnictwie p. Altenberga we Lwowie. Katechizm zawiera 6 obrazów kolorowych i 14 wierszy z następującemi nagłówkami: „Katechizm polskiego dziecka“, „O celu Polski“, „Modlitwa polskiego dziewczęcia“, „Cnoty kardynalne“, „Hymn majowy“, „Ziemia rodzinna“, „Legenda o garści ziemi polskiej“, „Modlitwa polskiego dziecka“, „Polska mowa, „Ojcze nasz polskiego dziecka“, „Do polskiej dzieweczki“, „Pracowity Jezus“, „...o kochać?“, „Do polskiego chłopięcia“.

* **Nie dziś to jutro**, nie ... to gdzie indziej odbędzie się zjazd. Mimowoli te słowa przychodzą na myśl, gdy czytamy wieść, że policya zakazała urządzenia zjazdu sokolskiego, jaki miał się odbyć w niedzielę dnia 11-go marca w Jarocinie dla okręgu III. Dla czego zakazała? — Otóż zjazd miał się odbyć w domu św. Józefa; według zdania policyi dom ten nie jest budynkiem, w którymby można urządzać „zebrania publiczne“. Stąd zakaz!

Naszem zdaniem policya mogłaby dziś już mieć to przeświadczenie, że wszystkie tego rodzaju zakazy bynajmniej nie przeszkodzą Sokołom w dopięciu swego celu — w tym wypadku urządzenia zjazdu. Prawda, trochę mitręgi więcej, ale policya jak niepyszna musi się wreszcie zgodzić na zjazd. I co uzyska z zakazu? — wstyd, że nie umie widzieć ani o krok dalej po za własny nos. Posłowie nasi powinni zwrócić w Berlinie uwagę na to niemądre postępowanie policyi.

* **O ukaranie hakatysty** stawił wniosek według „Rh. Westf. Ztg.“ Najprzewielebniejszy ks. arcybiskup Stablewski. Zastępca „Ostmarkenferajnu“ nazwał na publicznem zebraniu z dnia 2. XI. 1905 r. w Krefeldzie ks. Arcybiskupa „największym polskim podszczuwaczem.“ Wiadomość o tem podało niedawno jedno z pism katolicko-niemieckich. Ciekawość, czy prokurator skargę przyjmie i jaką karę sąd wymierzy za obrazę polskiego dostojnika w katolickim Kościele.

* **„Przegląd Wszechpolski“**, pismo narodowo-demokratyczne, wychodzące w Krakowie co miesiąc, donosi, że wydawnictwo swe na razie zawiesza, ponieważ współpracownicy jego zaangażowani są w praktycznej działalności politycznej w Królestwie Polskiem. „Przegląd“ zacznie później wychodzić — w *Warszawie.*

* **Przestroga.** Od *„Towarzystwa rękodzielników polsko-katolickich w Hamburgu“* odebrał „Dz. Berl.“ co następuje:

Szanowną redakcyę proszę o podanie do wiadomości naszym robotnikom polskim, aby byli ostrożni i nie dali się namówić do pracy w fabryce *Kesselschmiede-Maschienenfabrik Lange et Gerkens Altona-Ottensen.* W fabryce tej wybuchł strejk z powodu lichej płacy robotnika i nie można wiedzieć, jak długo potrwa, ale zawsze się skończy, a robotnicy, którzy teraz pracują, łamiąc strejk, pozbędą się pracy, gdy miejscowi powrócą do niej. Fabryka wysłała *dwóch agitatorów w polskie strony* celem zwabienia polskiego robotnika do złamania strejku i do pracy za lichą płacę. Zarazem uprasza się wszystkie pisma polskie o podanie tego do wiadomości naszym robotnikom, aby nie dali się złapać w sidła.

* **Do kasy** prowincyonalnego komitetu wyborczego wpłacili składkę za rok 1905 powiaty:

całkowitą: pleszewski, śremski, bydgoski wiejski, wągrowiecki, międzychodzki, rawicki, mogileński, żniński i chodzieski;

częściową: jarociński, gostyński, kępiński, szubiński, ostrowski, gnieźnieński, odolanowski, czarnkowski, krotoszyński, witkowski, obornicki i skwierzyński.

Poznań, dnia 10 marca 1906.

M. Więckowski, skarbnik.

* **Ważny wyrok.** *„Zjednoczenie“* pisze: Robotnik Antoni Gwizdek pracował u firmy Fried. Gummert i Sp., gdy został przez zarząd knapszaftowy do badań lekarskich zawezwany i na kilka dni do domu chorych posłany z powodu okaleczenia z roku 1904 na kopalni „Konstantin“ w Herne. Po powrocie do pracy odmówiła mu firma Friedr. Gummert i Sp. pracy. Gwizdek oddał sprawę sądowi procederowemu. W toku rozpraw pytał się sędzia, czy firma chce się ze skarżącym ugodzić, na co zastępca oskarżonej firmy odrzekł, że nie. Gdy wyrok zapadł na korzyść skarżącego, wtenczas dopiero chciał się zastępca oskarżonej firmy z skarżącym ugodzić, co już było zapóźno. Wyrok był następujący: Oskarżona firma musiała zapłacić za dni czternaście zarobek i koszta.

* **Teatr polski.** Z kancelaryi teatralnej otrzymujemy uwiadomienie, że w sobotę, dnia 17-go b. m. ukaże się u nas po raz pierwszy nowe dzieło Tadeusza *Kończyńskiego:* „Na wulkanie“. Już kilka sztuk tego wielce utalentowanego i sympatycznego autora miał Poznań sposobność poznać. Wymienimy tu tylko sztukę konkursową: „W burzliwą noc“ i „Otchłań“. Wszystkie utwory Kończyńskiego odznaczają się głęboką, społeczną treścią i dla tego są cenione i także zajmujące.

W niedzielę, dnia 18 b. m. po południu odegrany zostanie wspaniały utwór, pełen piękna i efektów „Zaczarowane koło“ Lucyana Rydla — ceny do połowy zniżone; wieczorem po raz drugi „Na wulkanie“ — Kończyńskiego.

* **Wyzwolenie** t. z. w. urządza w niedzielę, dnia 18-go marca w *Pleszewie* na sali hotelu Wiktorya wiec w sprawie wstrzemięźliwości. Początek o godzinie 7 i pół wieczorem. Odczyty wygłoszą: *Dr. W. Likowski:* „Co mówi nauka i doświadczenie o alkoholu? *Ks. M. Mrugas:* Umiarkowanie w piciu czy zupełna wstrzemięźliwość? — O liczny udział prosi

Główny Zarząd „Wyzwolenia“.

Dr. P. Gantkowski, prezes.

* **Koło muzyczne w Gnieźnie**, zawiązane przy Kole śpiewackiem rozwiązało się, ponieważ policya robiła mu różne trudności, zaliczając je do rzędu „politycznych“ towarzystw.

* **Berlin:** Rodzice, posyłający swe dzieci na naukę przygotowawczą do kościoła św. Piusa postanowili, że żadną miarą nie pozwolą dzieciom przystąpić razem z niemieckiemi do komunii św. dnia 27-go marca r. b. Walka o prawa języka polskiego w katolickich kościołach w Berlinie zaczyna wrzeć na prawdę.

* **Tow. „Polonia“ w Dysseldorfie** zmieniło swój lokal. Zebrania odbywają się obecnie w *Berg-Maerkischer Hof* przy narożniku ul. Vulkan i Werringer — co poniedziałek o godz. 9-tej na pierwszem piętrze.

* **Królewska Huta**, 11-go marca.

Z naszą polskością na Górnym Śląsku krucho dlatego, że brak nam gospodarzy, którzyby dla niej chcieli pracować z prawdziwem poświęceniem. Polskość albo narodowość naszą można tylko uratować na podstawie materyalnej, to znaczy: jeżeli będziemy sobie czynili coraz więcej *miejsca własnego* na ziemi w tych miejscowościach, w których jesteśmy i w których pragniemy w przyszłości pozostać. Jeżeli nie możemy istnieć jako jednostki na własnych śmieciach, koniecznie musimy dążyć do tego, aby utrzymać i oprzeć nasz byt na własności zbiorowej. Mam na myśli spółki zbiorowe wielorakiego gatunku. Jest tu na Górnym Śląsku ma-

la liczba szlachetnie myślących ludzi, którzyby chcieli coś dla ludu a przez to i dla narodowości zdziałać, lecz jest ich mało i dopiero zapoczątkowali tę pracę dla ludu, więc im to idzie ciężko i ich praca, choć z najlepszemi chęciami połączona, rwie się, rozlatuje i wywołuje niechęć do dalszego postępu w nich samych, zwłaszcza, że wielu jest tutaj rodaków, którzy ani myślą tym szlachetnym iść z pomocą, aby zbudować gmach przyszłości dla polskiej narodowości na starej polskiej ziemi. Największem nieszczęściem dla Polski było, że każdy chciał być królem. I dzisiaj jeszcze ta sama wada nas trzyma w niewolnictwie. Bo czy to musiały upaść nasze niedawno pozakładane konsumy? Dla tego upadły, że w nich każdy chciał być królem. U nas jeden drugiemu ani nie myśli pomagać, ale o ile się da, to drugiego krytykować i ganić. I to dlatego żadne przedsięwzięcia rozwinąć się nie mogą. Najbardziej boli mnie to co „Katolik" napisał z powodu rozwiązania konzumu „Unitas", że on dla tego w tej sprawie stał na uboczu, bo on wiedział, że z tym ludem nie idzie nic zrobić. Więc „Katolik" chce, aby ten lud był mędrszy jak on sam? Właśnie, że z tym ludem dotąd nie idzie nic zrobić to „Katolik" jest winien, bo przez 35 lat powinien był lepiej go oświecić. Że „Konsum" w Bytomiu musiał się rozwiązać pod nosem katolikowym to „Katolik" winien raz dla tego, że on był powinien jawnie i poufnie bytomskich rodaków zachęcać do odwiedzania składu, a po drugie „Katolik" był powinien z miłości dla swojskiej sprawy reklamować „Konsum" i pouczać swych czytelników częstemi artykułami o gospodarstwie spółkowem i jego pożytkach. Gdyby tak był „Katolik" postąpił i inne gazety tak samo, to by już dzisiaj miał „Konsum" w samym Bytomiu najmniej 3 tysiące członków.

Maruda.

* **Ilu Polaków** jest na Śląsku? Niedawno obszedł pisma polskie artykuł pewnego księdza pod tytułem: czy leży w interesie sprawy katolickiej, aby na tronie biskupim wrocławskim zasiadał Niemiec. Na podstawie liczebnej większości Polaków-katolików na Śląsku dochodził autor do przekonania, że Ojciec św. powinien energicznie popierać na tron arcybiskupi wrocławski kandydata Polaka — w obronie katolicyzmu. Dlaczego? — bo obecny arcybiskup ks. kardynał Kopp za nadto popiera dążności niemiecko-polityczne — a za mało dba o interesy kościoła samego.

Na zarzut przeciwko ks. kardynałowi Koppowi godzimy się w zupełności, nie uważamy atoli za rzecz ważną, by dziś, kiedy prawdopodobnie długie jeszcze lata życia przeznaczone mu są, postawiać kwestyę tak zasadniczą, daleko sięgającą — a na rostrzygnięcie której my Polacy najmniejszego zapewne nie będziemy mieli wpływu. — Za co jednak jesteśmy autorowi wdzięczni, to za to, że zebrał liczby Polaków z 21 powiatów śląskich, z któremi pragniemy podzielić się z czytelnikami naszemi:

Powiaty na Górnym Śląsku.

	na 1000 mieszk jest Polaków:
1) Pszczyński	882,8
2) Oleski	863,9
3) Rybnicki	843,7
4) Lubliniecki	841,0
5) Strzelecki	824,8
6) Kozielski	819,5
7) Tarnogórski	771,4
8) Bytomski wiejski	749,7
9) Zabrski	738,3
10) Opolski	701,0
11) Katowicki	697,9
12) Kluczborski	687,6
13) Gliwicki	678,7
14) Bytomski miejski	478,0
15) Prudnicki	478,1
16) Raciborski	452,4
17) Niemodliński	96,8
18) Głubczycki	57,5
W środkowym Śląsku;	
19) Sycowski	452,7
20) Namysłowski	376,6
21) Brzeski	67,4

Cały Śląsk liczy 4,224.458 ludności. Z tego jest 2,247.890 katolików, a 1,921.226 protestantów, reszta przypada na żydów, bezwyznaniowych itd.

List pasterski na Wielki Post.

(Dokończenie).

Wykonując mandat św. Stolicy Apostolskiej z dnia 31 sierpnia 1899 roku, pragnącej, aby w dyecezyach Naszych zostósować się do praktyki zachowania postów, przestrzeganej w sąsiednich Nam dyecezyach, zwłaszcza wobec ułatwionej komunikacyi i wędrówek z jednej okolicy do drugiej, udzielamy po porozumieniu się z Najprzewielebniejszym ks. Biskupem Chełmińskim, z ramienia i w imieniu Stolicy Apostolskiej na czas od Popielca 1906 roku do Popielca 1907 roku następujące dyspensy z uwagą, *że nikt nie jest zobowiązanym z tych zwolnień korzystać,* ale, jeżeli chce, może od mięsnych pokarmów, jak dotąd, tak i nadal się wstrzymywać.

1) Wolno zatem używać mleka, masła, sera, jaj we wszystkie dni postu całego roku, z wyjątkiem Piątku;

2) wolno używać tłuszczu do kraszenia potraw w dni postne, z wyjątkiem ostatnich trzech dni Wielkiego tygodnia tym wszystkim, którzy na masło nie mają, masła i oleju znieść nie mogą, lub ciężko pracować muszą;

3) wolno używać mięsa *kilkakrotnie* w soboty całego roku, z wyjątkiem *sobót Wielkiego Postu, suchych dni i wigilii, na które przypada post ścisły;*

4) wolno używać kilkakrotnie mięsa w dni krzyżowe;

5) co do Wielkiego Postu, wolno używać mięsa, lecz tylko przy *jednem* posileniu: w poniedziałki, wtorki i czwartki, z wyjątkiem Wielkiego Czwartku; w niedzielę zaś przy każdem posileniu;

Kto chce używać mięsa w dni powyżej oznaczone, nie potrzebuje odtąd udawać się po dyspensę osobną do swego duszpasterza albo spowiednika, atoli jest zobowiązanym wedle rozkazu ojca Św., w Mandacie wyrażonego, gorliwiej spełniać dobre uczynki i obfitszą *złożyć jałmużnę na ręce swego duszpasterza, albo do skarbonki,* która szczególnie w miejskich parafiach na ten cel w kościele powinna być wystawioną z napisem: *„jałmużna postna", Złożenie jałmużny wielkopostnej dowolnej pozostaje zatem ścisłym obowiązkiem.* Jałmużny te są przeznaczone na dobre cele dyecezyalne;

6) kapłani i osoby zakonne również korzystać mogą z powyższej dyspensy bez osobnych wniosków do swej władzy przełożonej;

7) słabsi, chorzy stosować się mogą pod względem postu do przepisów sumiennego lekarza.

Nadmieniamy, celem uniknienia wszelkich wątpliwości, że:

a) dyspensa ta w niczem nie zmienia obowiązku *ścisłego* postu, t. j. jednorazowego aż do sytości posilenia się w ciągu doby: w środy i piątki adwentowe, suche dni, wigilie i wszystkie dni Wielkiego postu z wyjątkiem niedziel;

b) mięsa i ryb równocześnie przy jednem posileniu w dni ścisłego postu używać nie wolno.

Oświadczamy wreszcie, że zachowanie postu wedle dawniejszego u nas zwyczaju będzie zawsze rzeczą chwalebną i pożądaną.

Ze względu na brak duchowieństwa trwać będzie Spowiedź i Komunia św. wiekanocna od czwartej niedzieli postu do trzeciej niedzieli po Wielkanocy.

Niniejszy list Pasterski będzie odczytany w miejsce kazania we wszystkich kościołach w niedzielę Zapustną (Quinquagesima).

Dan w Poznaniu w rezydencyi Naszej, dnia 12 lutego 1906 roku.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański

Floryan.

Od Redakcyi.

— *Panu Wład. Wesołowskiemu, Dysseldorf:* Zawiadomienie o wieczorku odebraliśmy za późno. Zmianę lokalu umieszczamy.

— *Panu M. Jankowiakowi w Altenbögge.* Niech się pan zgłosi do firmy: *A. Kasprowicz*, Poznań — Posen, Pl. Wilhelmowski — Wilhelmsplatz.

Górnoślązakowi. (Ig. Sp. w Gosl.) Radzibyśmy uczynili, bo myśl dobra, ale wierszyk bez rymu i rytmu. Nie nadaje się do druku.

K. A. 99. B. Najlepiej byłoby, gdyby Pan mógł zgodnie całą sprawę załatwić. W przeciwnym razie radzimy sprawę oddać adwokatowi. Uprzedzamy jednakże, że to proces dość zmudny i kosztowny. Co do zarobku, musiałby Pan również skarżyć, jeżeli matka po dobrej woli Panu nie zapłaci.

Panu Janowi Tuskowi w W. Trompkach pod Gdańskiem. — Co do spotrzebowanych znaczków nie możemy udzielić informacyi. — Początek powieści „Dla milionów“ już wyczerpany.

Panu Wawrzynowi S. w Manheimie. — Patrz sprostowanie w dziale „Nasza ofiarność,“ w zeszłym numerze.

Panu I. B. w Suderwich (Westfalia). — Za współczucie dla naszego więźnia oraz za zjednywanie nowych abonentów „dla tak pięknego polskiego pouczającego pisma,“ jak szanowny Pan pisze, serdecznie dziękujemy.

— *„Weel“ w Poznaniu.* „Chochlik“ drukarski zwykł często redakcyom płatać figla, nawet w dziełach pierwszorzędnych, drukowanych na pergaminie nieraz napotkać można błędy rażące. W tym przypadku, mianowicie co do Chińczyków, zawiniła drukarnia a winowajca otrzymał zasłużoną naganę. Zasyłamy miłe pozdrowienie.

— *Panu St. w Berlinie.* — Jestto nowelka a raczej charakterystyczny obrazek z życia emigracyi Polaków w Paryżu. Młody człowiek wyprawia z powodu złożenia egzaminu na doktora wieczorek. Rozbawione towarzystwo zapomina o troskach, śpiewa pieśni patryotyczne, tańczy tańce narodowe mianowicie siarczystego mazura a w końcu emigrant-weteran z roku 1863-go, Bolesław Limanowski, wypowiada ognistą mowę patryotyczną. Otóż treść nowelki p. t. „Polen in Paris“.

— *P. K. 100.* — Mamy wolność procederu, więc każdy handlować może czem chce, byle tylko zameldował proceder i płacił odpowiedni podatek. Co do preparatów farmaceutycznych, to zdaniem naszem trzeba mieć na to osobne pozwolenie i posiadać wykształcenie w tym fachu, by módz takiemi preparatami handlować. Najlepiej poinformuje Szan. Pana aptekarz lub drogerzysta w miejscu.

Panią Dąbrowską w Charlottenburgu prosimy o podanie ulicy i numeru domu, gdyż pocztówka zaadresowana tylko „Charlottenburg“ wróciła.

Aforyzmy.

— *Najtrudniej jest porzucić szczęście, które jest nietylko upragnione, ale i zaczęte.*

— *Rozum kończy się z chwilą, w której się ozwą zmysły, a raczej gorzej jeszcze, bo idzie w ich służbę i musi dostarczać argumentów.*

— *Silny, uporczywy charakter, oraz idąca z nim w parze pewna ciasnota umysłu jest najlepszym gruntem dla wszelkiego fanatyzmu.*

Henryk Sienkiewicz.

* *

Nie każdy, kto do sporu chętny, w stosunkach z ludźmi bywa uczciwym.

Myśl bez siły — ułudą jest i bajką. Siła bez myśli — szaleństwem i barbarzyństwem.

Gdy wiesz, że zła nowina serce komu zrani, milczenie zachowaj, aż ją kto inny przyniesie.

Każdemu jego własny rozum doskonałym się wydaje, a własny syn pięknym.

Zamożność nie na zasobach polega, ale na zadowoleniu się tem, co człowiek posiada. Łakomiec, choćby świat cały posiadł, zawsze głodnym będzie.

Kto w dniach zamożności dobrze nie czyni, ten w chwilach upadku wiele nędzy doświadczy.

Nadzwyczajny dodatek do nr. 11-go „Pracy."

W sprawie szykan pocztowych.

MOWA
posła Dr. Alfreda Chłapowskiego
wypowiedziana w parlamencie dnia 6-go marca 1906 r.

Mości Panowie!

Gdy w roku ubiegłym omawiałem tutaj nadużycia pocztowe w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, dał mi pan sekretarz stanu tę dobrą radę, by wszystkie poszczególne przypadki nadużyć podać do wiadomości kompetentnej władzy, któraby miała możność dochodzenia przyczyn, na których wszystkie podane fakta się opierają. P. sekretarz stanu chciał zatem poniekąd dać wyraz przekonaniu, że poszczególne przypadki niedomagań, zdarzających się w obrotach gospodarczych Rzeszy, nie należą przed forum wysokiej izby, i że szczególnie w administracyi poczty spowodowane bywają przez uchybienia niższych organów. Tego stanowiska my Polacy podzielać nie możemy, ponieważ trzeba się czepiać poszczególnych przypadków chcąc dowieść, że mają one tło jednolite, że ma się tutaj do czynienia z systemem z góry podyktowanym, za który odpowiada cała administracya pocztowa z panem sekretarzem stanu na czele, a w końcu, by na przykładach dowieść, że system ten nie tylko nie odpowiada, lecz nawet wprost sprzeciwia się zasadom, któremi kierować się powinna instytucya, mająca służyć użytkowi publicznemu.

Jest to ogólnie znanym i tutaj w wysokiej izbie corocznie omawianym faktem, że my Polacy od mniejwięcej 6 lat cierpimy pod niedomagającym systemem pocztowym, który wywołuje najostrzejszą krytykę i muszę tutaj niestety skonstatować, że także administracya pocztowa Rzeszy w roku ubiegłym w nader niewystarczający sposób wywiązała się ze swych zobowiązań wobec polskiej klienteli. Istoty tych niedomagań należy szukać w okoliczności, że podczas rządów Podbielskiego weszły sposobem kuglarskim (hineinjangliert) do administracyi pocztowej czynniki polityczne, które zmarły sekretarz stanu dr. v. Stephan skrzętnie omijał, które atoli obecny p. sekr. stanu mimo iż jest fachowcem niestety toleruje. Takie zachowywanie się administracyi pocztowej, a szczególnie p. sekr. stanu tem mniej daje się usprawiedliwić, ile że dla swoich osobistych zapatrywań, oraz postępowania poddanych sobie organów stworzyć nie jest zdolen podstawy prawnej. Fakt ten tutaj w wysokiej izbie tak często już był omawiany, iż wystarcza, jeżeli zupełnie pobieżnie tylko nadmienię, że ani w ustawie pocztowej z dnia 28-go paźdz. 1871 roku, ani w ordynacyi poczt. z 29-go maja 1900 r., ani też w międzynarodowej konwencyi pocztowej z dnia 15-go czerwca 1897 r. ani słówkiem o tem nie wspomniano, że przesyłek z polskiemi adresami ekspedyować nie należy, lub też, że inaczej z niemi postępować trzeba jak z przesyłkami adresowanemi w innym języku. Jeżeli listy z napisami chińskiemi, bułgarskiemi, tureckiemi znakami gdziekolwiek w Rzeszy niemieckiej nadejdą, rozumie się samo przez się, że listy takie prawie zawsze, co zresztą nie zbyt często się zdarza — bez tłomaczenia doręczone być nie mogą. Sprawa ma się atoli zupełnie inaczej, jeżeli się rozchodzi o dwujęzykowe okolice, lub takie, gdzie mniejszość, której pod względem językowym nie należy lekceważyć, jednolitą tworzy masę. W takich przypadkach ma administracya pocztowa Rzeszy, jako instytucya służyć komunikacyi publicznej, obowiązek dyktowany przez jej osobisty interes kupiecki, a w zupełności uznawany i praktykowany w każdem nowoczesnem istotnie po kupiecku prowadzonem przedsiębiorstwie na wysoką skalę, uwzględniać potrzeby i życzenia obydwóch narodowości.

(bardzo słusznie! u Polaków)

tem więcej, że przez dra Stephana przekazane tradycye na to jej zwracają uwagę.

Okoliczność, że gospodarcza instytucya Rzeszy, czem przecież poczta w pierwszym rzędzie jest, miesza się do walki narodowościowej, nie pozbawiona jest chyba pewnej znacznej dozy śmieszności. Wygląda to tak, jakby ciury obozowe kusiły się o rozstrzygnięcie nowoczesnej bitwy swemi trajkotami.

(wesołość).

Takie, atoli postępowanie administracyi pocztowej wywołuje niestety takie stosunki, które ze stanowiska sprawiedliwości, słuszności i wreszcie ze względu na dobro ogólne jako w najwyższym stopniu potępienia godne napiętnować należy, a któremu chyba jedno tylko przysługuje miano — t. j. szykany.

(bardzo słusznie! u Polaków).

Pierwszym skutkiem tej błędnej polityki pocztowej są nieuzasadnione przesiedlania urzędników polskiej narodowości w okolice rdzennie niemieckie. Dzieje się to systematycznie od kilku lat. Odbywało się więc gromadnie i w roku ubiegłym. Dawniej przesiedlano przeważnie średnich urzędników — wyższych urzędników pocztowych polskiej narodowości nie ma o ile wiem — wogóle, przynajmniej u nas — obecnie uderza się szczególnie także na niższe kategorye jak np. *szafnerów* pocztowych i listowych, którzy przesiedlanie poniekąd jeszcze boleśniej odczuwają niż urzędnicy średni. Oczywiście, muszę wszelkie przesiedlania li tylko dla przyczyn politycznych, jak najostrzej potępić, stoję atoli na tem stanowisku, że przesiedlanie urzędnikom średnim nie tyle dokucza co niższym. Tamci mają przynajmniej większe dochody, umożliwiające choćby od czasu do czasu odwiedzanie rodziny w stronach ojczystych; dzieci ich wychowują się poniekąd nie we własnym domu, szczególnie jeżeli w odnośnej miejscowości nie ma wyższego zakładu naukowego; wakacye ich trwają dłużej — czego niżsi urzędnicy nie doświadczają. Dla nich jest podróż do stron ojczystych za droga, wakacye są za krótkie, a szkodzi im się szczególnie dla tego, że żony ich częstokroć nie rozumiejące wogóle po niemiecku, zakupy dla utrzymania domu z wielkiemi stratami i niedogodnościami uskuteczniać są zmuszone.

Szczególną krzywdę wyrządza się tym urzędnikom — i to chcę podkreślić — którzy mają własny domek, parę mórg ziemi, co stanowi bardzo pożądane uzupełnienie ich wcale nie wspaniałych dochodów.

Odpowiadałoby chyba zasadom najzwyczajniejszego humanizmu, gdyby administracya poczt przy tego rodzaju przesiedleniach choćby tylko nieco wzgląd brała na stosunki familijne, wyznaniowe i majątkowe niższych urzędników. Tego atoli ani śladu niema, o ile w rachubę wchodzą urzędnicy Polacy. Przeciwnie, tych ludzi zwyczajnie pcha się w obce strony bez podania jakichkolwiek powodów, co najwyżej mówi się: w interesie służby. Że takie umotywowanie nie wytrzyma krytyki, zwłaszcza wobec urzędników, którzy nie są karani i przedewszystkiem czynności mechaniczne spełniają, leży jak na dłoni. Mógłbym tutaj panom przytoczyć cały szereg nazwisk urzędników niższych, przesie-

dlonych w rdzennie niemieckie strony ze względu na tak zwany interes służbowy, albo powiedzmy raczej ze względu na interes pruskiej polityki kresowej. Przytoczę Panom tutaj tylko jeden taki przykład. I tak przesiedlony został listowy Czcieliński z Przygodzic do Delitzsch p. Lipskiem, Cenkier do Burgu pod Magdeburgiem, Bigdowski z Mikstatu do Poczdamu, Jabłoński z Ostrowa do Kwedlinburga,, Adamski z Kościana do Koblencyi. W jego miejsce przysłano dotąd nowego rdzennie niemieckiego urzędnika. W wielkiem napięciu wyczekiwali wiejscy klienci poczty, jak też wyglądać będzie ów nowy kulturnik i jakiemi osobnemi zaletami się odznaczy. Co do mnie, zdołałem na mocy zasięgniętych informacyi jedynie tę zaletę skonstatować, że pełnił służbę w swoim uniformie boso. Czy i o ile interes służbowy na tem zyskał, nie zdolen jestem ocenić. Są to tajemnicze arkana, zrozumiałe tylko ludziom z odpowiedniem wykształceniem pocztowem,

(wesołość).

Chciałbym teraz za pozwoleniem panów pokrótce przeczytać kilka ustępów z listów, nadesłanych w ostatnim czasie przez urzędników przesiedlonych, z których najlepiej smutne położenie urzędników polskiej narodowości się wykazuje.

Chciałbym przy tem podnieść, że tylko te przypadki biorę, które uważać należy jako typowe. I tak pisze mi pewien w rdzennie niemieckie strony przesiedlony listowy:

Zostałem li tylko dla tego przesiedlony, ponieważ przy ostatnich wyborach do sejmu nie głosowałem za kandydatem niemieckim, wolałem raczej wstrzymać się od głosowania.

Człowiek ten dostał 11-go marca 1904 uwiadomienie, że już 1-go kwietnia udać się ma w dalekie strony niemieckie. Odwrotnie wystosował podanie do naddyrekcyi pocztowej w Poznaniu, w którem pisze, że żona jest chorowita i że nie chce z nim jechać, że dzieci są w nauce u rozmaitych rzemieślników i że nie można ich bez znacznych strat pieniężnych od nich odbierać, że nie podobna ich przecież zostawić bez żadnej opieki rodzicielskiej, że on sam cierpi na reumatyzm i że skoro żona z nim nie pojedzie pozostanie bez pielęgnacyi. Urzędnik ten dopiero 31-go marca o 3-ciej po poł. dostał telegram od naddyrekcyi poczt. w Poznaniu, że już następnego dnia, a więc 1-go kwietnia udać się ma na swoje nowe stanowisko. Na tem stanowisku wiedzie mu się bardzo źle, opuszczony przez żonę i dzieci, doznaje nieraz niesprawiedliwego traktowania.

Inny urzędnik pisze co następuje:

Znajduję się w rdzennie niemieckiej okolicy, gdzie kościół katolicki znajduje się dopiero w takiej odległości, że nie mogę chodzić do kościoła. W czasie mej sześcioletniej służby nie mogłem ani razu być w kościele w tak dla nas katolików ważne święto jak w dzień Bożego Ciała, ponieważ zawsze w ten dzień miałem służbę.

Tenże urzędnik konstatuje, że od 17-go grudnia ubiegłego roku do 28-go stycznia b. r., a więc okrągłe 6 tygodni, nie miał ani jednego od służby wolnego dnia, musiał więc okrągłe 6 tygodni dzień w dzień pełnić swą ciężką służbę, obarczony paczkami i mając dziennie 15 kilometrów drogi przed sobą. Dalej pisze, że położenie, w którem on się znajduje, nie jest odosobnione,, ponieważ w rzeczonej okolicy mniej więcej $^4/_5$ niższych urzędników są katolicy-Polacy.

Inny jeszcze urzędnik, pełniący służbę w prowincyi saskiej, uskarża się, że musiał opuścić swój domek i gospodarstwo swoje i że teraz z powodu tego stracił ten drobny poboczny dochód. Innego znów opuściła żona, ponieważ wcale po niemiecku nie rozumiała, i dla tego ani do kościoła ani do spowiedzi chodzić nie mogła itd.

A teraz przeczytam Panom jeszcze list już emerytowanego urzędnika, który mi się wydawał tak niesłychanym, że zasięgnąłem osobno informacyi, czy człowiekowi temu wierzyć można, co atoli jak najzupełniej potwierdzono. Chodzi tu o urzędnika już emerytowanego, który przez 42 lat poczcie służył. Ów urzędnik — mieszka on w Poznańskiem — czuł się słusznie uprawnionym do oddania głosu swego przy ostatnich wyborach do sejmu na kandydata polskiego, ponieważ tak mu sumienie nakazywało. Co dzieje się dnia następnego? Otóż dyrektor poczty w odnośnej miejscowości wzywa go do siebie, zelżył go od świni, spluwa przed nim i mówi, że to jest niesłychanem świństwem, jeżeli wogóle głosuje się na Polaka.

(Słuchajcie, słuchajcie! u Polaków.)

Cóż wynika z tych urywków?

Oto fakt, że urzędnicy nie pozwalający się traktować jako bydełko wyborcze, przesiedlani zostają, skoro jeszcze pełnią służbę, a skoro są emerytowani, znieważani i obrażani, i że poczta nie pyta się o to, czy ludzie ci przez przesiedlenie materyalnie i moralnie podupadną.

Skoro są przesiedleni, traktuje się ich jako przesiedlanych za karę, jako ludzi, o których się zupełnie zwątpiło.

Potrąciłem już o ten punkt, że obok czynników politycznych także wyznaniowe jawnie grają rolę. Nie tylko życie narodowe urzędników ma być ograniczone, ale także religijne zagrożone. Przesiedlania te popierają duchowy proces w obu kierunkach.

Osobliwsze zainteresowanie budzi tutaj także fakt, że i urzędników Niemców dzieli się według ich wyznania. I tak żali się pewne niemieckie pismo katolickie — zdaje mi się „Germania" — w wiośnie ubiegłego roku, że naddyrekcya poczty w Bydgoszczy udała się z prośbą do naddyrekcyi wrocławskiej, by przysłano do jej dyspozycyi protestanckiego asystenta pocztowego. Przyczyny tego dziwnego życzenia należy w tem szukać, jakoby tamtejsze lokalne warunki nie pozwalały na zatrudnianie urzędnika katolickiego. W tym przypadku przemawiał — o ile się zdaje — mniej moment narodowy niż wyznaniowy. Że takie postępowanie administracyi pocztowej jest — ażeby nie użyć ostrzejszego wyrażenia — w najwyższym stopniu niebezpieczne, nie potrzebuję osobno podnosić; również nie potrzebuję zaznaczać, że właśnie po polsku mówiący urzędnicy w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich są jak najodpowiedniejsi i ze stanowiska komunikacyjnej przydatności jak najkorzystniej działać mogą; każde dziecko to zrozumie. Gdyby zostawiono urzędników tych w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, nie możnaby nawet zewnętrznie usprawiedliwić swawoli, z jaką się postępuje wobec polskich nazw miejscowości, imion i nazwisk familijnych, a biuro tłomaczeń zajmowaćby się mogło podług upodobania studyami jakichbądź hieroglifów. Przesiedlania urzędników służyć mają jedynie jako pozór, że nie ma u nas urzędników, którzyby po polsku zrozumieli lub mówili. Są one tylko środkiem do celu, ażeby szykany pocztowe ułatwić i wogóle umożliwić, bawienie się z nami w ciuciu babkę.

(Bardzo słusznie! u Polaków.)

Przez szykany pocztowe, jako takie cierpią w pierwszym rzędzie nazwy miejscowości, i pozwolę sobie tutaj kilka dowodów w oryginale przytoczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jeszcze wciąż można odnawiać przedpłatę!

Prosimy odciąć.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ____________________

(Mieszkanie): ____________________

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

__________, den __________

Kaiserl. Post __________

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ____________________

(Mieszkanie): ____________________

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

__________, den __________

Kaiserl. Post __________

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ____________________

(Mieszkanie): ____________________

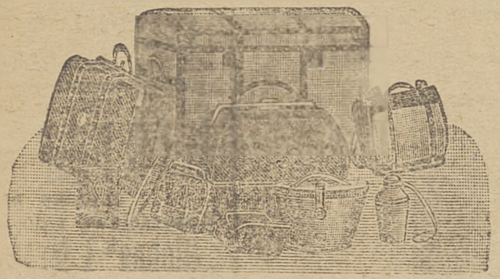
Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

__________, den __________

Kaiserl. Post __________

Najsmaczniejsze ciastka
najlepsza kawa
wyborowe wina
zawsze świeże przekąski
„Savoy“
udziałowa kawiarnia i winiarnia.
Wilhelmowska 15. 169

Fabryka kufrów i torb



98

poleca swe wyroby premiowane w Poznaniu i Lwowie.

Kufry	N. Wolniewicz,	Torby
Kufry ręczne	siodlarz kiesieniarz	Torby szkólne
Kufry fałdowe		Torby do podróży
Kufry męzkie		Torby fałdowe
Kufry damskie	**Bazar,**	Torby do pieniędzy
Kufry trzeinowe	**ulica Nowa 8.**	Torby do listów
Kufry do prób		Torby myśliwskie

szelki, portmonetki, necessery, siodła, trenzle, czapraki, koniki, piłki i poduszki skórzane.

Kaszel, chrypkę, zaflegmienie, ból gardła

usunąć można za pomocą moich znakomitych

cukierków miodowo-żywokostowych.

Cukierki te są wyrabiane z najprzedniejszego miodu akacyi i wyskoku rośliny żywokostu (Symphytum officinale.) Wyskok ten ma te zalety, że jest zupełnie nieszkodliwy a doskonały na wszelkie cierpienia w skutek zaziębienia, pochodzące u dorosłych również i dzieci. Do nabycia w paczkach po **15 fen.** i **30 fen.** w mej drogeryi, również w wielu innych drogeryach i składach kolonialnych tak w Poznaniu jak i na prowincyi. 115

Aptekarza

Z. RITTERA *Drogerya i chem.-techn. laboratoryum*

Poznań, św. Marcin 20.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego
Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do $4^1/_2$ proc.** wedle umowy. 19

ZWIĄZEK ZIEMIAN
E. G. m. b. H.
TELEFON NR. 1615.

w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia $3^1/_2$, 4 i $4^1/_2$ %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94

podejmuje się regulacyi hipotecznej,

pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,

podejmuje się administracyi majątków ziemskich

prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente“.

W seminar. Freblows. dla bon i ochroniarek jako i w szkółce dla młodszych dzieci

rozpoczyna się kurs nauk **19 kwietnia.** Zapewnia się dzieciom opiekę, naukę i stosowną do wieku rozrywkę. Po wychowawczynie i bony zgłosić się można bezpłatnie do zarządu; cena tych osób od **180 do 500 mk.** rocz. **Zgłoszenia** do semin. ustne lub piśmienne od 11—1 codziennie przyjmuje 87

Walerya Puffke, przełożona zakładu.
Długa ulica 4.

„Dzieje Polski“ przez **Baczyńskiego.** Okazałe to dzieło ma 944 stron, około 200 pięknych illustracyi: portrety królów, hetmanów, zamki, pomniki, kościoły, miasta, bitwy i 8 mapek. Dzieło napisane tak zajmująco, że się je czyta jak powieść jaką. Cena egz. brosz. **6** m., egz. karton. **7** m., egz. opr. w płótno **7,50** m. 101

Jak pisać listy? czyli **Nowy sekretarz polski.** Nowe to powiększone wydanie zawiera naukę o pisaniu listów, wzory na listy rozmaite w życiu towarzyskiem, rodzinnem, handlowem, rolniczem, dalej: **Listy znakomitych pisarzów** jak Mickiewicza, Sienkiewicza i innych. Dodany: **Spis błędów językowych i główne zasady pisowni polskiej.** — Egz. brosz. **1,60 mk.,** egz. opr. **2,00 mk.,** opłata poczty **20 fen.**
K. Kozłowski, wydawca. **Poznań,** ul. Długa 8.

UCZNIA

z odpowiedniem wykształceniem uczciwych rodziców przyjmie zaraz 139

St. Łożyński
Środa, handel tow. kolon. delikatesów win i cygar.

Szkockie śledzie,

śledzie opiekane, sardynki w oliwie, najlepszy olej do jedzenia, margarynę
we wszelkich gatunkach,
naftę czystą amer., mięszaną, salonową z dostawą na bieżące i późniejsze term.
Smołę i papę na dachy oraz carbolineum
poleca
po tanich cenach hurtownych
Maciejewski & Co.
Szczeciński hurt. handel śledzi i nafty
Poznań (Posen) W. Garbary 23.
Telefon 872. 97
Adr. do list. Maciejewski & Co., Posen.
Adr. do tel.: Heringsgrossist, Posen.

Biuro prawnicze
Jasielskiego w Poznaniu
ulica Wodna l. 4, I p.

spisuje **kontrakty** (mianowicie z wymiarami), skargi, podania do wszelkich władz, **obrony** w sprawach karnych, informacye w sprawach procesowych, **reklamacye** co do podatków i wojskowości, testamenta, reguluje hipoteki i spadki i zaciąga pożyczki landszaftowe i bankowe. 73

Najtaniej
można zakupić 529
fuzye
do polowania
w fabryce
P. Kleszczewskiego
w Metzu.
Cenniki bezpłatnie.
Adres: **Kleszczewski, Gewehrfabrik, Metz.**

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

I.

Noc była jasna, gwiaździsta, przepojona zapachem wrzosów, zimna noc październikowa, tak przezroczysta że widnokrąg niebieski zdawał się rozszerzonym do nieskończoności, tak cicha, że słychać było łopotanie ćmy dobijającej się do jedynego oświelonego okna w dworze Męcińskim. Na tle tego okna widniała sylwetka młodego mężczyzny, o inteligentnym, energicznym profilu i bujnych jasnych włosach. Rozmawiał z drugim młodzieńcem, zatrzymującym się przed nim co chwilę, wysmukłym, lecz drobnym, o głowie i rysach prawie kobiecych.

Okno to oświetlone i zarysowujące się na niem sylwetki, obserwował z podełba kudłaty Pietrek Okraj zakładający parę kasztanów do lekkiego wózka węgierskiego, powoli przeciągając się i poziewając. Konie niecierpliwiły się, przestępywały z nogi na nogę, przeszkadzając mu w zakładaniu orczyków. Uspakajał je rzucaniem przez zęby: „stój ścierwo!“ A po chwili, zapinając sprzączki mruczał z niezadowoleniem: „Włóczyć się po nocy!... czort wie po co i na co!... Upolujem co, tyle co zeszłej środy...“ Drgnął, bo światło z okna, padające jasnym kwadratem na ścianę stajni, zgasło nagle. Wsiadł na kozioł, ujął lejce i wolno podjechał pod boczne drzwi dworu. Otworzyły się niebawem. Znowu lunęło światło brutalną smugą uwydatniając w najdrobniejszych szczegółach postacie dwóch mężczyzn w myśliwskim rynsztunku.

Pierwszy okazały, tęgi blondyn, niósł świecę wysoko, oświetlając drogę postępującemu za nim młodzieńcowi.

— Pietrek, jesteś? zapytał wpatrując się w ciemność.

— Jestem, proszę dziedzica, odparł Pietrek, podjeżdżając jeszcze kilka kroków.

— Siadaj, Wacek, rzekł dziedzic, przepuszczając przed sobą towarzysza.

Młodzieniec lekko wskoczył na bryczkę, na której zajął tak mało miejsca, że dziedzic mógł rozsiąść się wygodnie, okazując przytem więcej troskliwości dla swej dubeltówki niż dla towarzysza.

Psy z wielkiem ujadaniem przeprowadziły ich kawał za wrota. Przez chwilę jechali w milczeniu. Mijali czworaki dworskie, gdy uwagę jadących zajął mężczyzna, który wyszedłszy z sieni, przytulił się do ściany, jakby chciał się zrobić niewidzialnym.

— Kto to? zapytał dziedzic, wychylając się z bryczki.

— Nic.... to Antek Konar, odrzekł Pietrek z kozła.

— A czemuż to się włóczy po nocy?

— U Kazimirki pewnie był.

— Oj ta Kazimirka!... Warto by ją wyrzucić ze wsi!

— O pewno!... To jucha!... Ino obraza Boska, a zły przykład dla innych kobiet.

— Któż to ta Kazimirka? zapytał milczący dotąd Wacław.

— Żolnierka, odparł lakonicznie Pietrek.

— Ladacznica, która raz w raz z innym się bałamuci.

— Ładna moralność tych co ją bałamucą, choć ma męża.

— Kiej mąż we wojsku, odparł filozoficznie Pietrek.

— To dlatego wolno ją bałamucić? — zapalił się Wacław. — A gdybyś ty pieniądze u siebie w domu zostawił, a ktoś, korzystając z twej nieobecności, przyszedł ci je zabrać, to powiedziałbyś, że dobrze zrobił?

— Ja by pieniędzy nie ostawił ludziom na oskomę. A głupi każdy co żonę przede wojskiem bierze; babsko rozłakomi, a potem ostawi.

Roześmieli się wszyscy trzej zdrowym, młodym śmiechem.

— A tyś żonaty?

— Żeniaty.

— A wojskowość odsłużyłeś?

— Już pięć roków, jakiem wyszedł.

— No to wolno ci z innych się śmiać, odezwał się dziedzic.

— A czy żaden z tych, co ją bałamucą nie pomyśli sobie, że jak ów Kazimierz z wojny wróci może niejednemu kije sprawić? Po chwili milczenia wrócił do pierwotnego tematu Wacław.

— Gdzie on tam wróci! Na wojnie już osiem miesięcy.

Zrobiła się cisza, jakby nagle jakaś przykra mara wśród nich się zjawiła. Upłynęła długa chwila. Wacław wyjął papierosy, częstując towarzysza.

— Zimno psiakość, aż palce zgrabiały.

— Masz tu pled, okryj się.

— Dziękuję ci.

Błękitny dymek papierosów rozpływał się w powietrzu, oświetlony płomykiem żarzącego się tytuniu. Po chwili Wacław znowu przerwał milczenie.

— Jasiek?

— Co.

— Myślę sobie, że może za miesiąc będę już gdzie na polach Mandżuryi.

— Jan westchnął.

— Pietrek, — odezwał się znów Wacław. — Czy ty wiesz, że teraz prowadzi się wielka wojna?

— Ady wiem, Apończyki z naszymi.

— Z Rosyanami, poprawił Jan.

—Naszych tam moc, westchnął Wacław. No i co ty myślisz o tej wojnie? — zapytał znowu po chwili.

— A no myślę, że się z sobą biją, jak się spotkają; ten — tego, ten — tego, kto kogo może.

— Nie o to pytam, ale czy sobie wyobrażasz, że to źle, czy dobrze dla nas?

— Co ma być źle, albo dobrze, kiej to tak daleko.

— Toś ty nigdy nie zastanawiał się nad tem, jaki to wielki wpływ ma na nasze losy? Z jednej strony nieszczęścia jednostek, bo dziesiąta część wojska to nasi, Polacy, polski chłop, polski pan. Z drugiej strony powodzenie, bo ta Rosya dotąd bita, bita bezwątpienia i nadal, wstrząsana niesnaskami wewnętrznemi, stanie się słabą, a ze słabą my.... silni duchem......

— Czy ty myślisz, że on cię rozumie? — szepnął Jan.

Wacław rzucił się na siedzeniu, potem cisnął papierosa i wyciągnąwszy przed się ramiona aż stawy trzasły, szepnął zmartwiony.

— Nie umiem z nimi mówić! Nie umiem! Wycho-

wany w mieście klasę robotniczą znam, jak siebie samego; tych nie! Nie umiem do nich trafić, ale ich kocham i poznam, boć z nimi żyć mi przyjdzie, a wy, co ich znacie, ciągle obcując z nimi, nie wyzyskujecie okoliczności wcale a wcale!

— My też pracujemy, — odparł spokojnie Jan. — Rozwijamy w nich poczucie obowiązku, moralności, staramy się podnieść dobrobyt — to grunt. Słowem z naszym ludem zrobi się bardzo mało; nieprzepuszczalną oponę otaczającą ich mózgi, może albo przerwać nagle jakiś fakt wstrząsający, albo rozpuszczać przez dziesiątki lat słońce oświaty, zdobywające swe panowanie milimetrowemi posunięciami.

Znowu przeszła chwila milczenia. Ale Wacław widocznie nie rezygnował.

— Więc tyś nigdy nie myślał o tem, Pietrek, że ten Moskal, co teraz bije się z Japończykami, to nasz wróg?

Pietrek ramionami wzruszył.

— No, a komu ty życzysz zwycięstwa?

— Niby jak?

— To jest, jak wolałbyś żeby kto kogo pobił, Moskal — Japończyka, czy Japończyk — Moskala?

— Mnie tam ani jeden, ani drugi nie da nic z tego co dostanie! Abo to ja ich znam!

— Jakto?! A nie byłeś to w wojsku? Gdzieś odbywał służbę?

— W Elizawetgradzie.

— No, tam byłeś przecie między samymi ruskimi.

Pietrka twarz rozjaśniła się nagle.

— Dobre ludzie, — zawołał. — Jak się upije, leży jak bela, ale zagrać na harmonii, to żeby był, jak tam mówią „do śmierti pijan“ wstanie i tańcuje trepaka, a temi nożyskami będzie tak przebierał, jak w młocarni.

Wacek syknął.

— Jak swoją robotę skończy, — ciągnął dalej Pietrek, — to cały dzień nie przestaje siemieczki*) jeść. Wkoło nich to tak łuskowin naplute, że człowiek chodzi jak po grochowinach.....

— Ale miałeś przecie oficerów, też „takie dobre ludzie byli?“ — przerwał niecierpliwie Wacek.

— Niczego; podoficer też pijanica.... ale dobry, nieraz fundował.....

— A miło ci, że dzieci chodzą do ruskiej szkoły? że z gminy przysyłają papiery, z których nic nie rozumiesz?

— Moje dzieciska małe jeszcze. Po sądach się nie włóczę....

Wacek tarł policzek i szarpał młode wąsiki.

Podjeżdżali do lasu. Już nie zarysował się wielką, siną masą, ale rzeźbił powietrze wysmukłemi pniami olbrzymich sosen, rozległemi konarami świerków, subtelnemi okiściami brzeziny. Od ściany tej oderwali się dwaj ludzie, paśli, silni, uzbrojeni w dubeltówki i szli wprost ku podjeżdżającej bryczce. Jan dał znak zatrzymania koni. Leśni zbliżyli się, witając panów.

— Siadajcie, Szymocha przy Pietrku, pokażecie mu, gdzie ma jechać.

Leśny wskoczył na kozioł, umieszczając się twarzą do panów.

— Jedź prosto do Obielichej drogi, a potem na lewo, wzdłuż dębiny. Wychodziły wczorajszej nocy... — dorzucił, zwracając się do młodych ludzi, — aż ręka świerzbiła, żeby huknąć z strzelby, wyszedł, jucha, ot jak stąd do Wisielcowego drzewa. Wielmożny dziedzic wie, że ta sosna....

— Nazywa się wisielcowa.

— Odkąd znaleźli na niej powieszonego przed dwoma laty.

— Wiem, wiem.

— Ja sam go widział. Nie tutejszy był, ubrany dostatnio, młody, zdrów.

— I popełnił samobójstwo?... — podchwycił Wacław.

— Komisya orzekła, że ktoś jego musiał wprzód udusić, a potem powiesić. Piersi miał posinione jakby go kto kolanami deptał... Ale ja gadam takie rzeczy, a może wielmożny pan bojący się?

— Ja?...

— Nie, nie pan dziedzic; pan dziedzic i dyabła by się nie przeląkł, ale panicz.

— Panicz już drugi rok w wojsku służy.

— Tak?... Z przeproszeniem wielmożnego pana, w piechocie, czy w konnicy?

— W dragonach.

— A nie wezmą to aby pana na wojnę?

— Może i wezmą.

— A nie daj to Boże!... Taka wojna! taka straszna wojna!

— Słyszeć ta nic nie słyszałem, ino czytuję w „Zorzy“: Okrutna wojna! Co to się działo pod tem Laojanem, albo nad Szaho!

Ożywienie i zainteresowanie odbiło się na twarzy Wacka.

— Lubicie czytać gazety? — zapytał.

— Jakżeby nie! Takie ciekawe czasy!

— A widzicie taki Pietrek nic a nic nie wie i nie ciekawy.

— Cham!... — Syknął z pogardą Szymocha.

— Wyście też nie szlachcic, odciął się Pietrek.

— Ale na książce umiem i list każdemu napiszę.

— —Macie rację, zawołał Wacek, to najważniejsza różnica. Pokaż mi szlachcica, co nie umie czytać, a każdy uzna, że to cham, tak jak chłop, co do książki się garnie i oświecony jest, równy jest szlachcicowi, bo go książki uszlachetniają.

Jan uśmiechał się ogarniając Wacława serdecznem spojrzeniem matki, obserwującej dziecinne zapały synka, wybierającego się na wojnę z blaszaną szabelką.

— Dzielny to naród te ruskie oficery, — zaczął znów Szymocha.

— Tak uważacie? — odezwał się Wacław z widocznem rozczarowaniem.

— Ba, żeby ich wielmożny pan widział, jak to chodzi u nas po mieście; głowa do góry, szabla za nim brzęczy jak pies co się urwał z łańcuchem, mina gęsta, że nie przystępuj bez kija... Tylko te Japończyki jakoś im na strach dają.

Wacław się śmiał.

— I wy tak wydziwiacie na nich przedemną, ruskim oficerem!

— Toć pan Polak, a wiadomo, że Polaki zawsze butne do bitki były.

— Wiedzą o tem i Rosyanie. Gdy obecnie zwołana była konferencya w kwestyi mobilizacyi, minister Lamsdorf oświadczył, że Królestwo nie powinno być objęte mobilizacyą, która bezwątpienia rozbudzi bardzo ducha narodowego. Dowiedział się o tem Kuropatkin i zażądał, aby bezwarunkowo zmobilizowano Królestwo, zapewniał bowiem, że nie spodziewa się ani jednego zwycięstwa, jeżeli Polacy nie będą w znacznej ilości wśród szeregów. Polski żołnierz jest bitny i mężny, polski oficer roztropny i przedsiębiorczy.

*) Ziarnka słonecznika.

— Choć w tej wojnie to Polaki z ciężkiem sercem idą się bić, a i ruscy też. Co im za rozkosz walczyć o jakąś Mandżuryą, het za lasami, za górami. Oni Japończyków nigdy nie zwyciężą; japoński rząd i wojsko, to ojciec i dzieci, nasz to ojczym i pasierby.

— Rozumnie mówicie, aż miło słuchać, zawołał Wacław.

— Alem się zagadał i o mały włos bylibyśmy przejechali to miejsce. Stawaj, Pietrek.

Wysiedli.

— Tu na to pole z pewnością będzie szedł, — mówił Szymocha, rozkładając pledy. — Niech wielmożny dziedzic położy się z kraju, będzie miał pierwszy strzał.

— Zostawiam to miejsce panu Wacławowi.

— Z przeproszeniem wielmożnego dziedzica, tu idzie o to, żeby z kraju leżał dobry strzelec, bo jak zrazu chybi, to zwierze tylko darmo spłoszy.

— Już niech was o to głowa nie boli. Ten pan lepiej strzela od nas obydwóch.

— Jeżeli o to idzie, to mój Jaśku, lepiej, żebyś ty się tam usadowił. Jestem dziś zdenerwowany i nie ręczę za celność strzału.

— Nie zawracaj głowy! Już ja więcej się spodziewam po tobie zdenerwowanym, niż po sobie spokojnym. No, no, nie certuj się i klapnij na ten szal. A potem — sza!

Nastała długa, długa cisza. Las przed świtaniem ogarniał niczem nie zamącony spokój. Romantyk z przed pół wieku byłby powiedział, że Flora i Fauna zdrętwiały znużone oczekiwaniem swego oblubieńca — słońca.

Horyzont zaczął się rozjaśniać i nagle poszedł głuchy szum, a potem coś, jak oddalony chrupot gałęzi. Porwali się obaj leśni, porwał się Jan, ostatni podniósł się Wacek. Wszyscy z fuzyami przy oku stali zwróceni w jednę stronę.

— Pal! szepnął Szymocha.

— Pal! powtórzył Jan.

Padł strzał, za nim drugi, trzeci, czwarty.

Jeleń położył rogi na kark i mknął jak strzała, zdawało się, że nie dotyka ziemi.

Kanonada jeszcze trwała, ale on już był daleko, znacząc swe przejście lekkim ruchem powietrza.

— A mówiłem wielmożnemu dziedzicowi, żeby pierwszy się kładł! — wrzasnął wściekły Szymocha.

— I ja bym może spudłował, — spolitykował Jan, starając się ukryć niezadowolenie.

— Ja mówiłem, że dziś się nie popiszę, a tyś nalegał, tłomaczył się Wacek.

— No poprawimy się jutro, pocieszał Jan.

— Aha jak czart będzie chusty prał, wyjdzie zwierz drugi raz na strzał. Co to taki z ruskiego wojska potrafi! — mruczał leśny.

— No, no, Szymocha, tylko bez tych uwag, — zawołał dziedzic.

Szymocha zbierał pledy, zniżył ton, ale gderał jeszcze.

— Z łyżką do kotła, to i owszem, z kijem do sołdata, czemu nie, z łapą do kasy — to najlepiej, ale nie do fuzyi, nie do grubego zwierza.

Źli i zdenerwowani zbliżyli się do bryczki. Pietrek, który drzemał na koźle, obejrzał się na nich, najprzód z ciekawością, potem z szyderstwem.

— Po „olenia“ przyjedzie się później z wozem? — zapytał z udaną powagą.

— Jedź! — rzucił Jan przez zęby.

Przez całą drogę panowało milczenie.

Dwór Męciński bielał w srebrze świtu, stulony w półkole starego parku, migocącego pyszną gamą jesiennych barw. Nagle Wacław odezwał się cichym głosem, jakby zawstydzony.

— Jak na złość w chwili gdym się złożył, jak błyskawica przeszła mi myśl, że oto mam strzelić do jednego z tych bohaterów, co giną za drogą ojczyznę z wyrazem upojenia, z tryumfalnym okrzykiem „banzaj!“ i ręka mi zadrżała.

II.

— Nie kładziesz się? — zapytał Jan, widząc, ze Wacek po zrzuceniu myśliwskiego stroju, wkłada jasny, tenisowy garnitur.

— Nie mógłbym usnąć, wolę się przejść!

— Każ dać sobie śniadanie.

— Dobrze, dobrze, nie kłopocz się o mnie.

Wyszedłszy z domu, zasiadł na ławeczce znajdującej się nawprost szczytowych okien dworu, przysłoniętych jeszcze roletami. Wyjął notes, ołówek, popatrzał chwilę, gdzieś w głąb duszy i począł pisać wiersz, jeden z tych, na które poeci moderniści wzruszają wzgardliwie ramionami, a który odczuje każda istota kochająca prawdziwą poezyę, płynącą z poczucia piękna i czystości duszy. Pisał ze skupieniem i pewnym wysiłkiem. Nagle twarz mu się rozjaśniła. Podniesiono roletę w jednem z okien i otwarto je z trzaskiem. Zjawiła się w niem jakaś różowa postać, która stanąwszy na oknie, wionęła do ogrodu. Wacek porwał się i był już przy niej, ale dziewczyna nie witała go, zaabsorbowana szukaniem czegoś koło siebie.

Coś zgubiła?

— Pantofelek mi spadł.

I wysunęła drobną nóżkę w pończoszce.

— Musiał spaść w pokoju w chwili wyskakiwania.

— Niech go tam! Pokuśtykam się w jednym pantoflu na werandę.

— Nie pozwalam; rosa jest, zaziębisz się, nawet źle, że stoisz w pończoszce. Ja cię zaniosę.

— Co robisz, Wacek! — krzyknęła, schwycona nagle na ręce przez młodzieńca, który nie zważając na protesty, niósł ją do werandy.

— No, tu wolno ci zrzucić i drugi pantofelek, rzekł stawiając ją pod werandą.

— Brzydal jesteś, szkaradny! Mógł był kto zobaczyć!

— Jaka Kaśka, albo Wojtek!

— A właśnie!... Ty znajdujesz, że ich to można gorszyć!

Wacek aż trzymał się za boki od śmiechu.

Panienka rzuciła mu gniewne spojrzenie i zwróciła się do pokojówki, wnoszącej właśnie samowar.

— Wejdź, Józiu, przez okno do mego pokoju i przynieś mi pantofelek, który leży pod oknem. Tylko nie idź przez pokój, bo zbudzisz panią Jackowską. Wacuś, nie powiesz mi dzień dobry... zwróciła się do Wacława po odejściu pokojówki.

— To prawda! Jako żywo! a łotr ze mnie!

Przykląkł przy dziewczynie, okrywając ręce jej pocałunkiem. Przymknęła oczy, cofnięta w głąb trzcinowego fotelu.

— Kochasz? szepnęła.

— Nad życie, nad świat, nad zbawienie duszy.

— Tak nie mów! Nie wolno! zawołała zrywając się nagle.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwudziestoośmioletnie wygnanie

czyli

ucieczka moja z żoną i dwojgiem dzieci.

Zdarzenie prawdziwe z 1835 r.

7)

(Ciąg dalszy.)

Nie rzadko trafiało się, że w podobnych utarczkach tak mnie swojemi wymaganiami i niesprawiedliwemi przyczepianiami się do mnie dokuczali, że ja nie zważając na mój stan oburzony ich niesprawiedliwością, groziłem im i żądałem, ażeby, jeżeli nieszczęście już tak mieć chciało, bym był soldatem, mię jako soldata uważali, odemnie się całkiem odczepili, i w żadne stosunki domowe, nietyczące się służby nie wdawali. Ale to wszystko było naprożno, i często może przyszłoby było do ostateczności, gdyby szanowny dowódzca batalionu, Powało Szwejkowski, swoim przykładem, prawdziwą wyrozumiałością i częstem nas odwiedzaniem, nie uczył swoich podwładnych, jak z podobnego rodzaju ludźmi jak my, postępować należy.

Takie przykłady tego zacnego męża, nie mogły się rozciągać do wszystkich mieszkańców miasta, tyczyły się one tylko jego podwładnych w batalionie służących; ale i tym pojąć to co im wpajał dowódzca, i przeistaczając, że tak powiem swoją naturę, przejąć się jego zasadami, było tak niepodobna, jak nam w niewielkim przeciągu czasu, oswoić się z naszym teraźniejszym stanem, i obecne nasze położenie tak urządzić, ażeby przeszłość na teraźniejszość nie wpływała, a ukształcenie wyższe i domowe wychowanie, nie przebijały się w każdym czasie i miejscu.

Coraz dalej i dalej, dom nasz stał się przedmiotem pokątnych i złośliwych rozmów mieszkańców. Żona zaś moja stała się dla nich kompletną zagadką. Uralcy tego wcale pojąć nie mogli, jak osoba ta, mająca prawo korzystania ze wszystkich prerogatyw prawami towarzyskiemi nie odjętych, nie dbała o to; a tego nie rozumieli, jak taż sama osoba opuszczając ojczyznę, pozbawiła się dobrowolnie wyższych tam przyjemności i przywilei, ażeby w samotnem ze mną pożyciu, cały świat widziała; dla takich to przyczyn woleliśmy raczej narażać się na niesłychane i złośliwe, jakich tylko obrażona miłość własna dostarczyć może, obmowy i plotki, aniżeli komunikując się z nimi, wystawić siebie na ubliżającą nam ich litość, że tylko pamięć na dawne nasze położenie zniża ich do obcowania z nami. Jednem słowem, zanadto oboje byliśmy dumni, aby przyjmując ich mniemane grzeczności, narażali się na brutalstwa, do których Uralcy podówczas byli tak skłonnymi. Nie rzadko bowiem trafiało się, że oni w swoich zebraniach, rozumowaniach i sprzeczkach, za najważniejszy argument różnicę stopnia przytaczali, dowodząc, że młodszy stopień nie może i nie powinien od starszego być rozumniejszy; każdy więc przyzna, że ja, jako zesłany soldat, a tem samem jako najnędzniejsze stworzenie Boskie, wiecznie i wszędzie musiałbym milczeć; woleliśmy przeto jak powiedziałem grzeczności ich unikać, aniżeli za tysiące takowych usłyszeć jedno niczem nieokupione grubiaństwo.

Dla tego ja, spostrzegłszy później moją żonę w poważniejszym stanie, a ztąd potrzebującą ruchu, zmuszony byłem dla zapobieżenia gorszym skutkom, przechadzać się z nią tylko po oparkanionem naszego mieszkania podwórzu, niechętne bowiem i rozbestwione pospólstwo, widząc bezskuteczność skarg moich, nie znało innego hamulca prócz kija, którego ja nie zawsze, ale w konieczności tylko użyć chciałem.

Tak klepiąc biedę, kochaliśmy się jednak, rzadko w innych małżeństwach widzianą miłością; ja ze wszystkiemi przymiotami dobrego męża, ulegałem żonie mojej we wszystkiem, ceniłem w niej te wysokie, ciche i domowe cnoty, o których sam tylko wiedziałem, a chcąc jej choć w części wynagrodzić, uprzedzałem jej skinienia i wszystkie moje chęci i usiłowania do tego kierowałem, aby jej ani na chwilę nie dać powodu, ażeby poświęcenia się dla mnie ze swej strony w przyszłości żałowała, spostrzegłszy niekiedy chmurkę tęsknoty na czole mojej poczciwej żony, (która z naszego położenia tylko wynikała) obsypywałem ją takiemi pieszczotami, byłem dla niej tak dobry, wylany, czuły i w oznakach tkliwego przywiązania, tak niewyczerpany, że ona tą rozkoszą się napawając, gniewała się na siebie, że zewnętrzne, a nie z domowego pożycia wynikające myśli, smutek na jej twarz wywoływały.

Te oba nasze, uszczęśliwione z pożycia małżeńskiego serca, utrzymując się w ciągłem zachwyceniu, roztliły płomień do nadzwyczajnej potęgi posunięty, a nawet w egzaltacyjny stan się zamieniły.

Albina, gdym ja był w domu, po całych godzinach miewała wzrok swój utkwiony we mnie, z zachwyceniem głosu mego słuchała i równie na każde moje skinienie była gotową; ona całkiem o siebie się nie troszczyła, o swoich wygodach i strojach nie myślała, o dogodzenie swojemu apetytowi nie dbała; lecz widzieć mnie zdrowym, czysto i porządnie ubranym, z apetytem przyrządzone przez siebie łakocie zajadającym, i widzieć mnie wesołym i ją kochającym, oto jest wszystko, czego ta tkliwa dusza pragnęła.

Nieraz kiedym się zdrzemał w dzień na kanapie, ona siedząc obok mnie odganiała muchy i jakby w gorączce poetycznego zachwytu, rozpatrywała rysy moje, i nigdy swem szczęściem nie była nasycona. Kiedy mnie w domu nie było, jej wyobraźnia otwierała dla niej cały świat nadprzyrodzonych marzeń, sama zostawszy w domu, uważała za jedyną i największą rozkosz myśleć nieustannie o mnie, wyobrażała sobie moją postać, wywoływała z duszy echo słów moich ostatnich, prowadziła ze mną cichą i tajemniczą rozmowę, i chociaż jak powiedziałem mnie tu nie było, ona ze mną po czarujących, nadziemskich strefach fantazyi bujała.

Ona nie przedstawiała sobie nigdy, aby żywienie w duszy swojej tego błogiego upodobania, mogło być zdrożne, lub przez religię potępione; uczucia jej tak daleko posunięte do człowieka, nie pojmowała, aby mogły być niemiłe temu samemu Bogu, który ją przecież niemi natchnął; przeciwnie, jej się zdawało, że tylko wypełnia ten obowiązek, jaki u ołtarza zaprzysięgła, i tak kochając wyrzucała sobie jeszcze, że mnie kocha za mało.

Słowem, my ze stanowiska małżeńskiego uważani, bylibyśmy najszczęśliwsi, gdyby ciągłe, a nieuchronne z mieszkańcami moje stosunki a ztąd zatargi, pomyślności naszej nie truły. Nie było dnia ani godziny, aby mnie za koniecznym interesem z domu wychodzącego, łzami nie oblewała, nie było chwili, aby po powrocie moim czy mi się coś nieprzyjemnego na ulicy nie przytrafiło, w oczach moich nie czytała; szczęśliwa jeżeli jej obawy pokazały się próżnemi, lecz jeżeli na ulicy miałem z kim zajście, jej niespokojność przechodziła wszelkie granice; ona wyrzekając obwiniała siebie, że swoim przyjazdem narażała mnie na ciągłe nieprzyjemności, bo ja mając potrzebę prowadzenia domu i gospodarstwa, nie byłem wolny od stosunków z mieszkańcami. Tę jej delikatność i drażliwość sumienia starałem sę o ile mogłem uspokajać, dowodząc, że bez nich życie moje byłoby gorzką męczarnią, gdy tymczasem ona jest jego osłodą.

Przepraszam, że malując naszą miłość, rozpisałem się może za zbyt drobiazgowo, ale pamiętajcie, że to są jedyne wspomnienia przeszłości, które ja w starości, z gorzką słodyczą odczytuję.

Prawdę mówiąc, Uralcy podówczas nawet wyższego koła, byli nieznośni, pospólstwo zaś, Panie, zmiłuj się nad nimi!.... nie było przeto rady ani sposobu pokazywać się nam na ulicy, dokuczali nam i czepiali się wszędzie, całą zaś winą moją było to, żem był soldatem, a Albiny, że z nimi żyć nie chciała. Aż nareszcie, straciwszy już cierpliwość i chcąc raz na zawsze tamę położyć złemu, po zajściu, jakie mieliśmy z panem majorem kozackim, Czartorogowem, żona moja do jenerała gubernatora Perowskiego w Orenburgu, napisała co następuje:

„Wolna i niezależna kiedyś obywatelka, opuściłam wszystko, udając się za nieszczęśliwym narzeczonym, a dzisiejszym moim mężem. Nie przewidywałam na chwilę wówczas, że, pod rządem rosyjskim szczęśliwe dopięcie celu, okupione zostanie największem grubiaństwem, jakiego niestety, w dniu wczorajszym doznałam!

„O godzinie pół do dziewiątej wieczór, wracając z mym mężem ze spaceru do mieszkania, spotkaliśmy pana majora Czartorogowa bez szlif idącego; mąż mój poznawszy go, pomny na stan swój, sięgnął po furażerkę, chcąc mu okazać uszanowanie należące się oficerowi, gdy tymczasem pan major, nie wiadomo dla jakich przyczyn, zatrzymał nas na ulicy, i grożąc kijem, zwymyślał mego męża, twierdząc, że mu się nie ukłonił.

„Przypuśćmy, panie jenerale, żeby i tak było, czyż nie można drogą właściwą poszukiwać uchybienia mego męża, a niedopuszczać się grubiaństwa, hańbę przynoszącego oficerowi?

Jenerale! ufna w jego szlachetność i sprawiedliwość, spodziewam się, że postępku pana majora bezkarnie nie przepuścisz, a tem samem i na pospólstwo hamulec położyć nakazać raczysz; o co pokornie prosząc, mam honor być i t. d.

Skutek listu tego dość był pomyślny, bo aresztowanie pana majora rzuciło na czas jakiś postrach i na innych, ale gdy po przejściu pierwszego wrażenia, Uralcy wrócili do swego, czy wypadało nam powtarzaniem skargi zatrudniać człowieka, który wreszcie sam to źle widział? Cierpieliśmy więc i znosili wszystko, żywiąc wszakże nadzieję, że może Bóg dobry, pocieszy nas kiedyś.

Widać, pan major tłumacząc się dowodził, że ja przed nim czapki nie zdjąłem, że zaś w hierarchii wojskowej nie można starszemu, gdy co mówi niewierzyć, przeto w parę poczt później przyszedł rozkaz od jenerała dywizyi Eismanda do batalionu, aby i mnie na dwa tygodnie na odwach wsadzono; nie aresztowano mnie jednak, ale tylko dla śladu w aktach tak rozkazano.

O tym wypadku, dowiedziałem się w pół roku prawie później.

W takiem byliśmy położeniu, gdy w końcu września 1838-go roku, Albina powiła córkę! pierwsze dziecię! ten nadzwyczajny fenomen w życiu kobiety wywołał w jej łonie nową miłość i zapalił jej umysł nową pochodnią światła. To dziecię, stawszy się wyłącznym przedmiotem naszych starań, troskliwości, zabiegów i miłości, ściślej niejako nasz węzeł spoiło. Młoda matka, przyszedłszy do zdrowia, w każdym rysie małej twarzyczki podobieństwo do mnie upatrywała, ja zaś chwyciwszy dziecię na ręce, jak małpa po gałęziach, po krzesłach, kanapie, komodzie i łóżku z radości skakałem, na przemiany wyrywaliśmy je sobie z rąk naszych, goniąc jedno za drugiem. Dozwolić je karmić obcej kobiecie, byłoby może zdrowiej tak dla matki, jak i dla malutkiej Michaliny, ale wspomnienie, że ta niewinna istota wraz z obcem mlekiem i obce skłonności wyssać może, odstręczyło nas, i za zgodą doktora Moretza, żona moja sama karmiła, ja zaś nie przypuszczałem do Michalinki nikogo i nie powierzałem jej nikomu, sam ją kołysałem, śpiewałem jej pieśni narodowe Niemcewicza, kąpałem i powijałem, a podając do piersi Albinie, zazdrościłem, że jej sam karmić nie mogę.

Jednem słowem, to dziecię stało się do uprzyjemnienia naszej samotności nieodzowne; rosło i chowało się szczęśliwie. Upojeni najszczęśliwszą miłością, chwaląc Boga, błagaliśmy nad niem Jego świętej opieki, i w uniesieniu radości naszej nie przypuszczaliśmy ani na chwilę, aby Bóg, powołując je do siebie, zadał najokropniejszy cios zbolałym sercom naszym; lecz niestety! tak się też stało! Wiosna w tym klimacie najnieznośniejsza, rodząc na niemowlęta ogólną śmiertelność, i nam tę ostatnią pociechę zabrała. Michalina w maju 1839-go roku umarła!

Nieszczęśliwa matka nie płakała, ale jęczała żałośnie, i załamując ręce winiła przeznaczenie, przeklinała klimat uralski, całą Moskwę i jej powietrze; padając na małego trupa, usiłowała tchem swoim ożywić! długo i bardzo często zabijająca scena dla mnie się przeciągała, ja patrząc na moją biedną męczennicę i zmarłe dziecię, rzewnie i gorzko płakałem. Nareszcie trzeba je było pochować; udałem się do władzy miejscowej, lecz ta pod niebytność atamana i przy zmianie dowódców batalionu, mając podówczas jeszcze Polaków za niechrzczonych, drwiąc sobie z najświętszych uczuć ojca i chrześcijanina, prawie jak gdyby odmówiła pogrzebu.

Oburzony podobnemi drwinkami, w pierwszem uniesieniu gniewu mojego, chciałem, starannie zapakowawszy trupa, pod pozorem prostej posyłki dla pochowania go w grobie familijnym posłać przez pocztę do Galicyi, lecz ochłonąwszy, zrobiłem inaczej. Do przygotowanej i szczelnie wyklejonej wewnątrz trumienki, włożyłem nabalsamowane ciało, i do wymurowanego obok cmentarza grobu złożyłem.

Długo i długo po tej stracie byliśmy niepocieszeni, musiałem przemienić mieszkanie, za nic bowiem biedna matka dłużej tu mieszkać nie chciała; jeździliśmy bardzo często, i prawie mieszkaliśmy w stepie, ażeby czas i nowe przedmioty boleść naszą ukoiły.

Po śmierci Michaliny, Albina napisała do najjaśniejszej pani, prosząc ją, ażeby mię wpływami swemi, jeżeli już nie do domu puścić, to przynajmniej od służby wojskowej uwolnić i w Rosyi pod dozorem policyi, byle nie w tym klimacie mieszkać dozwolono.

„Dziś, Najjaśniejsza Pani! — pisze ona — otoczona blaskiem tronu, nie potrzebujesz nic odemnie, lecz w krainie przyszłego życia za tę łaskę łzę wdzięczności ci uronię.“

W skutek tej prośby w dniu 25-go lipca 1838-go r., z Walzbrunn w Salezyi odebrała odpowiedź, w której sekretarz cesarzowej zawiadamia Albinę że:

„Eja Weliczestwo ni w kakoe pośredniczestwo po podiełam seho roda ne wchodit', to jest że: Najjaśniejsza Pani nie wdaje się w podobne interesa. (Podpisano Iwan Szambo).

Odpowiedź ta, jakkolwiek gorżka, nie mogła nas niezadziwić, po naszemu byłaby ona właściwą, gdyby wymiaru sprawiedliwości proszono, ale na prośbę o łaskę niestósowną nam się wydała.

Jednocześnie prawie z tą odpowiedzią, odebrałem od moich rodziców zawiadomienie, że na podaną przez nich do tronu prośbę o moje ułaskawienie żadnej odpowiedzi nie odebrali; dodajcie jeszcze inne powyżej i niżej wyłuszczone powody, a nadewszystko nową oczekiwaną w lutym słabość Albiny, a ztąd z przyczyny klimatu obawa śmierci drugiego dziecięcia, zgłębcie to wszystko, a krok nasz i niżej opisane plany sami usprawiedliwicie.

Wiadomo, że niewola nie jest miłą nikomu i że dusza gwałtu nie cierpi, bo jej natura wszelką przemoc odpychając, chce być swobodną, i że Bóg wreszcie, który wszystko stworzył wolne, chciał bez wątpienia, aby i żelazo było wolne, gdy tymczasem my niem ludzkość gnieciemy.

Patrząc z tego stanowiska w uformowanym projekcie, liczyłem wiele na moją żonę; ona choć słabowita i delikatna, miała przecież duszę silną, charakter stały, wolę niezmienną, poświęcenie się, wytrwałość i gotowość na wszystko, z takiemi to zasadami można było zamyślany wykonać projekt, którego i ona chwyciła się z zapałem, projekt ten zaś był — myśl o swobodzie.

Żona moja dowodziła, że podobnego rodzaju życie jest ubliżeniem godności przyrodzonej człowieka, stanem bydlęcym, i grzechem, i że każdy, kto ma sposobność a nie próbuje, popełnia zbrodnię, jednem słowem uradziliśmy i postanowili uciekać z Rosyi.

Od tej chwili, na wszystkich naszych domowych sesyach, Albina jako osoba odznaczająca się szczególniejszym darem przenikliwości, w kwestyach serca ludzkiego otrzymała odemnie prawo rozstrzygania nierówności zdań naszych, czyli po prostu, jej dałem dwa, a sobie jeden głos zostawiłem.

Skutkiem więc tego uradzonego i zatwierdzonego tyle razy wspomnionego projektu, biegałem po całem mieście i dowiadywałem się starannie, czy który z mężczyzn nie umarł, lub śmiertelnie nie chory. Nieraz wśród najpilniejszego zajęcia rzucałem wszystko, gdym się o świeżym trupie dowiedział. Przyszedłszy do domu nieboszczyka lub chorego, wynajdywałem różne pozory mego tam przyjścia, aby rzeczywisty mógł być ukryty. Jeżeli się trafiło, że jaki mężczyzna zachorował, ze wstydem wyznać tu powinienem, że pod pretekstem, aby się nie męczył, tajemnie życzyłem mu śmierci. Natura bowiem nasza tak jest zepsutą, że w złych nawet sprawach dobrą stronę upatruje w chwili, kiedy osobisty interes tego wymaga. Tym sposobem zagłusza się niejako nasze sumienie, i od jego wyrzutu wolnem się staje.

Trafiało się, że zebrani około chorego sąsiedzi, rozmawiali o jakimś tam kozaku, tylko co wczoraj umarłym, ja wówczas najostrożniej wypytywałem się o jego mieszkanie, i pod pozorem najęcia domu, kupienia krowy, wozu lub czegoś podobnego, z jednego końca miasta biegłem na drugi; tu popatrzywszy na trupa, i gdy ten nie odpowiadał moim zamiarom, nową wiadomość powziąwszy, znowu na drugi koniec miasta bez odpoczynku leciałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

22) (Ciąg dalszy.)

Młoda kobieta udała się do swej sypialni i mimowoli zdumiała na widok przepychu, z jakim pokój ten był urządzony. Wchodziła tu po raz pierwszy w życiu nie przeczuwając, co jej najbliższa przyniesie chwila. Zmęczona gorącem i dusznem powietrzem w sali balowej, zbliżyła się do okna i otworzyła je na kilka minut, lecz nie wiedziała, że tam na dole stał Lucyan, z rewolwerem w ręku!

Gaston tymczasem siedzący jeszcze w swoim pokoju, czekał na odejście hrabiny Beaumont i Helenki.

— Teraz! — pomyślał, usłyszawszy skrzypnięcie drzwi. Odeszły nareszcie — więc teraz ja mogę odwiedzić moją żonę. Ciekawy jestem, jak mnie przyjmie!

Podniósł się, pogładził włosy, spojrzał z zadowoleniem w lustro i wszedł do przedpokoju, w którym za portyerą stał Alfons. W pałacu głęboka panowała cisza.

Alfons drżał ze strachu, lecz pomny rad brata, ujął silniej nóż straszliwy i gdy Gaston koło niego przeszedł, rozsunął nieco portyerę i stanął za nim......

Potem jedno mgnienie oka — ręka jego podniosła się i nóż aż po rękojeść utkwił w plecach hrabiego!

Wszystko to stało się tak szybko, że Gaston nie widział i nie słyszał nic. Jęknął raz tylko, obrócił się i spojrzał na swego mordercę, ale o pomoc wołać już nie mógł, Alfons bowiem, oszalały z przerażenia, z nadludzką prawie siłą wyciągnął nóż z ciała i ugodził nim po raz drugi swoją ofiarę, tym razem w szyję. Hrabia jęknął raz jeszcze, poczem osunął się zwolna na ziemię i upadł twarzą do ziemi.

Alfons blady, z wykrzywioną kurczowo twarzą, stał jak przykuty do miejsca i patrzał na leżącego w kałuży krwi hrabiego. Był on tak przerażony swem dziełem, że nie myślał nawet o ucieczce.

Nagle schwycił go ktoś za rękę.

ROZDZIAŁ 5.

Był to Robert. Czuwał on zdaleka nad Alfonsem i przybiegł teraz w samą porę, aby ratować mordercę.

— Uciekaj! — zawołał. — Czyś oszalał? Czemu stoisz tu jeszcze?

I ciągnąc go za rękę, sprowadził go z schodów aż do otwartego okna.

— Dalej, uciekaj tędy! — szepnął.

W Alfonsie zbudził się teraz instynkt zachowawczy. Jednym skokiem stanął na dziedzińcu, Robert pospieszył za nim i bez tchu niomal dobiegli obydwaj do drzwi w murze. Teraz oparł się Alfons o mur i przycisnął ręką gwałtownie bijące serce.

Robert otworzył drzwi.

— Idź — zawołał — i zamknij je z drugiej strony.

Alfons wykonał rozkaz, Robert zaś zasunął rygle, wrócił tą samą drogą do pałacu, zamknął okno i poszedłszy do swego pokoju, położył się do łóżka.

Cały ten dramat odegrał się w niespełna pięciu minutach.

Nora, zatopiona w modlitwach, usłyszała jęk Gastona i zdumiona tem, wstała nasłuchując uważnie...

Jęk powtórzył się po raz drugi, poczem głęboka zapanowała cisza. Dziwne jakieś przeczucie nieszczęścia ogarnęło całą jej istotę, chociaż nie miała jeszcze pojęcia o zbrodni, jaka popełnioną została za drzwiami jej pokoju.

— Tam był ktoś — pomyślała, nie ruszając się z miejsca.

Stała i czekała w śmiertelnej trwodze, lecz nic nie przerywało okropnej ciszy. Po kilku minutach, które jej się wiekiem zdawały, wyszła do przedpokoju, ale w pierwszej chwili, przy słabem świetle lampki nie widziała nic. Dopiero, gdy oczy przywykły do półcienia, i gdy spojrzała na przeciwległe drzwi, zdrętwiała z przerażenia....... Tam leżał mąż jej.....

— Na pomoc! Na pomoc! — krzyknęła biegnąc do okna i otwierając je gwałtownie. Lucyan usłyszał jej krzyk rozpaczliwy i ręka, którą podnosił rewolwer do czoła, osunęła się bezsilna. Z głuchym dwiękiem upadła broń na ziemię — schylił się, podniósł ją i bezwiednie włożył do kieszeni, potem jak szalony rzucił się do bramy pałacowej i zaczął dzwonić z całej siły.

Nora była w niebezpieczeństwie, Nora wołała o pomoc! Lucyan zapomniał o wszystkiem, o całym świecie — jedyną jego myślą było teraz, spieszyć na jej ratunek!

Odwierny, przerażony dzwonieniem, ukazał się w swej loży.

— Co się tam stało? — zapytał. — Czy ogień...

— Otwierać! — krzyknął Lucyan. — Nie szłyszycie wołania waszej pani?

— Nie, spałem przecież...

— Musiało się tam stać jakieś nieszczęście, może trzeba lekarza — ja jestem lekarzem, otwierajcie, na Boga!

Odźwierny otworzył nareszcie bramę i Lucyan wpadł na dziedziniec pałacowy.

Robert słyszał również wołanie Nory, lecz czekał umyślnie — jako pierwszy nie chciał być w salonie. Mogłoby to zwrócić pewne podejrzenie na niego!

Pierwszemi osobami na miejscu popełnionego morderstwa były hrabina Beaumont i Helenka, zaraz za niemi wbiegł pan Aleksander, którego pokój leżał nad salonikiem. I tak w chwili, w której Lucyan wraz z odźwiernym stanął na górze, byli już tam prawie wszyscy domownicy zgromadzeni. Jedni otaczali na ziemi leżącego hrabiego, drudzy Norę, która na wpół zemdlona siedziała na kanapie.

— Przedewszystkiem trzeba posłać po doktora — oświadczył pan Aleksander.

— Ja jestem doktorem — o co tu chodzi? — zawołał Lucyan, wbiegając do pokoju.

Wszyscy zwrócili się ku niemu.

— Ach, to pan! — krzyknęła, Helenka, uradowana jego widokiem. — Patrz, co się stało. Przybywasz w samą porę.

I wskazała mu ciało Gastona.

Ale Lucyan widział tylko Norę, która patrzała na niego jak nieprzytomna.

— Czy pani jesteś chora? — zapytał, zbliżając się do niej.

— Nie, nie, lecz mój... to jest... hrabia... — wyjąkała z trudnością.

— Hrabia?

— Pan hrabia zamordowany — odezwał się kamerdyner.

Lucyan osłupiał.

— Zamordowany? — powtórzył z niedowierzaniem. — Gdzie jest? Kto go zabił?

Jeden z służących wniósł teraz lampę i Lusyan ujrzał leżącego we krwi Gastona. Zbliżył się szybko ku niemu, uklęknął i zaczął badać rany.

Rozdział 6.

— Ratuj go pan — szepnęła Nora. — Zapomnij o wszystkiem i uczyń dla niego, co możesz.

— Znam mój obowiązek — odrzekł poważnie — i zaręczam pani, że jestem w tej chwili tylko lekarzem.

Wszyscy patrzeli teraz na Lucyana, na każdy ruch jego i na wyraz twarzy, pragnąc odgadnąć, czy hrabia żyć będzie czy już nie żyje; i nikt nie zważał wcale na Roberta, który stał na progu, blady, z miną człowieka niezmiernie zdziwionego i przerażonego.

Po upływie dziesięciu mniej więcej minut wstał Lucyan i rzekł drżącym głosem:

— Hrabia nie żyje! I jest widocznem, że został zamordowany.

Chociaż nik z obecnych nie wątpił o tem, to jednak słowo „zamordowany" okropne wywarło wrażenie. I wszyscy spojrzeli na siebie, jak gdyby chcieli odgadnąć, kto z pomiędzy nich był mordercą.

— Biedny nasz pan! — zawołał Robert, zakrywając twarz rękami.

— Zamordowany! — jęknął pan Aleksander szczerze zmartwiony. — Ależ to być nie może! Któżby miał być jego mordercą? Pani hrabina pierwsza wołała o jego pomoc — może widziała zbrodniarza...

— Nie widziałam nikogo — odrzekła Nora. — Słyszałam tutaj tylko jakiś szelest, potem jęk, a gdy po chwili otworzyłam drzwi, ujrzałam hrabiego leżącego na ziemi!

— Wielki Boże! Jakie nieszczęście! — wyrzekła służba.

— Trzeba przeszukać pałac, może się morderca ukrył gdzie — zauważyła hrabina Beaumont.

Ale nikt się z miejsca nie ruszał, nikt bowiem nie miał ochoty narażania się na niebezpieczeństwo takiego poszukiwania.

— Ja myślę, że nie potrzeba tego, — odezwał się Lucyan — dosyć będzie postawić straż przy wszystkich wyjściach, aby morderca nie mógł uciec z pałacu. Ale przedewszystkiem trzeba zawiadomić o tem policyą.

— Pójdę po komisarza — zawołał Robert, i nie czekając na odpowiedź, wybiegł z pokoju.

— Pomóżcie mi teraz podnieść ciało — odrzekł Lucyan — ale ostrożnie, aby nie zmienić położenia. Gdzie można je złożyć?

— W sypialnym pokoju na łóżku — odparł pan Aleksaner.

— Dobrze, i jeden z was musi przy niem czuwać.

— To mój obowiązek — rzekł uroczyście pan Aleksander.

Ciało zamordowanego złożono na łóżku, a hrabina Beaumont i Helenka odprowadziły Norę do jej pokoju. I gdy Lucyan wrócił do salonu, już nikogo tam nie zastał.

— Nora jest wdową — pomyślał z ciężkiem westchnieniem. — Zaledwie kilka godzin minęło od jej ślubu, a już męża straciła! Dziwne zrządzenie losu!

Potem usiłował odgadnąć, kto popełnił tę zbrodnią? I dla czego?

Ale na to nie umiał sobie odpowiedzieć!

Główną rzeczą było to, że Nora odzyskała wolność, i że teraz mógł na nowo mieć nadzieję zdobycia sobie jej ręki. Teraz była samodzielną — wszakże spełniła wolę ojca, teraz więc miała prawo rozporządzania swoją osobą podług swej własnej woli!

I pomimo całej grozy obecnego położenia zaczął Lucyan marzyć o przyszłości, o szczęściu, gdy nagle dały się słyszeć na schodach ciężkie stąpania i w tejże prawie chwili ukazał się na progu komisarz policyi. Za nim szedł sekretarz jego, kilku żandarmów i — Robert.

— Podobno zamordowano hrabiego Noirville — rzekł komisarz, zwracając się do Lucyana.

— Tak, zamordowano go dwiema pchnięciami nożem.

— Kto to uczynił?

— Nie wiem.

— Hrabia nie żyje?

— Nie żyje.

— Kto pan jesteś?

— Jestem doktorem i stwierdziłem śmierć hrabiego.

— Proszę mnie zaprowadzić do trupa.

Lucyan zaprowadził komisarza do sypialni hrabiego, pan Aleksander, siedzący przy łóżku wstał natychmiast, ale komisarz żadnej na niego nie zwrócił uwagi. Zbliżył się do trupa i patrzał na niego z miną człowieka, przyzwyczajonego do takiego widoku.

— Tu spełniono rzeczywiście zbrodnię — rzekł po chwili. — Rana na szyi dowodzi tego dostatecznie.

— Mój biedny pan! — szepnął kamerdyner. — Dziś rano nie spodziewał się tego!

— Pan należysz do jego służby?

— Tak, byłem jego kamerdynerem.

— Zdaje mi się, że dziś odbył się ślub hrabiego?

— Tak, panie!

Komisarz zamyślił się, potem spojrzał na Lucyana i rzekł:

— Jakim sposobem dowiedziałeś pan się o tej zbrodni?

— Przechodziłem właśnie koło pałacu — odpowiedział Lucyan nieco zmięszany — i nagle usłyszałem głos kobiecy, wołający o pomoc.

— Hrabina wołała... — dodał pan Aleksander.

— I cóż dalej? — spytał komisarz Lucyana.

— Zadzwoniłem gwałtownie do bramy pałacowej, odźwierny otworzył mi, i przybiegłem tutaj, bo nie mogłem uczynić nic innego, jak stwierdzić śmierć hrabiego.

— Gdzie popełniono tę zbrodnię?

— W saloniku, tuż obok. Hrabia leżał twarzą do ziemi — cały krwią zbroczony.

— Kto go tu kazał przenieść?

— Ja, lecz zważałem pilnie na to, aby położenie ciała nie było zmienionem

— Czy pan znałeś hrabiego?

— Bardzo mało, widziałem go raz tylko.

— Myślisz pan, że śmierć nastąpiła natychmiast?

— W przeciągu kilku sekund.

— Rana na szyi jest rzeczywiście straszną.

— A druga znajduje się na plecach, równie okropna.

— Zobaczymy to później, gdy przywołam lekarzy. Teraz chciałbym najpierw przesłuchać świadków.

— Ja tu byłem najpierwszy — rzekł pan Aleksander.

— Czy hrabia oddychał jeszcze?

— Nie!

— Nie widziałeś mordercy?

— Nie!

— Więc nikogo w pokoju nie było?

— Nikogo.

— Ale jeżeli hrabina wołała o pomoc, to musiała być poprzednio w saloniku. Gdzie ona była, gdy pan tam wszedłeś?

— Uciekła do swego pokoju, którego drzwi były otwarte.

— Dobrze, więc trzeba mi hrabinę najpierw wybadać. Czy znajdował się w domu jeszcze ktoś obcy w chwili, w której wołała o pomoc?

— Nie!

— Ależ tu musieli być goście, jeżeli dziś był ślub hrabiego!

— Zapewne, ale bal się skończył rychło, około dziesiątej odjechali ostatni goście. Pół godziny później usłyszałem krzyk hrabiny — wtenczas były już wszystkie drzwi pozamykane, i cała służba znajdowała się w swoich pokojach. Z gości pozostała na noc tylko hrabina Beaumont z córką.

— Kto to jest? — zapytał komisarz ciekawie.

— Przyjaciółka pani hrabiny i jej matka — odezwał się pan Lucyan.

— Tak — dodał pan Aleksander — i te panie miały tu jeszcze zabawić kilka dni.

— Czy te panie były tu, gdy hrabina wołała o pomoc?

— Nie, one były już w swoich pokojach!

— Chciałbym widzieć hrabinę Noirville. Gdzież ona się znajduje?

— Zapewne u pani Beaumont, na drugim końcu kurytarza — rzekł Lucyan.

— Bądź pan łaskaw zaprowadzić mnie do niej!

Rozdział 7.

Nora znajdowała się rzeczywiście w pokoju hrabiny Beaumont i tam też przyjęła komisarza. Urzędnik spojrzał z pewnem podejrzeniem na nią, ukłonił się jednak bardzo grzecznie i usiadł na wskazanem mu krześle.

Nora była blada jak ściana, pomimo to komisarz zachwycał się w duszy jej pięknością. Dziwił go tylko jej spokój —zamiast szalonej rozpaczy po stracie małżonka, którego poślubiła przed kilku godzinami, widział u niej smutek wprawdzie i przerażenie, ale tak samo przerażoną i smutną była pani Beaumont, a Helenka miała nawet łzy w oczach! Nie okazał jednak swego zdziwienia, pochylił się tylko ku niej, aby módz lepiej obserwować jej twarz i rzekł:

— Więc to pani hrabina pierwsza zawołałaś o pomoc?

— Tak, ja — odpowiedziała spokojnie.

— Gdzie się pani znajdowałaś w chwili, w której popełniono morderstwo?

— W mojej sypialni.

— Byłaś pani samą?

— Zupełnie samą!

— Czemu pani weszłaś do owego saloniku?

— Zdawało mi się, że słyszę jakiś jęk...

— I nie słyszałaś pani nic więcej?

— Nic!

— To dziwne! I cóż ujrzałaś pani?

— Ciało hrabiego, zbroczone krwią, leżące na podłodze.

Na wspomnienie tego okropnego widoku zadrżała Nora mimowoli i zasłoniła oczy ręką.

Urzędnik zaś badał dalej.

—Jak leżało ciało?

— Twarzą do ziemi.

Urzędnik zamilkł i przez chwilę patrzał badawczo na Norę. Potem spytał nagle:

— Kogo pani podejrzywasz o popełnienie tej zbrodni?

— Jakżebym mogła podejrzywać kogoś o tak straszne morderstwo — zawołała Nora oburzona. — Przed kilku godzinami dopiero weszłam pierwszy raz w życiu do tego domu i nie znam nawet służby, z wyjątkiem mej garderobianej!

— To dziwne! — szepnął znowu komisarz. — Wybacz pani hrabino, — dodał głośniej, — że śmiałem cię, w takiej rozpaczy, trudzić memi pytaniami. Ale nie będę już nadużywał twej cierpliwości! Cała ta sprawa jest mi tak niejasną, że muszę ją oddać prokuratorowi. Każę go uwiadomić natychmiast i zostanę tu aż do jego przybycia. Wypocznij pani tymczasem.

Po tych słowach skinął na Lucyana i obydwaj wyszli z pokoju.

Podczas tego badania nie spuszczał Lucyan oka z twarzy ukochanej, a jego obecność dodawała Norze odwagi i napełniała serce jej niezmiernem szczęściem. I ten spokój właśnie tak bardzo zadziwił komisarza!

Po wyjściu z pokoju hrabiny, kazał urzędnik przywołać odźwiernego.

— Jesteś pewny, — rzekł, — że nikt od chwili popełnienia zbrodni nie wyszedł z pałacu?

— Nikt, wiem o tem napewno, tylko Henryk Parces wyszedł......

— Kto to jest?

— Groom hrabiego!

— Ach ten chłopak, który przyszedł po mnie?

— Tak, ten sam.

— Grosbois, ile postawiłeś ludzi przy bramie? — zapytał jednego z żandarmów.

— Trzech, reszta stoi na dziedzińcu.

— Jest tu jeszcze jakie inne wyjście z pałacu?

— Są drzwi w murze ogrodowym, wiodące na ulicę Vernenit, ale są one zawsze zamknięte, a klucz od nich wisi w kuchni.

— Każ i przy tych drzwiach postawić straż, Grosbois. Jeden z żandarmów zaś niech idzie zaraz do prokuratora, a pan, — dodał komisarz, zwracając się do Lucyana, — musisz pozostać tu ze mną, bo nie mogę pozwolić nikomu na opuszczenie pałacu.

— Jak pan chcesz, — odrzekł Lucyan.

Żądanie komisarza uszczęśliwiało go niezmiernie — wszakże był blisko ukochanej!

Nad pałacem zapanowała teraz owa złowroga cisza, jaka następuje zwykle po jakimś gwałtownym, nadzwyczajnym wypadku. Służba zgromadziła się w kuchni, rozmawiając półgłosem o strasznej zbrodni, a Robert siedział cichy na pozór przygnębiony, uważając pilnie na każde słowo. Serce tego łotra biło radośnie — wszystko stało się tak, jak sobie tego życzył. Hrabia nie żył, Nora była wdową — i dla samego względu na opinią świata nie mogła w przeciągu roku o powtórnem myśleć małżeństwie. A rok jest długi i w tym czasie można zgładzić nie jednę, lecz sto osób! Alfons uciekł szczęśliwie, nikt więc nie mógł go o zbrodnię tę podejrzywać!

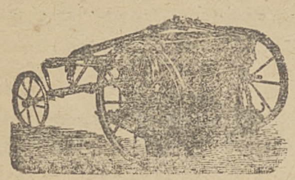
Po wyjściu komisarza została Nora sama z Helenką. Jak dziwnem było jej położenie! Śmierć Gastona przeraziła ją wprawdzie niezmiernie i nie życzyła mu nigdy tak okropnego końca, ale nie mogła rozpaczać, bo czuła dla niego tyle tylko litości, jak dla każdego obcego sobie człowieka. Mimowoli doznawała nawet pewnego uczucia ulgi na myśl, że jest wolną, a Helenka zaczęła natychmiast mówić jej o Lucyanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Młody człowiek

z ukończonemi studyami inżynierskiemi, na razie słuchał 4 semestra archikektury poszukuje odpowiedniego zajęcia.

Łaskawe oferty do ekspedycyi „Pracy" pod lit. N. W. 100.



Znany z swych nadzwyczajnych zalet i dotąd **stanowczo najlepszy** 99 siewnik rzędowy Saxonia Siedersleben

tak na role pagórkowate, jak i na równe, mam w Poznaniu **jako główny reprezentant**, w rozmaitych wielkościach na składzie. Obok tego mam w zapasie po nader przystęp. cenach

Siewniki szerokorzutne Beermanna

chwilowo za najlepsze uznane.

Siewniki czyli potrząsacze

do stucznych nawozów Schloera, Westfalis, Hampla i innych systemów.

A. Bryliński,

Poznań, ul. Rycerska Nr. 11 a.

Telefon Nr. 69.

Adr. do listów: A. Bryliński Poznań — Posen.

Adr. do telegr.: A. Bryliński Posen.

Skład machin i narzędzi rolniczych najnowszej konstrukcyi. Części zapasowe do nich, jako też pracownia do napraw.

Handel żelaza

istniejący od lat 25 z rocznym znacznym obrotem, świetna egzystencya dla rodaka, bez konkurencyj, w mieście powiatowem, jest natychmiast wraz z domem pod korzystnemi warunkami wskutek choroby właściciela na sprzedaż. Właściciel dorobił się większego majątku. 162

Zgłoszenia przyjmuje i wiadomości udzieli

Bank Parcelacyjny

we Wrześni (Wreschen).

Biuro melioracyjne

Trawiński & Kucharski

Telefon 839. **Poznań,** Telefon 839

ul. Rycerska 26 (vis-à-vis zakładu wodoleczniczego Dr. Panieńskiego)

wykonuje **drenowania,** 129 **nawodnienie łąk systemem francuzkim** oraz innemi, odwodnienie łąk (murszów, torfów) **metodą prof. Fleischera** i sporządza projekta jeneralne i specyalne dla **spółek drenarskich i majoratów** pod kierownictwem **dyplom. inżynierów kultury rolnej.**

Filie: **Warszawa,** Zielna nr. 21. **Sieradz,** Kaliska 7, zastępca inżynier pan Madaliński.

Stanisław Augustyniak

Kościan,

ul. małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.

Telefon Nr. 119. 56

Handel drzewa budulcowego,

belek i kantówek, blochów, desek, latów i t. d.

Deski w różnych grubościach $^1/_2$, $^3/_4$, $^4/_4$, $^5/_4$, $^6/_4$, 2, $2^1/_2$, 3 calowe.

Skład dzwon bukowych,

dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.

PAPY NA DACHY

w doborowym gatunku, po cenach bardzo

Hurtownie. nizkich. **Detalicznie.**

Akademik

poszukuje korepetycyi przez czas wakacyi t. j. marzec i kwiecień lub odpowiedniego zajęcia w biurze lub redakcyi.

Zgłosz. przyjmuje eksp. „Pracy“ pod lit. **C. J.**

Ucznia

chcącego wyuczyć się krawiectwa przyjmie zaraz

Franciszek Walkowski

150 mistrz krawiecki.

Berlin NO. 55, Lippehnerstrasse 31.

Pismo jak „PRACA“

powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko

1,25 mk.

A. Denizot, Właściciel szkółek, Poznań W. 3

144 poleca

wszelkie drzewa i krzewy owocowe i ozdobne, drzewa alejowe, róże, wysadki szparagowe i truskawkowe, konifery, wysadki na żywopłoty itd. Cennik ilustrowany na żądanie darmo i opłatnie.

Adres na listy: **DENIZOT, Poznań (Posen) W. 3.**

Roveol. (Przez ces. urząd pat. nazn. ochron. D. R. W. Z. 60098). Najnowszy i najskuteczniejszy środek wzmacniający u osób słabowitych płuca, dodający im wielkiej ulgi podczas astmy, ożywiający całe usposobienie i pobudzając apetyt. Dzieci zaś słabowite i skrufuliczne przybierają w oczach na ciele i pozbywają się szybko wszelkich wyrzutów skórnych i tej tak zwanej angielskiej choroby. Comp: Calc. phosph. ct. hypophos 1, Ferr. lact. 0,25, Gi. mimos. 10, Agar. 1.01, Jecor 190 H_2O 140, Glyc. 40,01 Nerol. 0,01,01 Ros. 0,01. But. 2,00, przy 5 butelkach franko i pudło gratis. Główny depot posiada: 548 **H. Smyczyński,** apteka **w Chełmnie** (Ratsapoth.)

Hurtownie! Detalicznie!

Farby,

Pokosty, lakiery,

froter, masę woskową

do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne 650

szczotki i pędzle

do tychże.

Carbolineum

koloru orzechów. — Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach **hurtownie i detalicznie**

Centralna Drogerya

J. Czepczyński,

Poznań, Stary Rynek 8.

Telefon nr. 238.

Tanio i dobrze

zakupuje się **meble**

w Spółce Stolarskiej

Poznań, ulica Jezuicka 5.

Telefon 1093. 525

Album odwrotnie i franko.

Specyalność: WYPRAWY.

W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

(w narożniku Starego Rynku)

Magazyn wypraw.

Porcelana. Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

Serwisy do kawy.

Szkło kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki, karafki, zastawy etc.

Lampy gazowe 37

Lampy naftowe

Lampy spirytusowe.

Sprzęty kuchenne.

Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby, szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

Stała wystawa. **12 okien wystawowych.**

Cennik na żądanie bezpłatnie.

Oszczędności i wkłady

przyjmujemy i płacimy: 183

przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,
„ „ półrocznem $5^1/_2$ „
„ „ całorocznem 6 „
od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. **Pewność zupełna.**

Kujawski Bank Parcelacyjny,
E. G. m. b. H.
w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

Restauracya

KISLINGERBRÄU

(Kaźmirz Krenz)

przy placu Wilhelm. **Poznań** w środku miasta, w pobliżu przystanku kolei elektrycznej.

Wyborne obiady

od godziny 12—3-ciej

po 1,25 mk., **w abonamencie 1,00 mk.**

Wielki wybór śniadań i kolacyi. 36

Uznana za najlepszą zimną ruską kuchnią.

Dobrze pielęgnow. piwa i wina. Dobra wentylacya

Znakomita kuchnia.



Jedyna jeneralna agentura

i główny skład 532

S. Zychliński w Poznaniu.

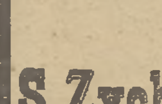
Cygara w największym wyborze.

B. Szulczewski,

ul. Wilhelmowska nr. 11.

Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.
Oświetlenie spirytusowe.
Kompletne wyprawy.
Urządzania hotelowe.
Abażury — Przedmioty galanteryjne.
Pająki do kościołów.
Ampułki. 18

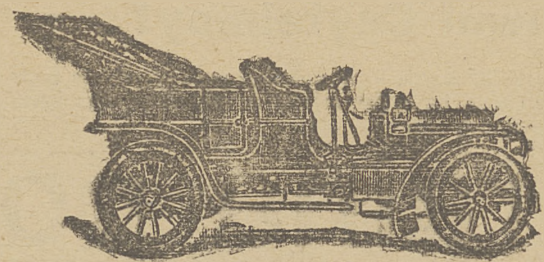


Kamienica w Swarzędzu przy rynku, której plac przechodzi do drugiej ulicy, stósowna na każdy interes, piętrowa o 6 oknach frontu, z obszernem podwórzem, ogrodem owocowym i warzywnym, remizami i stajniami, od drugiej ulicy przy poczcie plac budowlany, nowo założony wodociąg, zamieszkała przez doktora i komisarza, jest przy zaliczce 10 do 15 tysięcy marek do sprzedania. Cena kupna 37,000 marek. Zgłoszenia przyjmuje 131

Schleichert
Swarzędz (Schwersenz) Rynek nr. 92.

Samochody

osobowe i **ciężarowe** najsławniejszych fabrykatów krajowych i zagranicznych poleca po cenach fabrycznych, **używane** oddaję **po nader przystępnych.**



Utrzymuję 41

skład pneumatyków
i przyborów.
Fachowy warsztat do naprawy.
Garage.

St. Brzeski

POZNAŃ, św. Marcin 64.

Założony 1894. **Telefon 1101.**

Najlepsze młodzie

funtowe 38

z fabryki Lubańskiej

jedyne zastępstwo na **Poznań** i prowincyą w składach mąki

G. Rittera w Poznaniu
ul. Wodna 27 i pl. Sapieżyński 11.
Telefon Nr. 62.

Wielki polski zakład

zegarmistrzowsko-złotniczy

założony r. 1873

poleca:

ogromny wybór w zegarkach kieszonkowych

od najskromniejszych do najwytworniejszych z najrenomowańszych fabryk szwajcarskich.

Zegary szafowe, stojące, regulatory i budziki najrozmaitsze.

Łańcuszki 560

damskie, długie złote, matowe, grube, pancerne i fantazyjne, męzkie i damskie.

Laski srebrne. Obrączki ślubne.

Wszelkie artykuły złotnicze.

Ceny nizkie. **Usługa uprzejma.**

W. Schultz

Poznań, w Bazarze.

Zielona Apteka w Poznaniu
(T. Witaskiego)
poleca

znakomity ruski **Balzam i maść na odziębliznę** w but. po 50 f. i 1 Mk., w słojkach po 50 f. i 1 Mk. i w tubach po 30 fen.

Guakalinę (Sir. Kal. guaj. cps.) przeciw kaszlowi, chrypce oraz zaflegmieniu dla dorosłych but. po 2,50 mk., 3 but. 7,00 mk. 21

Miód żywokostowy i koperkowy na kaszel dla dzieci w but. po 50 fen. i 1 mk.

Tietzena karmelki na kaszel w 10 gatunkach w paczkach po 25 fen.

Częstochowskie krople żołądkowe (składniki: (Elix. amar.; Tr. gent.; aromat.; chin. cps.; aur. cortic.) nie zawodzące w cierpieniach żołądkowych w but. po 1 mk. 6 but. 5 mk.

Telefon 549.

Zakład dentystyczny

Leon Nowicki, Poznań, plac Piotra 2,
drugi dom od ulicy Wrocławskiej. 20

Jedyny polski i największy hurtowny skład w olbrzymich zapasach w wszelkich tylko **wyborowych** gatunkach: **margaryny, masła kokosowego, tłuszczy prawdziwych i sztucznych,** poleca po ogólnie znanych nizkich cenach: 44

P. Michałowicz,

Poznań (Posen) Berlińska ul. nr. 5. Telefon nr. 1918. Adr. telegr.: „Delicatesse."

Najtańsze źródło zakupu dla sprzedających z drugiej ręki. Cennik gratis i franko!

Dla gospodyń w składach tutejszych i na prowincyi jest do nabycia moja specyalna marka margaryny: **„ROWITT"**, która zastąpi najlepsze **„masło stołowe."** Proszę wyraźnie żądać **„ROWITT."**

Fabryka bielizny

Noskowicz & Co.

Pleszew-Pleschen

poleca z dobrego materyału starannie wykonane **obejczyki do koszul damsk.** ręcznie haftowane szt. 1,50, 2,00 i 2,50. **Koszule damsk. z obojczykami** lub haftem ubier. tuz. 12, 15, 18, 24, 30, 36, 42, 48, 54, 60 mk. **Koszule mezk. nocne** tuz. 18, 24, 30, 36, 42 mk. **Kosz. dzienne** (przod. twardy) tuz. 27, 36, 42, 48, 54, 60, 72, 90, mk. **Cennik na żądanie.** 290

Olej

siemienny

w bańkach po 20—30 litrów franko do każdej stacyi poleca

Artur Gustowski
&
Leon Jankowski
Opalenica. Telefon 15.

Najtańsze źródło zakupu dla kupców. 515

Handel

w dobrem położeniu przy rynku, na każdy interes stósowny jest od 1. 4. 06 do wynajęcia. 57

Cz. Robiński,
Krotoszyn.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.



Bitwa pod Austerlitz. Generał Rapp zawiadamia Napoleona o odwrocie gwardyi rosyjskiej.
(Według obrazu Franciszka Gerarda.

Przed stu laty.

Austerlitz.

(Wspomnienie historyczne).

Z cyklu wielkich bitew, jakie stoczył nowożytny bożek wojny, Napoleon Bonaparte, jedno z pierwszych miejsc w legendzie napoleońskiej zajmuje Austerlitz. Bitwa ta, rozstrzygająca ostatecznie kampanię austryacką i zmieniająca ponownie kartę Europy środkowej oraz południowej, rozegrała się w dn. 2 grudnia 1804 r., czyli przed stu laty. Ta setna rocznica skłania nas do treściwego uprzytomnienia krwawych zapasów, stoczonych na polach słowiańskich Moraw.

Przedtem jednak krótkie wyjaśnienie stanu rzeczy przed bitwą. Napoleon zostawszy cesarzem (w r. 1804) wszystkie usiłowania zwrócił ku zgnębieniu Anglii, gotując się przewieść okrętami wielką armię i dumny Albion w proch zetrzeć. Wówczas Anglia podburzyła Austryę do wojny, tłomacząc, że teraz najlepsza pora do zadania ciosu Napoleonowi i odzyskania prowincyi włoskich. Wszak armia francuska gromadzi się nad brzegami morza, nieprędko więc zdoła wyruszyć ku wschodowi, aby odeprzeć pochód wojsk austryackich.

Austrya dała posłuch tej namowie, tem bardziej, że i cesarz rosyjski Aleksander I wszedł do koalicyi przeciw „Uzurpatorowi'', jak Napoleona nazywano, i obiecał pomoc czynną.

Ale Napoleon o wszystkiem zawczasu poinformowany, uprzedził te zamysły. Odkładając na później obrachunek z Anglią, z błyskawiczną szybkością przerzucił armię nadmorską za Ren i zyskawszy sojuszników wśród kilku książąt Rzeszy niemieckiej, szedł śmiało ku Niemcom austryackim. Zdobywszy fortecę Ulm, gromiąc po drodze nieprzyjaciela, dotarł aż do Wiednia, z którego uciekł cesarz Franciszek, cofając się do Czech, dla połączenia się z wojskiem rosyjskiem i sprzymierzeńcem swym cesarzem Aleksandrem, osobiście zdążającym na pomoc Austryi.

Napoleon miał do wyboru: albo oczekiwać, w Wiedniu na nadejście wojsk sprzymierzonych, albo samemu pójść naprzeciwko nieprzyjaciela. Bez wahania wybrał to drugie, chociaż liczebnie był słabszy. Wiedział, że na Morawach nieopodal miasteczka Sławkowa (po niemiecku Austerlitz) na prawym brzegu rzeki Litawy, znajduje się ufortyfikowany obóz wojsk rosyjsko-austryackich, że tam na niego oczekują dla zadania stanowczego, jak mniemali, ciosu.

Tembardziej mogli mieć tę pewność, iż w bitwie forpocztowej pod Wiszawą znieśli parę pułków francuskich, stanowiących awangardę armii. Genialny wódz z porażki potrafił odnieść korzyść. Oto udał zalęknionego i niezdecydowanego. Przez szpiegów rozpuścił wieść, iż nie odważy się atakować zbyt silnego nieprzyjaciela. Uczynił więcej. Nakazał swoim generałom dopełnić kilka ruchów, jakby się miał cofnąć.

— To rejterada — odrzekli w głównej kwaterze sprzymierzonego wojska.

I szef sztabu armii austryackiej jenerał Weyrother ułożył plan zabiegnięcia drogi Francuzom w postaci oskrzydlenia z dwóch stron, oczywiście na znacznej przestrzeni. Taka wśród wodzów obu armii panowała pewność zwycięstwa, iż wszyscy plan Weyrothera przyjęli. Jeden tylko generał Kutuzow sprzeciwiał się temu i, nie dowierzając cofaniu się Francuzów, radził czekać w ufortyfikowanym obozie bez rozdzielenia sił.

Nie usłuchano go. Cesarzowie Aleksander i Franciszek rozkazali wykonanie ruchów oskrzydlających, które Napoleon z góry Santon zauważył.

— Doskonale — zawołał uradowany do swego otoczenia — postępują tak, jakby spełnili mój rozkaz.

Przed wieczorem dnia 1-go grudnia

wydał do wojska następującą proklamacyę:

„Żołnierze! Nieprzyjaciel nas zamierza obejść z prawej strony, ale przez to osłabia swoje prawe skrzydło; ja skieruję wasze siły na ten słaby punkt, a zwycięstwo będzie nasze; ono zakończy wojnę i da nam pokój godny Francyi, wam i mnie.“

Proklamacya ta, w której genialny wódz odsłonił przed wojskiem plan bitwy, obudziła niesłychany entuzyazm i zapał. Mówiono w szeregach:

— Kiedy *on* powiada, że zwyciężymy, to zwyciężyć musimy.

Jeszcze z wieczora nastąpiły ruchy armii w myśl tego planu. Napoleon wobec rozproszenia się wojsk nieprzyjacielskich tak pokierował, aby w każdym poszczególnym ataku mieć przewagę sił, chociaż w sumie posiadał armię o wiele mniejszą. Genialny wódz widział przed sobą w różnych punktach znacznego terytoryum szereg bitew, które się miały złożyć na jedną wielką zwycięzką batalię.

Krótkiego odpoczynku zażywał Napoleon w zamku Austerlitz, rezydencyi Kaunitzów, gdzie miał kawaleryę. Jeszcze o północy objeżdżał szeregi a już o godzinie 4-tej dosiadł konia, aby osobiście się przekonać, czy rozkazy co do dyslokacyi wojska zostały spełnione.

Ranek 2-go grudnia był zimny i mglisty. Raporty oddziałów rekonesansowych brzmiały jednomyślnie: nieprzyjaciel rozciąga się coraz bardziej na długiem półkolu, osłabiając środek i prawe skrzydło.

Kolumny rozdzielone znacznemi przedziałami, nie będą mogły wspierać się wzajemnie.

Jeszcze był zmierzch, gdy wojska rosyjsko-austryackie zaczęły następować właśnie w tych punktach, które poprzedniego dnia wstrzymał Napoleon. Pierwsza walka zawrzała pod wsią Sokolnice. Właśnie w chwili tej zajaśniało wschodzące słońce.

— To słońce Austerlitz — wyrzekł ktoś z otoczenia Napoleona.

I wnet na owej przestrzeni Sławków-Austerlitz w promieniu paru mil wszczął się bój krwawy. Wodzowie poszczególnych oddziałów jak Bagration, Repnin, Langeron (Francuz zbiegły ze swej ojczyzny) i inni już o godzinie 10-tej zrozumieli taktykę Napoleona, którą nieprzyjaciela w pole wyprowadził. Naprawić fatalny błąd było już zapóźno. Korpusy francuskie z wściekłością atakowały, a że wciąż znajdowały się w łączności, jeden drugiego wnet posiłkował.

O godzinie 1-szej nie było już wątpliwości po czyjej stronie zwycięstwo. Gdy Lannes i Murat zostali panami terenu lewego, marszałek Soult, wsparty przez rezerwę, zdobywał plac boju na płaszczyźnie Pratzen. Korpusy te udały się więc na prawo, gdzie liczne kolumny rosyjskie pod dowództwem Bukshövdena uporczywie zamierzały odciąć Francuzów od drogi prowadzącej do Wiednia. Tu przyszedł sam Napoleon, objąwszy dowództwo nad korpusem Soulta, zwiększonym przez dywizyę gwardyi i grenadyerów Oudinota. Pojawił się w samą porę, albowiem marszałek Davoust ostatkami sił gonił, mając przed sobą w trójnasób silniejszego nieprzyjaciela, któremu nadchodziły jeszcze w sukurs kolumny: Przybyszewskiego (Rosyanina) i Langerona.

Z chwilą pojawienia się Napoleona, postać rzeczy natychmiast się zmieniła, kolumny Rosyan zostały odparte w stronę stawów, w których mnóstwo ludzi potonęło, albowiem kruchy lód pod naporem wojska, broni i armat w oka mgnieniu się załamał.

Ostatnim epizodem była szarża jazdy Murata, która pod ogniem kartaczownic zdobyła armaty. Cesarzowie rosyjski i austryacki o zmierzchu po przez pola odcięci od swego orszaku ustępowali z placu strasznego pogromu. Ocalał tylko i cofał się w porządku jedynie korpus pod wodzą ks. Bagrationa. Klęska była kompletna. Naliczono po stronie Rosyan i Austryaków 15 000 zabitych, rannych lub utopionych, około 20 000 jeńców, a w tej liczbie 8 generałów i 10 pułkowników. Francuzi zdobyli wielki tabor wojenny oraz 180 armat, straciwszy w zabitych i rannych około 7 000 ludzi.

Nazajutrz Napoleon w zamku Austerlitz wydał ognistą proklamacyę do wojska, która się tak kończyła:

„Francya ujrzy was z radością. Dość wam będzie powiedzieć: Byłem w bitwie pod Austerlitz, a odpowiedzą: oto waleczny“.



Napoleon w biwaku pod Austerlitz.

Żołnierze batalię austerlitzką nazwali „bitwą trzech cesarzów“; nadmieńmy jeszcze, że nastąpiła ona w dzień pierwszej rocznicy koronacyi Napoleona (dnia 2-go grudnia 1804 r. był koronowany).

Na losy Polski Austerlitz żadnego nie miał wpływu, chociaż wielu Polaków w szeregach francuskich walczyło Napoleon przy zawieraniu pokoju z Austryą nic o Polsce nie nadmienił, lubo cesarz Franciszek miał pod swem berłem spory szmat rozczłonkowanej ojczyzny naszej.

„Kwestya polska“ wyłoniła się w rok później po pogromie Prus pod Jeną (w październiku roku 1806), a do utworzonego wówczas księstwa Warszawskiego dopiero po kampanii roku 1809, przyłączono kęs ziemi polskiej z zaboru austryackiego.

S. Antoniewski.

Z ojczystych stron.

Miasto Lidzbark
W PRUSACH ZACHODNICH.

Opisał Konstanty Kościński.

(Ciąg dalszy).

III.

Przejście pod panowanie polskie.

Wielkie zaiste i wiekopomne Polacy odnieśli zwycięstwo nad Krzyżakami pod Grunwaldem, ale nie skorzystali z niego tak, jakby byli mogli, gdyby okazali byli więcej sprężystości. Dla tego też pokój zawarty w Toruniu w styczniu 1411 roku był dla Polski niekorzystnym. Krzyżacy jednakże poniesionych strat już powetować nie mogli, choć robili jeszcze rozpaczliwe wysiłki. Urok imienia polskiego wzrastał i potęga państwa Jagiellonów wzmogła się znamienicie. Rządy Krzyżaków natomiast coraz bardziej się chwiały i doprowadziły ostatecznie do

burz wewnętrznych, które przyspieszyły ich zgubę. Powstał wtedy w Prusach tak zwany „Związek jaszczurkowy,“ który usilnie pracował nad tem, aby zrzucić jarzmo mnichów-rycerzy. Tenże „Związek,“ do którego szlachta i miasta pruskie należały, wypowiedział Krzyżakom posłuszeństwo dnia 4-go lutego 1454 roku i poddał się Polsce. Wywiązała się z tego wojna, która zakończyła się pokojem toruńskim dnia 19-go października 1466 roku, na mocy którego między innemi i ziemia michałowska razem z miastem Lidzbarkiem dostała się pod panowanie polskie.

Starostwo i starostowie.

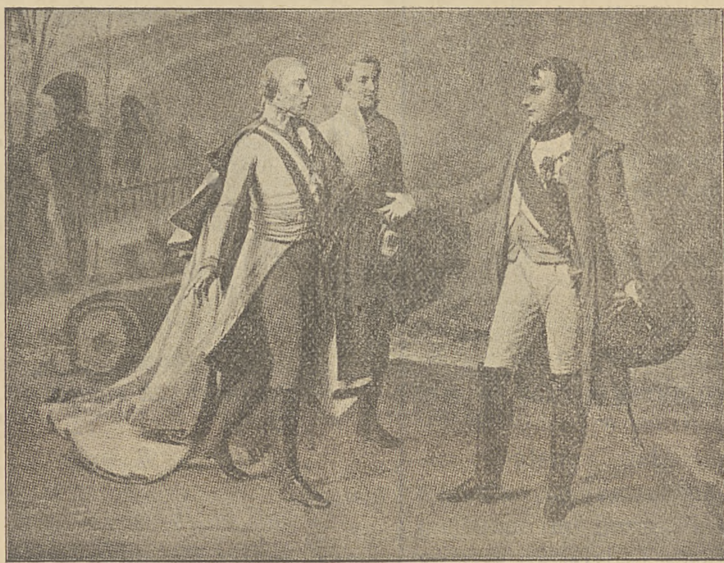
Po zawarciu pokoju toruńskiego w roku 1466 krzyżackie wojtostwo w Lidzbarku stało się polskiem starostwem niegrodowem. Szczupłe i niedostateczne w tym przedmiocie dochowały się wiadomości. Wiemy tylko z dokumentu z dnia 28-go lutego 1603 roku, że naówczas był dzierżawcą Lidzbarka Michał Działyński podkomorzy chełmiński, — a z lustracyi z r. 1664, że do starostwa lidzbarskiego zaliczały się miasta Lidzbark i wsie Wąpiersk, Jeleń, Jamielnik i Podciborze. Jakiego rodzaju było gospodarstwo starostów, wyjaśniły by to zachowane jeszcze rachunki z lat 1625 i 1626 jako też i z r. 1632, ale te rachunki obecnie są dla nas nieprzystępne. Dziwnym bowiem sposobem dostały się one do Metryki litewskiej [1], a z nią wywieziono je najpierw do Petersburga, a następnie przed mniej więcej 25 laty do Moskwy. Tytuły tych akt są: „Rachunek dzierżawy Lidzbarskiej, który się zaczął od św. Jana anno 1625 i skończył się na tenże dzień św. Jana 1626 roku.“, jako też „Summariusz rachunków Lidzbarskich z r. 1632.“

Ostatnia lustracya polska z r. 1765 wspomina, że zamku w Lidzbarku wtedy już nie było, że był tylko dwór nad rzeką, w szachulec budowany, i że starostwo lidzbarskie z czynszów i kanonów miało intraty monety dobrej złotych 460.

W księgach kościelnych lidzbarskich około roku 1770 wymieniono wprawdzie pewną osobę mieszkającą „in arce,“ a więc w zamku, ale ten zamek ówczesny był sobie zwyczajnym domem, i jak widzimy z lustracyi z r. 1765, w szachulec wystawiony. Roku 1771 posiadał starostwo lidzbarskie Stefan Rumocki, wraz z żoną Anną z Pląskowskich, którzy opłacali z starostwa kwarty złotych polskich 1071, groszy 7. Dzierżawcą starostwa lidzbarskiego, z ramienia Rumockich, był około roku 1770 Jan Górski z małżonką Białobłocką.

[1] Opisanije knig i aktow Litowskoj Metyki, dostawił Metrykant Ptaszyckij. Sanktpetersburg. Typografija prawitelstwujuszczawo Senata 1887. str. 168 i 203.

Roku 1772 wskutek podziału Polski wziął rząd pruski starostwo lidzbarskie w swoje posiadanie, grunta starościńskie rozparcelował i puścił je w wieczną dzierżawę. Z kontraktu wieczysto-dzierżawnego z dnia 11-go marca r. 1786 przekonujemy się, że stary dom starościński (Altes Amtshaus) znajdował się tam, gdzie obecnie ewangielicy mają swój cmentarz lub też obok. W pobliżu domu starościńskiego mieściły się zabudowania gospodarcze. [2]) W Lidzbarku, jak przypuszczamy, we dworze starościńskim — urodził się 1767 r. Piotr Jan Paweł Maleszewski, syn hrabiego Maleszewskiego i małżonki jego Maryi Wiśniewskiej, córki generała Wiśniewskiego. Tenże Piotr Jan Paweł Maleszewski znany jest z dzieł swoich historycznych, które we Francyi w języku francuskim wyszły. [3])



Spotkanie Napoleona z cesarzem Franciszkiem II po bitwie pod Austerlitz.

Ustrój miasta, burmistrze, urzędnicy, obywatele, cechy, podatki.

O wewnętrznem urządzeniu miasta Lidzbarka mało wiemy z czasów panowania polskiego, ponieważ archiwalia po największej części uległy zniszczeniu. Z szczątków piśmiennych zaledwie kilka drobnych zebrać mogliśmy szczegółów. Ulice były między innemi: Jobowa, Mazurska zwana później Działdowską, Panny Maryi, wiodącą do kościoła pod temże wezwaniem. Rynki były dwa: główny, dziś jeszcze istniejący i stary w pobliżu św. Jana (na posesyi teraz K. Kościńskiego [4]).) Brama jedna od strony Działdowa zwała się Mazurską. Ratusz był, ale niewiadomo w jakiem stał miejscu. Rządy miejskie sprawował burmistrz z radą składającą się z ławników (czyli gmińskich). Nazwiska tychże urzędników miejskich, o ile mogliśmy je zebrać, najlepiej nas objaśniają, że ustrój miasta spoczywał w ręku polskiem.

[2]) Akta hip. Lidzbark „Amtsgrund“ Nr. 23 i 3.

[3]) „Essai historique et politique sur la Pologne depuis son origine, jusqu'en 1788. Paris chez Fournier. 1832.

W różnych dokumentach występują:

1564 r. Bartłomiej, burmistrz,

1751 r. Tułodziecki Józef, burmistrz,

1751 r. Gorczyczewski Krysztof, wiceprezydent, 1766 r. rajca,

1751 r. Rynkowski Franciszek, radny,

1751 r. Boguszewski Mateusz, radny, 1757 pisarz przysięgły,

1751 r. Sędlewski J., pisarz miejski,

1752 r. Umięcki Wawrzyniec, radny,

1760 r. Szmyt Tomasz, sekretarz miejski,

1761 r. Maliszewski Jo: „vicepatronus contubernii figulorum,“

1766 r. Langner Wojciech, gmiński,

1766 r. Sędlewski Jan, gmiński,

1766 r. Marchelkowicz Paweł, gmiński,

1766 r. Gorczyczewski Adam, notaryusz przysięgły,

1771 r. Gierłowski Michał, członek magistratu.

Nazwiska obywateli lidzbarskich dowodzą także polskości mieszkańców. Mieszkali w Lidzbarku:

1564 r. Piotr stary, Piotr Gorczyca, Mikuła, Wojciech Koziołkowicz, Bartłomiej Kuna.

1751 r. Jabłoński Michał, Sobotkie-

[4]) Lidzbark Nr. 157.

wicz Franciszek, Dąmbrowski Jakub, Falkowicz Jakub, Neyman Jakub, Paweł Dąmbrowski, Krankowicz Jan, Wojdkowicz Stanisłow.

1752 r. Kater Sebastyan (1766 r. Katerkowicz),

1756 r. Licznerski (Litzner) Tomasz, sprowadził się z Łążyna,

1759 r. Gromkowic Bartłomiej,

1761 r. Cieplicki Maciej,

1763 r. Kamieński Wojciech,

1764 r. Białecki Walęty,

1766 r. Niedalekiewicz Bazyli,

1766 r. Bieniszewski, (1784 r. Józef B.),

1769 r. Dygnowski Jakub (1765 Dygnacy),

1769 r. Trojanowski Maciej.

Mieszczanie lidzbarscy, o ile nie należeli do stanu rolniczego, już za polskich czasów łączyli się w cechy. Roku 1564 „uczciwi sąsiedzi zupełnego cechu rzemiosła *garncarskiego*, starsi i młodsi" przynieśli przed burmistrza i uczciwą radę miasta Lidzbarka wyciąg z wilkierza garncarzy królewskiego miasta Brodnicy, prosząc, aby ten to wilkierz za wiadomością radziecką przyjęty, pieczęcią dla nich utwierdzony został. na co też burmistrz z swą radą zezwolił. [5])

W tych samych może już czasach istniał (bardzo znaczny niegdyś) *cech sukienników*, po którym tylko pozostała pieczęć z legendą:

„Sigilum Contuber. Civit. Lautem. Penifex."

Cech szewski ma swoją ustawę zatwierdzoną przez Zygmunta króla polskiego dnia 28-go lutego 1603 r. [6])

Cech krawiecki jest także bardzo dawny, choć skrypta jego tylko od r. 1794 się zachowały. Znajdują się one w archiwum radzieckiem (Rathsarchiv) w Toruniu.

Rzeźników 1765 r. nie było żadnych w Lidzbarku. Każdy sam sobie bił wieprze, cielęta, owce i woły na własne potrzeby.

Handel był tu już od dawna dość znaczny. Król polski Zygmunt I. pragnąc polepszyć byt miasta, pozwolił 1531 r. na zaprowadzenie targu, a nadto ustanowił jarmark na św. Wojciech i w pierwszą niedzielę po Wniebowzięciu Najśw. M. Panny. Miasto miało swoją „miarę lidzbarską." [7])

Roku 1765 płaciło miasto do zamku takie podatki: z każdego domu po szelągu, z włóki po groszy 10 monety dobrej. Szewcy od każdej ławy — których mieli 20 — po groszy 10. Od słodów dawano do zamku macowe a mianowicie: od każdej sztuki, w której było korcy 16, dawało się słodu półkorzec, co uczyniło na rok wiertli 170, czyli 42 korce i wiertle 2. Włók miało miasto r. 1765 posiadać 74, jak prawo ich opiewa. [8])

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[5]) Urywek starego pisma w posiadaniu p. Majewskiego w Lidzbarku.

[6]). Kopija na pergaminie w posiadaniu p. Dziewierzyńskiego.

[7]) Akta hip. Lidzbark 52. Dokument z r. 1799.

[8]) Lustracya. Baliński i Lipiński.

Gdzie słychać piosenkę?

Na nutę: Albo my to jacy tacy...

A jak polska piosnka leci
Z piersi polskich dzieci,
To od Wisły aż do Warty
Świat przed nią otwarty!
Utulą, ukoją,
Poznają jak swoją,
Bo ta nasza zorza,
Od morza do morza!

A jak polska piosnka leci
Z piersi polskich dzieci,
To od Warty aż do Buga
Droga jej — jak długa. —
Śpiewa Mazur, zasie
Śpiewa i Podlasie,
Boć ta nasza zorza
Od morza do morza!

A jak polska piosnka leci
Z piersi polskich dzieci,
To od Niemna, Wilii brzega,
Echo się rozlega.
Lachy i Litwiny
Jednej matki syny,
Boć ta nasza zorza,
Od morza do morza!

A jak polska piosnka leci
Z piersi polskich dzieci,
Białowiezka puszcza dzwoni
Gopło szumi od niej...
Po Karpaty-góry,
Leci pod lazury,
Boć ta nasza zorza,
Od morza do morza!

Jan Sawa.

Wspomnienie o Kazimierzu Puławskim.

(Szkic historyczny)

Napisał Karol Cieszewski.

XXXII.

Klęska hetmana Ogińskiego.

Suwarów, jeden z najzręczniejszych a więc najszkodliwszych ówczesnych wodzów, „umiejąc mierzyć siły po cofnieniu się Puławskiego do Częstochowy, poprzestał na demonstracyach"... Demonstrował więc pozornemi napadami aż do września, utarczki te jednak wszystkie były małoznaczące, i ani dla jednej ani dla drugiej strony, żadnych stanowczych nie przyniosły rezultatów.

W Litwie tymczasem, czynny i dzielny Kossakowski „zaczął znowu roznosić ogień konfederacyi i obudzać niespokojność Moskali". W małej z początku wszedłszy tamże sile, kilka znaczniejszych wygrał potyczek, które zatrwożyły Moskali, a następnie obrócił się z Wilna ku Kurlandyi, „napadając tu i owdzie na posterunki nieprzyjacielskie, zabierając magazyny i transporta".

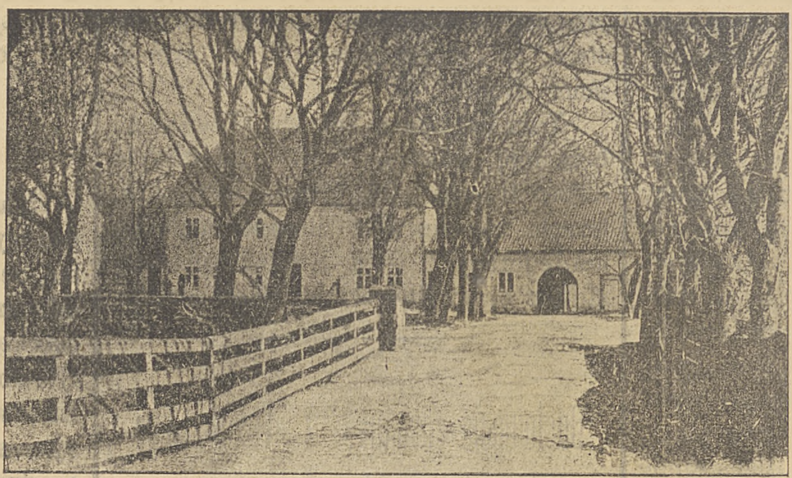
Wkrótce Litwa cała była w powstaniu. „Przybywali z różnych stron ochotnicy, a rekruci Radziwiłłowscy powiększyli tak dalece korpus Kossakowskiego, że tenże podzieliwszy go na trzy oddziały, obejść Smoleńsk i wojnę w granicę Moskwy przenieść obiecywał sobie. Prócz tego około dwóch tysięcy szlachty czekało tylko wybuchnienia Ogińskiego, aby wsiąść na koń".

Gorący hetman litewski czekał przez cztery lata i patrzał spokojnie na krew, co się lała strumieniami w około niego, zanim sobie przypomniał, że jest Polakiem i coś dla Ojczyzny zrobić powinien: a i to dopiero wtedy, gdy Moskwa zapytawszy go kategorycznie „czy hetman za konfederacyą czy przeciwko niej wojska zgromadził" — zapytanie to swoje zbrojnemi oddziałami poparła. Wtedy dopiero oświadczył się Ogiński za konfederacyą, a widząc, że sam pośpiech ocalić go może" — uderzył na Moskali, i tak pod Radzicą (6 września) jako też wkrótce potem pod Zelwą, świetne odniósł zwycięstwa.

Ale — dziwna rzecz doprawdy! z tą pomocą wielkich panów. Jakieś niebłogosławieństwo boże ciąży na krwią Ojczyzny zbroczonych ich rękach; bo od czasu jej rozebrania czego się dotkną, piętnują krwawem znamieniem niepowodzenia.

Skutek to naturalny roli, jaką odegrali. Zdemoralizowani za Stanisława Augusta, współpracownicy rozbioru Ojczyzny, obojętni widze zamarłej — z piętnem Kaina na czole chodzą martwi w pośród żywego społeczeństwa i czując swoje niedołęstwo i złą wiarę, nienawidzą instynktowo wszystkie usiłowania żywych, mogące ich powołać do pracy i pociągnąć do odpowiedzialności. Przyzwyczajeni do zbytków, zniewieścili, nawykli do trzymania się dworów — nie pojmują dzielnego prądu, jaki wieje w żywych narodach, a trawiąc w próżniactwie dnie swoje, z każdem pokoleniem stają się niedołężniejsi, a są zawsze ostatni i najnie-

WIDOKI Z NAD JEZIÓR MAZURSKICH.



Podwórzec zamku krzyżackiego w Szczytnie.

W zamku na powyższej rycinie zobrazowanym Krzyżacy więzili rycerza Juranda, siłacza, jednego z najgłówniejszych bohaterów przepięknej powieści Henryka Sienkiewicza p. t. „Krzyżacy". Juranda udało się Krzyżakom podstępem dostać w swoje ręce; pastwili się nad nim w barbarzyński sposób, głodząc go i łupiąc mu oczy. Jurand jednakże miał jeszcze nawet w tak groźnem położeniu tyle siły, że się strasznie zemścił na prześladowcach.



Rynek w Szczytnie.

Szczytno, to skromna mieścina, usłana nad niewielkiem jeziorem, którego jedna część dzieli je od przedmieścia Bartnik czyli „Bartniej strony". Szczytno liczy około 4,000 mieszkańców ewangielickich. Tutaj wychodziła pod koniec swego istnienia w roku 1901-ym mazurska „Gazeta Ludowa", redagowana naonczas przez Pawła Neuhaus-Nowodworskiego.



Kościół katolicki w Bartnikach.

W Bartnikach czyli „Bartniej stronie" — przedmieściu Szczytna — wznosi się dumnie kościół katolicki z potężną wieżą w banalnym gotyku. Wieża ta spaliła się w zeszłym roku podczas burzy. Bartniki liczą około 3,000 mieszkańców katolickich. Jak snadnie się domyślać, w czasach, gdy puszcza leśna pokrywała mazurską płaszczyznę, gnieździła się tu kolonia bartników i ztąd nazwa osady.

chętniejsi w niesieniu pomocy Ojczyźnie.

Są wyjątki, ale te zna Polska; bo są tak nieliczne, że je na palcach policzyć zdolamy. — Przebiegnijmy tylko dzieje ostatniego stulecia, stulecia próby i zasług, a przekonamy się łatwo, czy twierdzenie to jest prawdziwe lub nie.

Nie w nieblogosławionem kierownictwie wielkich panów leży zbawienie Polski — oni ją tylko do zguby poprowadziliby, tak jak to już raz uczynili. W warstwach świeżych, dzielnych, zdrowych, żywych, w warstwach średnich, w inteligencyi narodu szukać go należy — bo z tych tylko warstw wytryśnie zdrój nowego życia, bo w niej tylko jest jeszcze żywa wiara, miłość i nadzieja, jak to nieustannie krwią najdroższą stwierdzają; a więc w niej jedynie są warunki bytu.

Ale do tej świadomości, konfederacya barska jeszcze nie była przyszła: dopiero krwawy wiek doświadczeń zdołał przekonania te wyrobić w narodzie, wraz z nadzieją, że dopiero ta warstwa, zakwitnąwszy świeżem życiem, zdoła podnieść do pracy upadłych synów narodu i powrócić ich na łono przebaczającej Ojczyzny...

Tak samo działo się i z pomocą litewskiego hetmana. Nie biorąc udziału zaraz od zawiązania się barskiej konfederacyi, gdy i kraj był mniej wycieńczony, i król mniej znienawidzony mógł łatwiej przyłączyć się do związkowych, i wojsk moskiewskich mniej było w kraju, a co najważniejsze, sąsiedzi nie mieli jeszcze projektów rozbiorowych i namyślali się podobno, czy pomagać lub szkodzić mają nieszczęśliwej Polsce — powstał dopiero po latach czterech trwającej walki, a po 17-to dniowej kampanii zakończył karyerę swą wojskową.

Pierwsze dwa zwycięstwa Ogińskiego pocieszyły jeneralność, patryotów w Warszawie i w całym kraju, a nabawiały niespokojności króla i imperatorową. Potrzeba ukojenia Polski ukazała się naglejszą, niż kiedykolwiek; wzmagał się bowiem silnie bunt Puchaczewa; szerzące się powietrze w okolicach Moskwy pomnażało malkontentów; Kossakowski zaczął wpadać w granice Moskwy, a szlachta kurlandzka zaczynała powstawać; Kałmucy uchodzili do Chin. Złożono w Warszawie radę, na której zwołać sejm na grudzień postanowiono. Już kancelarya odebrała rozkaz wygotowania uniwersałów, gdy smutny upadek Ogińskiego po czteroletnich namysłach a 17-to dniowej kampanii, zupełnie inny obrót dał sprawie konfederacyjnej.

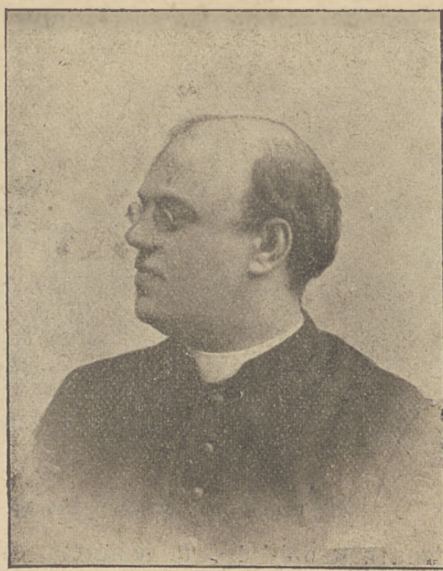
W Stojowicach, dobrach do kawalerów maltańskich należących, był wygodny pałac; tu więc postanowił Ogiński przenocować, z 22 na 23 września. A że zapomniano o wszelkich ostrożnościach, zaszli Moskale tak niespodzianie na obóz śpiących, że bez walki jak najświetniejsze odnieśli zwycięstwo, a hetman zaledwie z życiem uciec zdołał.

Taki był koniec rokoszu litewskiego hetmana, którego klęska „zniszczyła owoce trzechletnich prawie namysłów, trzech zwycięstw i słuszne nadzieje konfederacyi" — a Stołowicze stały się bez bitwy litewskiemi Cheroneami...

Odsłonięcie pomnika X. Łukowskiego

w kościele św. Michała w Gnieźnie.

Prastary gród Lecha złożył świeżo w kościele św. Michaała w Gnieźnie hold prawdziwemu kapłanowi i patryocie zarazem. W kościele św. Michała wobec licznie zgromadzonych wiernych i znacznego zastępu duchowieństwa odsłonięta została skromna tablica dla kapłana, którego pamięć zwłaszcza w czasach dzisiejszych społeczeństwo nasze otoczyć powinno czcią. Skromna czarna tablica marmurowa umieszczona po prawej stronie ołtarza nosi następujący napis:



Ś. p. ks. dr. Jan Nep. Łukowski.

†

X. Jan Nep. Łukowski

obojga prawa doktor
prałat domowy Ojca św.
proboszcz parafii
św. Michała Zbawskiego
wikaryusz generalny i officyał
archidyecezyi gnieźnieńskiej
w końcu członek
Kongregacyi XX. Filipinów
ur. 15 maja 1846 r. w m. Ostrowie
† 29 grudnia 1904 r. w Tarnowie
Pobożny, gorliwy, uczony
pełen zasługi
w Kościele i w Ojczyźnie.
Czcząc jego zacną pamięć
kamień ten
spółbracia kapłani, rodzina,
obywatele miasta Gniezna
i wdzięczni parafianie
ze składek położyli
R. I. P.

Kamień ten niewiele mówi. Przedewszystkiem trudno się z niego doczytać, że kapłan, którego cnoty i zasługi tak uczczone zostały, *to pierwsza ofiara obecnego systemu polityki kościelnej.* Nie doczyta się tam nikt, że śp. X. Jan Łukowski, jako oficyał surowo zganił ówczesnego proboszcza wrzesińskiego, a dzisiejszego Arcybiskupa X. Stablewskiego, ponieważ bez wiedzy swej przełożonej władzy zaprowadził niemieckie kazania we Wrześni. Następstwem tego kroku, podyktowanego względami kościelnemi a pewnie także narodowemi, było, że X. Łukowski po objęciu rządów dyecezyi przez obecnego X. Arcybiskupa poszedł na dobrowolne wygnanie do klasztoru Filipinów w Tarnowie. Cała uroczystość to niejako demonstracya, bezwiedna i mimowolna może, która od szeregu lat wstrząsa społeczeństwem naszem. Przypuszczamy też, że nie bez celu w swej mowie żałobnej zaznaczył poseł X. *prałat Jażdżewski, iż X. Łukowski jako regens seminaryum starał się wyrobić w młodzieży duchownej silne charaktery,* bo doprawdy silnego charakteru potrzebują księża nasi, aby się mogli oprzeć pokusie rządowej. Niech im pod tym względem przyświeca czcią otoczona postać śp. X. Łukowskiego, który poszedł na wygnanie, ale nagiąć się nie potrafił do wymagań systemu pruskiego.

Mszą świętą żałobną odprawił Najprzewiel. X. Biskup Andrzejewicz.

„Lech".

Myśli i zdania.

Nie rozgłaszaj przywar ukrytych, jakie dostrzeżesz u twych znajomych, bo tem ich zniesławisz a swojego poważania nadwerężysz.

Kto naukę posiadł a dobrych uczynków nie spełnia, ten podobny jest rolnikowi, co rolę zorał, ale ziarna w nią nie rzuca.

Iść na pięści z lwem a z dłonią na ostrze szabli, zaprawdę to nie jest rzeczą rozumnych.

Maciej Wierzbiński.

Naczelnego redaktora naszego tygodnika, p. Macieja Wierzbińskiego, skazanego na półtora roku więzienia za artykuł zamieszczony w „Pracy“ p. t. „Niebezpieczne ambicye Niemiec“, wywieziono świeżo z więzienia poznańskiego do centralnego więzienia do Wronek.

Maciej Wierzbiński, syn śp Władysława, zasłużonego publicysty i dzielnego posła poznańskiego i Felicyi z Koszuckich, zamieszkałej już od lat kilku w Londynie, urodził się w Poznaniu dnia 15-go lutego 1863-go. Nauki początkowe pobierał w swem mieście rodzinnem, w Poznaniu, gimnazyum ukończył w Opolu, na Szląsku, a studya uniwersyteckie odbył w Berlinie, na wydziale prawnym.

Jego pierwsza młodość — pisze Teodor Jeske-Choiński — przypada na chwilę, w której Poznań postanawił być praktycznym. Wszelkie muzy, wszelką dziatwę Apollina, skazano około r. 1870 nad Wartą na banicyę, wypędziwszy je bez litości z miasta Libeltów, Morawskich, Raczyńskich i tak dalej.

Echa głosów działaczów publicznych docierały aż do cichych sal szkolnych, w których młodzież czerpała światło i poglądy idealne na życie i jego cele ze starych klasyków greckich i rzymskich. Słowem: bank, giełda, kupiec, inżynier, przemysłowiec, sto tysięcy, milion i t. d., padały na świeże wyobraźnie dzieci, obrzydzając im nieopłacający się trud nad książką.

— Na co wam ta mitręga wieloletnia, która nic nie przynosi, kiedy możecie w czasie daleko krótszym zdobyć byt wygodny, pracując na domiar użyteczniej dla kraju? Na co nam ludzie z wykształceniem? Niepraktyczni to ideologowie.

W ten sposób przemawiała do kształcącej się młodzieży rodzina i prasa.

Więc rzucał jaki taki książkę i szedł między kupców. A kto skończył szkoły, ten udawał się do akademii inżynierskich, budowniczych lub innych zakładów technicznych.

Wir ten porwał i uniósł Macieja Wierzbińskiego. Aczkolwiek czuł on pociąg do pióra a bardzo wcześnie, bo już na ławie szkolnej napisał dwie nowele: p. t. „Grusza na pustkowiu“, i „A jednak pokochał“ (drukowane w poznańskim „Tygodniku dla kobiet“), mimo to, przerzucił się z wydziału prawnego do handlu. Odbywszy praktykę kupiecką w Antwerpii, przeniósł się do Anglii, do Londynu, gdzie przebywał jako reprezentant fabryk francuskich i amerykańskich.

Zajęcia handlowe wytrąciły z rąk Wierzbińskiego na czas dłuższy pióro, dopiero w r. 1895-tym, przypomniał on sobie upodobania pierwszej młodości i zaczął znów pisać, lecz na razie prawie wyłącznie po angielsku. Równocześnie pomieszczał Wierzbiński w pismach warszawskich i poznańskich najpierw korespondencye i sprawozdania literackie, a następnie nowele; znanym jest pod pseudonimem „Roman Rola“.



Maciej Wierzbiński.

Wierzbińskiemu, jako człowiekowi wszechstronnie utalentowanemu za powrotem do kraju powierzono naczelne kierownictwo „Dziennika Kujawskiego“, a następnie powołał go p. Marcin Biedermann w 1902-im roku na naczelnego redaktora „Pracy“, na którem to stanowisku pozostał aż do dnia uwięzienia t. j. do dnia 25-go listopada r. z.

Maciej Wierzbiński jest bez zaprzeczenia pierwszorzędną siłą tak dziennikarską jak literacką, o czem świadczą jego jędrne artykuły polityczne i piękne recenzye teatralne, zamieszczone w „Pracy“.

Nasz więzień był także współpracownikiem pierwszorzędnych gazet angielskich, w których informował Anglików dokładnie o wszelkich wyrządzanych nam przez Prusaków krzywdach, co się może naszym „najserdeczniejszym“ wobec naprężonych stosunków prusko-angielskich nie podobało, a co się poniekąd także przyczyniło do wydania tak srogiego wyroku.

Ciężka jest dola redaktorów polskich; nad ich głowami wisi ustawicznie miecz Damoklesa w postaci przeróżnych paragrafów kodeksu karnego i prawa prasowego. Miecz ten dotknął zbyt srogo i zbyt boleśnie naszego dzielnego szermierza za sprawę narodową. Niech mu współczucie rodaków osłodzi ciężkie chwile kaźni! —*ski.*

Zakład św. Kazimierza
w Poznaniu na Śródce nr. 8.

Dwa lata odbiegły od czasu, gdy w roku 1904-ym z inicyatywy pani profesorowej Jaroczyńskiej oświadczyli pp. Janostwo Komendzińscy gotowość ufundowania zakładu dla kobiet starszych, samotnych, aby im zapewnieniem bytu materyalnego na starość przyczynić się do złagodzenia losu. — Dzięki staraniom i energicznym zabiegom p. prof. Jaroczyńskiej rzecz z początkiem roku 1904 dojrzała tak dalece, że dnia 18 lutego 1904 mógł ks. radzca Michalski, proboszcz parafii katedralnej, poświęcić przeznaczone na ten cel pomieszkanie na Ostrówku nr. 7, opłacane przez pp. Komendzińskich, ,składające się z dwóch pokoi i kuchni. Zakładowi nadano nazwę „Dom św. Kazimierza“. Po poświęceniu obrano zarząd.

Ks. radzca Michalski przyjął urząd kuratora, pani Komendzińska urząd przewodniczącej, pani Jaroczyńska urząd wiceprzewodniczącej, panna Wanda Kolanowska urząd skarbniczki, panna Marya Thielemann urząd sekretarki.

Zarządu domowego podjęła się Siostra Miłosierdzia Ludwika Walich za zgodą Siostry Wizytatorki Giersberg.

Dnia 23 lutego Najprzewielebniejszy ks. Arcybiskup dr. Stablewski przesłać raczył na ręce p.prof. Jaroczyńskiej swe błogosławieństwo dla fundatorów i inicyatorki Zakładu.

Tegoż dnia przyjęto do Zakładu panie: Wilkońską, Smolińską, Hilnerową, Hechelską, Seredyńską i Kalksteinową.

W kwietniu przynajęto jeden pokój i kuchnię, gdyż przybyły panie: Wąchnicka, Tybiszewska i Krzesińska.

W październiku przeniesiono Zakład na Śródkę nr. 8 do domu pana Gablera, do obszerniejszego pomieszkania, i przyjęto panie: Swiderską, Jordan, Schneider, Tyczyńską, Gładysz, Czechert, Buchwald, Waldowską, Korzeniowską, Siewkowską i Kaźmierską. Z końcem pierwszego roku miał Zakład 20 pań i dwie służące .

Panie otrzymywały w Zakładzie całkowite utrzymanie, stancyę, opał, światło i opranie, oraz pomoc lekarską, którą na czas nieograniczony ofiarowali pp. dr. Gantkowski i dr. Michalski. Opłatę miesięczną za utrzymanie unormował zarząd w następujący sposób:

Panie, chcące mieć pokój dla siebie, płacą 30 marek miesięcznie, panie mieszkające we dwie w jednym pokoju,

15 marek, mieszkające we trzy 10 marek miesięcznie.

Dochód ogólny roku 1904 wynosił 3178 marek. Na sumę tę złożyły się składki członków, dochód z zabaw i odczytu, dar 200 marek, odebrany od „Straży św. Józefa", i datek roczny pp. Komendzińskich na komorne (600 marek.)

Na fundusz żelazny złożyli w roku 1904: Ks. kanonik Krępeć 300 marek, p. Busse z Bydgoszczy 1500 marek.

Nadto otrzymał Zakład zasiłek w produktach wiejskich od kilku obywateli ze wsi, od poszczególnych zaś osób z miasta znaczną ilość domowizny. — Rozliczne firmy kupieckie zaznaczyły swoją przychylność bądź to dając darmo towary, bądź to czyniąc znaczne ustępstwa z okazyi zakupna; wymienić nam trzeba z uznaniem przedewszystkiem firmy: Krzyżanowski, Ignatowicz, Rose, Łabendzińska, Mroczkiewicz, Szulczewski, Otmianowski, Eichstaedt, Twardowski, Śniegocki, Frenzel z Poznania i Markiewicz z Kostrzyna.

Apteka p. Życkiego na Chwaliszewie przez cały rok bezpłatnie dostarczała lekarstw; p. Walkowski, następca p. Życkiego, w roku 1905 udzielił 20 procent rabatu. Firma Michalski i Sp. ofiarowała piękną figurkę Patrona Zakładu, św. Kazimierza.

W ciągu roku p. Komendzińska złożyła urząd przewodniczącej, a przewodniczącą została p. prof. Jaroczyńska.

* * *

Rok 1905.

W rocznicę założenia Zakładu odbyło się pierwsze walne zebranie członków w refektarzu zakładowym. Ksiądz radzca Michalski przedstawił obecnym bilans z minionego roku i żywo zachęcał do rozszerzenia działalności, celem powiększenia dochodów Zakładu. — Przyjęto w dalszym ciągu obrad propozycyą utworzenia ściślejszego komitetu, któryby był pomocą zarządowi. Do ściślejszego komitetu obrano panie: Dalską, Eichstaedtową, Eckertową, Kolską, Matecką, Tomaszewską, Więckowską.

Zarząd pozostał na razie ten sam — uległ jednak w ciągu roku zmianie; wiceprzewodniczącą obrano panią Ludwikę Plucińską, sekretarką pannę Zofię Matecką, a jej zastępczynią panne Zofię Prusimską; do komitetu pozyskano panią Stanisławę Kowalską.

Pod ściślejszym nadzorem Przewodniczącej zarząd domowy objęła z dniem 1-go lipca pani Sikorska, po ustąpieniu Siostry Ludwiki z powodów od niej niezależnych.

Ogółem przez rok odbyło się 5 zebrań; pomiędzy innemi walne zebranie wszystkich członków w dniu 29-go września, w „Domu Katolickim," celem zainteresowania szerszych kół publiczności i pozyskania większej ilości członków.

W ciągu roku przynajęto 4 pokoje i kuchnię i przyjęto pań 7: Domagalską, Klempf, Adamską, Chrzanowską, Maszewską, Karłowską.



Marya Jaroczyńska.

W lipcu opuściła Zakład p. Siewkowska. W październiku opuściła Zakład p. Domagalska. Natomiast wstąpiły panie: Zalęska i Masłowska. Z końcem roku liczył zakład 28 pań i dwie służące. Bilans całoroczny przedstawia się, jak następuje:

Dochód w r. 1905 wynosił 10390,77 mrk. Rozchód 9583,13 mrk. Zostaje na rok 1906 807,64 mrk.

Na fundusz żelazny złożyła w roku 1905 p. Busse z Bydgoszczy 4500 mrk. (razem więc z złożonemi w 1904 roku 1500 mrk. 6000 mrk.)

Bilans całoroczny świadczy o pomyślnym rozwoju Zakładu. Chcąc go jednakże ufundować na stałych podwalinach, na wzór istniejącego w Poznaniu „Domu pod Opatrznością," będącego przytulkiem dla starców, a posiadającego własny dom i ogród, trzeba nam zjednać Zakładowi we wszystkich kołach naszego społeczeństwa trwałe poparcie. W ostatnim czasie zainteresowało się sprawą naszą obywatelstwo ze wsi, zapisując się jednakże w małej tylko liczbie na stałych członków Zakładu.

Reasumując wszystko, mamy ufną nadzieję, że w społeczeństwie naszem nie zabraknie ludzi ofiarnych, którzy rozpoczętemu dziełu ku wspieraniu przez los pokrzywdzonych, upaść nie pozwolą.

Wszystkim opiekunom, dobrodziejom i życzliwym składamy szczere podziękowanie za udzielone nam poparcie i ułatwienie przeprowadzenia powziętego zadania.

Zarząd.

Ks. Michalski, kurator. *Marya Jaroczyńska,* przewodnicząca.
Ludw. Plucińska, wiceprzewodnicząca. *Wanda Kolanowska,* skarbniczka.
Zofia Matecka, sekretarka.

*

W środę dnia 21 marca odbędzie się w teatrze polskim *przedstawienie amatorskie na dochód przytulku dla starców „Domu pod Opatrznością" i „Zakładu św. Kazimierza".*

Odegrane będą wesołe jednoakówki „Stryj przyjechał" Koziebrodzkiego, „Tajemnica" Dobrzańskiego, oraz „Dzieci Muzy" Franciszka Domnika. Następnie żywe obrazy, ułożone tą samą zręczną ręką, kórej zeszłoroczne obrazy odznaczyły się prawdziwym talentem. Mamy nadzieję, że publiczność tego wieczoru zapełni teatr po brzegi, zaznaczając swą życzliwość dla szlachetności celu, a uznanie dla amatorów.

Zgon posła Piotra Górskiego.

Koło Polskie w Wiedniu poniosło w ostatnim czasie dotkliwą stratę. Po krótkich cierpieniach zmarł ś. p. Piotr Górski, jeden z wybitnych przywódz-



† Piotr Górski.

ców stonnictwa krakowskiego, doskonały znawca ustawodawstwa gminnego i instytucyi samorządnych. Jako poseł do Rady Państwa i do Sejmu krajowego, ś. p. Piotr Górski niezmordowanym był w pracy dla dobra publicznego. Z każdej powierzonej mu pracy wywiązał się umiejętnie i starannie. Łączył w sobie rzadkie warunki u działacza politycznego: umysł bystry i spostrzegawczy, duży zasób wiedzy,

zwłaszcza z zakresu prawodawstwa państwowego, zapał i chęć do pracy i w pracy tej niepożytą wytrwałość. Słuchano też jego zdania: nawet ludzie przeciwnych mu pojęć politycznych musieli w nim szanować obywatela, szczerze kraj swój miłującego i krajowi temu w wysokiej mierze użytecznego. Choć serce biło w nim gorące, ś. p. Piotr Górski w działaniach swych politycznych kierował się przedewszystkiem rozumem. Sąd jego spokojny i wytrawny, nie zakłócony nigdy porywem namiętności, oraz siła rzeczowej argumentacyi w przemówieniach, czyniły go pożądanym zawsze i wszędzie doradcą.

Ś p. Piotr Górski był synowcem prezesa komitetu T. K. Z., p. Ludwika Górskiego. Choć mieszkał i pracował w Galicyi, sprawami Królestwa interesował się także bardzo żywo; w Warszawie często bywał i w tamtejszych poważnych kołach obywatelskich wysoko był ceniony. R. i. p. *S.*

„Mateczka“ Kozłowska.

O odtsępstwie 70 księży katolicko-polskich, czyli o t. zw. „Maryawitach“ lub też „Mankietnikach“ w Królestwie Polskiem pisaliśmy już w „Pracy“. Nadchodzą o tej brzydkiej sprawie coraz to nowe i dokładniejsze, ale i smutniejsze wiadomości. Przedewszystkiem pokazuje się tam też znowu prawdziwość naszego starego polskiego przysłowia: „Gdzie dyabeł sam wleść nie może, tam babę pośle“, bo i tutaj kobieta dała początek owemu odszczepieństwu. Tą kobietą jest niejaka Kozłowska, praczka w mieście Płocku.

Jest to osoba widocznie chora na umyśle a miała ona mieć niby jakieś tam widzenia. Kobieta ta ogłupiła księży a liczba ich wzrosła aż do 70-ciu, ale co najgorsza, owych 70-ciu księży zbałamuciło kilkadziesiąt tysięcy biednego, ciemnego ludu polskiego i naraziło tyle dziesiątek tysięcy dusz na wieczne potępienie. Straszna to rzecz i grozą człowieka przejmująca.

Przeciwko nowej sekcie już wystąpili arcybiskup warszawski ks. Popiel oraz dwaj inni biskupi i Ojciec św. także już tę nową sektę potępił.

* * *

Albin Pawłowski w warszawskim „Świecie“ tak charakteryzuje „mateczkę“ Kozłowską:

Jednego rysu sympatycznego, jednego drgnienia głębiej ludzkiego nie mogłem się dopatrzeć w tem wszystkiem, co o Kozłowskiej mówią i piszą. Jej dusza wydaje mi się tak samo skrzywiona w zły i nieuleczalny sposób, jak skrzywionem jest jej dziwne i odpychające spojrzenie.

Cały balast teoretyczny, jaki przyniosła ona, aby „odnowić Kościół“, świadczy o wszelkim braku jakiejkolwiek kultury, o wązkości myśli wprost wyjątkowej, nawet u elementarnie ledwie wykształconej kobiety. Jedyny kult: adoracya Najświętszego sakramentu, jedyny obraz: Nieustająca



„Mateczka“ Felicya Kozłowska.

pomoc. Cała pełnia życia ściągnięta do mechanicznego pełnienia obrządów. Mateczka płocka nie wychodzi wcale z granic Kościoła katolickiego. Przeciwnie. Jej tam za swobodnie, za luźno, za obszernie. Cały Kościół ten usiłuje ona wciągnąć do jakiejś ciasnej komórki, do jakiegoś wązkiego lochu w dolnej kondygnacyi. Taka nauka nie więcej jest w stanie odrodzić Kościół jak cyrkularz jakiegoś gubernatora jest w stanie zreformować ludzkość.

Ale pomińmy ubóstwo intelektualne mateczki. Kościół katolicki posiada niemało świętych, którzy byli ludźmi bardzo ubogiego w myśl ducha. Co prawda, ci święci nie sięgali ambicyami po nad odnowienie siebie samych...

Spojrzmy na jej cechy moralne. Pierwsze, w każdym razie jedno z najpierwszych jej objawień, było następujące: Święta Klara wyszła z niszy, w której stała, jako ożywiony nagle posąg i kazała mateczce stanąć na swojem miejscu. Zaczyna się więc od tego, że święci pańscy ustępują łaskawie płockiej mateczce swego miejsca. Kto w typowem tem widzeniu nie dostrzega megalomanii, obłędu wielkości, ten jest bardzo zaślepiony.

Co więcej opowiadają o niej? Że otrzymuje wskazówki z nieba. Któż z ludzi pewnym być może, że to nie są halucynacye, jeżeli nie są symulacye; któż z wierzących da głowę, że te wskazówki z nieba nie są tylko rubryką humorystyczną piekła. Co więcej? Że aniołowie sami wskazują jej tych księży, którzy wybrani zostali przez niebo do odnowienia Kościoła. Ale połowa z tych księży odwróciła się od mateczki, a niektórzy z niej szydzą i śmieją się. Więc aniołowie niebiescy pomylili się, jakby byli tylko uczonymi ziemskimi. Co więcej? Że siada na tronie przed oddanymi jej mankietnikami; że obrząd przyjęcia do sekty połączony jest z ucałowaniem jej ręki; że przy ołtarzu daje mankietnikom błogosławieństwo biskupie. W tem wszystkiem cóż jest innego, jak nie element wielkiej ambicyi, wielkiej pychy, wielkiego zarozumienia o sobie.

— Ostatecznie — mówił ktoś do mnie — w ten sposób mniej więcej objawiały się światu rozmaite święte z historyi Kościoła.

Akurat w odwrotny sposób właśnie. Objawienie mówiło świętej o jej powołaniu, a nie o jej wielkości; rzucało świętą do stóp nędzarzy i żebraków, a nie sadzało ją na tronie; popychało świętą do najcięższych posług, najtrudniejszych zadań, najuciążliwszych obowiązków, a nie do kierowania nawą wielkich instytucyi. W świętej tyle właśnie jest pokory, ile w mateczce zarozumiałości; i tyle wahań na punkcie własnej cnoty, własnej dostojności, ile w mateczce pewności siebie.

Do tego, który tu, na ziemi, mówi o sobie: „jestem święty!“ — piekło tylko się śmieje radośnie.

Opowiadają jeszcze rzecz bardzo zabawną o płockiej mateczce.

Że ma urodzić — Antychrysta.

Zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to nie mateczka sama jest autorką tego pomysłu. Tak on stoi na wysokości jej umysłu i wyobraźni, tak pasuje do jej megalomanii.

Zanim jednak mateczka, przez swojego sławnego syna, rozporządzać będzie wszystkiemi bogactwami świata, okazuje ona niemałą pieczę o ziemskie rzeczy. Mankietnicy ślubują ubóstwo, pieniądze im niepotrzebne, składają więc oszczędności mateczce, która lokuje je w domach i dobrach, na własne nazwisko zapisywanych. Ktoś zażądał zwrotu swoich pieniędzy — a było tego tysiąc sześćset rubli. Przysyłają mu ratami — po dziesięć rubli na kwartał. Zaczęły się też procesye już do Płocka. Nie obejdzie się przy tem bez składek i ofiar. Mateczce właściwie nie grozi nędza... Raczej może mieć niedługo zmartwienia, połączone z trudnością znalezienia właściwej lokaty...

Mateczka zupełnie więc wciela ideał głośnego sceptyka francuskiego Juliusza Lemaître'a, który uważa, że najlepiej na świecie jest być „wielkim świętym''. Prawdziwa świętość nie wie o sobie, żyje wśród cierpień i wahań, obaw i nadziei, i prowadzi czasem do — męczeństwa, o czem pewno Lemaitre nie myślał, układając swoją drabinę ludzkiego szczęścia. Ale być fałszywym świętym! Co za los?! Ma się władzę, cześć, bogactwo, sławę — wszystko co życie dać może... Karjera!...

* * *

Tylko ciemnota ludu polskiego w Królestwie Polskiem jest powodem, że odszczepieństwo mogło wśród niego takie przybrać rozmiary. Daj Boże, aby się odstępcy księża prędko upamiętali, odprzysięgli się od swych błędów, czynili pokutę i prędko wrócili na łono naszego św. Kościoła katolickiego.

—ski.

Do Sokołów.

Do góry skroń,
Do słońca wzrok,
Pierś naprzód na życia boje.
W uścisku dłoń,
Wstecz ani krok,
Śmiało na walki i znoje.

Do góry skroń
I hartuj pierś
W obronie ojców mogiły;
Dziś silny duch
To nasza broń
I młodej Polski w nim siły.

Do góry skroń,
Wzrok utop w dal,
Przeszłości nie wskrzesisz łzami;
A silna pierś
Twarda jak stal —
Kto kocha Polskę ten z nami.

R. Wilkanowicz.

Ranny z roku 1812.

Ludziom ''naszych czasów'', zniewieściałym, niewytrzymałym na ból, wychowanym w miękkich, przytulnych powijakach komfortu i hygieny tegoczesnej, chciałoby się mimowoli opowiadanie niniejsze poświęcić. Wyda im się opowieścią z tysiąca i jednej nocy, bajką wprost nie do wiary, ten krótki urywek z „Pamiętników generała margrabiego d'Hautpoul'', wydanych niedawno w Paryżu przez wnuka bohatera. Nie uwierzą może, że byli ludzie, którzy stawali do szeregu w szesnastym roku życia i kończyli karyerę na stanowiskach parów Francyi, ministrów wojny generałów naczelnych Algieru, wielkich referendaryuszów senatu cesarskiego... I w ustach takich ludzi dziwnemi może zdawać się będą słowa niesłychanie proste, pozbawione wszelkich zwrotów retorycznych, krótkie, suche nawet opowiadania o rzeczach, które w świecie całym podziw wzbudzały... Ale posłuchajmy opowieści.

W czasie bitwy w Arapiles, pod Salamanką, to znaczy d. 22 lipca 1812, porucznik d'Hautpoul miał lat dwadzieścia trzy. Z samej bitwy widział bardzo niewiele. Pułk 59, w którym służył, zajmował centrum pozycyi francuskich. Rankiem strzały tyralierskie; potem przemarsz na prawe skrzydło. Przed nimi ciągnęły się szeregi angielskie; na przedzie gwardya szkocka z rozpostartym sztandarem.

I oto dobosze 59 pułku bębnią do ataku; naprzód! Idą dobrym krokiem na nieruchomego nieprzyjaciela; są już blisko, na pół odległości strzału karabinowego; Anglicy wyczekują w zwartych szeregach. Słychać komendę ich oficerów i nagle z pośród ich szeregów wykwitają pióropusze dymu — tak sprawnie, jak na ćwiczeniach. Ze strony francuskiej pada wielu. Jednak idą wciąż naprzód. Już ich dosięgają bagnetami; tamci cofają się, ci idą w ich ślad; starają się sformować nieco dalej; nowy atak. I zabito z pośród nich wielu, więcej aniżeli można było, reszta się rozpierzchła... Miało się już złudzenie, że bitwa została wygrana.

Ale tam na lewem — słychać nagle tupot; to konnica nieprzyjacielska; 8 tys. koni pędzi w zwartej masie. Oficerowie francuscy pospiesznie zbierają swych ludzi: „Stój! formuj czworobok!'' Czasu nie starczyło; zanim sformowano czworoboki, konnica wpadła na pułk 59; żołnierza skłuto, pocięto szablami, a ledwie minęła nawałnica owa, gwardya szkocka zaczęła następować. Porucznik d'Hautpoul tnie szablą sierzanta szkockiego, w tejże chwili jednak sam otrzymuje bagnetem w ramię a kula przeszywa mu biodro; pada zbroczony krwią.

D'Hautpoul przypomina sobie, iż ledwie upadł, dostrzegł był swego pułkownika de Loverdo, jak ten chwycił drzewco sztandarowe i uniósł je spiesznie ku szeregom dywizyi Ferey'a, po za którymi niedobitki 59-tego usiłowały sformować się na nowo. W tejże chwili ponowiła się szarża kawaleryi angielskiej. On zaś leżał na ziemi, nie mogąc się poruszyć, sądząc, że lada chwila zostanie zmiażdżonym; dwa szwadrony zbliżają się z coraz to rosnącym łopotem; są tuż — tuż, zadyszane konie, chrzest zbroi, ludzie tnący na prawo i na lewo; konie mijają d'Hautpoul'a nie tknąwszy go jednak; widzi, tuż przed oczyma, podkowy; potem konnica niknie, bitwa się oddala, zda się, że się skończyła... Ranny widocznie stracił przytomność, bo tu natrafiamy na lukę w jego wspomnieniach.

Noc była cicha. Ale ze świtem pojawiły się ohydne postacie geryllasów hiszpańskich, żerujących na polu bitwy, obdzierających trupy. D'Hautpoul'a przewracają, trzęsą nim, przeszukują mu kieszenie, zrywają zeń odzież; żeby módz ściągnąć mu buty, jeden z tych nędzników opiera się nogą o jego brzuch; drugi — młody, piętnasto czy szesnastoletni chłopak — przykładając mu lufę do skroni, lży umierającego. D'Hautpoul sądził, że zginie, po namyśle jednak rozbójnicy zostawili go w spokoju i odeszli.

Słońce wzbijało się w górę, skwarne lipcowe słońce Hiszpanii; rannego, obnażonego zupełnie, chwyciła nagle gwałtowna gorączka; kilkoma garściami ściernia, jaki zdołał zerwać lewą ręką, osłania sobie głowę... O kilka kroków od niego jęczy z bólu inny oficer fracunski; d'Hautpoul się doń odzywa, zamieniają słów kilka, poznają się: to dawny jego kolega ze szkoły w Fontainebleau, kapitan Cauchard; ma on zmiażdżone udo, żali się i przeklina. D'Hautpoul zachęca go do „uciszenia się, do zebrania wszystkich sił, aby módz przetrzymać cierpienia'', ale Cauchard klnie i piorunuje coraz goręcej. Tymczasem minęło południe, Cauchard się uspakaja; około trzeciej milknie nagle i d'Hautpoul z milczenia tego zrozumiał, że towarzysz jego już nie żyje.

O zmierzchu ukazały się wozy konwojowane przez żołnierzy angielskich; zbierano rannych. Jeden z wozów zbliżył się i zatrzymał się w pobliżu d'Hautpoul'a. Był on nagim, jakieśmy to już powiedzieli, nie można też było zgadnąć do której ze stron walczących należał; sanitaryusze chwycili go za nogi i za ramiona i umieścili razem z innymi w furgonie. Tak dowieziono go do Salamanki i umieszczono w zagrodzie dla byków; tu sporządzono mu odzież — niewymyślną; pantofle zrobiono z butów dragońskich, nieco szczerzęcych już zęby, od których oderwano cholewy; niby w ornat ubrano go w derkę końską, w której wycięto dziurę na głowę, a którą spięto mu na biodrach paskiem od strzelby. I odziany w ten sposób, poczuł się wielce szczęśliwym.

Dwudziestego czwartego przeniesio-

no go do kościoła, przerobionego na szpital. Byli tu, zmieszani razem, ranni wszelkich narodowości. Jego położono na sieczce pomiędzy żołnierzem hanowerskim a Włochem z legii południowych; dziwaczny a niezłożony ubiór nie pozwalał nikomu domyślać się w nim oficera i mimo zapewnień i protestów z jego strony, brano go wciąż za łgarza lub obłąkańca. Przytem gangrena wdała mu się w rany i zaczęła je przeżerać; chirurg angielski przychodził codzień, zdzierał szczypcami przepalone opatrunki, zasypywał rany prochem namoczonym w soku cytrynowym, tamponując wszystko to garścią pakuł niby szarpiami. D'Hautpoul miał tuż obok siebie, na słomie, nadtłuczony dzbanek z winem Oporto zasypanem chininą; pragnienie gasił zamieszawszy przedtem płyn laseczką; słomy — rojącej się robactwem i czarnej od wypróżnień — nie zmieniano nigdy. Przeleżał tam dwa i pół miesiąca, owinięty w derkę końską, karmiony — o ile mógł jeść — odrażającym bulionem z solonego mięsa, sprowadzanego z Anglii... i wyzdrowiał!

, Przynajmniej zniknęła gangrena, i gdy Anglicy około 15-go października, ustępując przed powrotnem natarciem armii francuskiej, opuszczali Salamankę, d'Hautpoul'a można już było wysłać do Lizbony. Razem z trzystu czy czterystu podobnież chromymi, którzy ustać nie mogli, został on władowany na wózek i wysłany pod konwojem do Portugalii. Tąż samą drogę przebywała już armia francuska w roku 1810, pozostawiwszy żywe po sobie wspomnienia. Chłopi, pragnąc się zemścić, podchodzili do wózków, wyciągali bezbronnych rannych i pastwili się nad nimi tuż obok drogi; żołnierze eskortujący udawali, że nic nie widzą. Na jednym z postojów, kilku geryllasów otoczyło d'Hautpoul'a i zapytali go, czy jest chrześcianinem. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, kazali mu się przeżegnać, a potem, gdy rozkaz wykonał, odmówić „wierzę.“ Był im posłusznym. Nigdy może modlitwa nie była bardziej skuteczną; chłopi zlitowali się nad nim. Odgadli, „że był to jeden z tych nieszczęśników, których wielki *Ladron* (złodziej, tak nazywano Napoleona w Hiszpanii) zabrał ze sobą przemocą.“ Jeden z nich nałożył rannemu na szyję ogromny szkaplerz, zapewniając, że to go uchroni skutecznie ode złego.

Ale to nie koniec jeszcze niedoli. Zaledwie ranni przybyli do Lizbony, jego, zamiast przenieść do szpitala, umieszczono w więzieniu — dzięki odzieniu, jakie miał na sobie. W tej samej celi, dokąd go zaprowadzono, dostrzegł skutego łańcuchami człowieka, Portugalczyka, mordercę, z którym zaczął rozmawiać. Od niego to dowiedział się, że jest gościem więzienia dla galerników i że zajmuje celę skazanych na śmierć, „gdzie długo się nie pozostaje.“ W istocie też wkrótce potem wszedł mnich, który wyspowiadał Portugalczyka, a w chwilę później zabrał go z sobą oddział żołnierzy; w parę chwil potem d'Hautpoul usłyszał salwę karabinową. Przesiedział on tam trzy dni, dostając racye sucharów i fasoli. Wtedy to usiłował protestować przeciw uwięzieniu; za każdą wizytą dozórcy świadczył się, że jest oficerem francuskim, wziętym do niewoli podczas wojny... Porucznik angielski kazał mu milczeć. D'Hautpoul odczuł żywo to zadraśnięcie honoru żołnierskiego, wskazał imię i nazwisko swoje i swego dowódcy oraz cyfrę pułku. „Jeśli to prawda — rzekł porucznik — to cię stąd wypuszczę, ale jeśli kłamiesz, to zginiesz pod chłostą!...“ D'Hautpoul, zebrawszy resztki sił, chwycił suchar i cisnął go w twarz Anglikowi...

, Nazajutrz oficer powrócił w towarzystwie czterech żołnierzy: „panie, — rzekł bardzo grzecznie — muszę pana prosić o przebaczenie za niewłaściwe moje dotychczasowe postępowanie; ale w tym kostyumie trudno mi było poznać oficera francuskiego; przekonałem się, że pan mówił prawdę; może pan wracać do swych towarzyszy.“ W godzinę potem d'Hautpaul był już w gronie kolegów, mógł się umyć, co mu sprawiło niewymowną rozkosz i — włożyć po czterech miesiącach czystą koszulę...

Oświadczenie.

Ponieważ z wielu stron dopytują się nas Czytelnicy, co się stało z wydawnictwem ś. p. ks. Franciszka Bażyńskiego, przeto powtarzamy poniżej odezwę, wydaną w tej sprawie w 1901 roku. Brzmi ona jak następuje:

„Trzydzieści kilka lat temu ś. p. ks. Franciszek Bażyński, proboszcz ówczesny parafii św. Wojciecha w Poznaniu, gorący patryota i przyjaciel ludu, widząc, jak wielki jest brak polskich dziełek, którebyludowi naszemu z korzyścią do rąk dać było można, z pomocą kilku osób pokrewnych sobie duchem, powołał do życia wydawnictwo, które jak z wyników jego osądzić łatwo, wielkie społeczeństwu naszemu oddało przysługi. Kilkadziesiąt tomików prac wyborowych tak pod względem treści jako i formy, rozeszło się w dziesiątkach tysięcy po całym kraju, szerząc światło wiedzy i budząc zamiłowanie do mowy naszej ojczystej.

Pod koniec życia wielki ten miłośnik ludu polskiego powierzył losy tak pożytecznego dzieła swego ś. p. Władysławowi Simonowi do spółki z ś. p. dr. Ludwikiem Rzepeckim i ś. p. dr. Kanteckim, który jednak, obarczony obowiązkami zawodowemi, oraz innemi pracami społecznemi cofnął się rychło od udziału. Wydawnictwa dalszego, na którem, jako zaczętem bez kapitału, ciężyły rozmaite zobowiązania finansowe, podjął się głównie ś. p. dr. Rzepecki, prowadził je umiejętnie w nakreślonym z góry kierunku aż do przedwczesnego zgonu swego, pospłacał długi i pozostawił jeszcze do dalszej dyspozycyi jakie 30 tysięcy książeczek.

Ś. p. Władysław Simon, pozostały sam przy życiu z owej trójcy, która myśl ś. p. ks. Fr. Bażyńskiego dalej prowadzić się podjęła, obarczony wiekiem i chorobą oczu, przelawszy obowiązki swe na syna Wojciecha, poprosił do udziału i pomocy nas niżej podpisanych, pozostawiając nam do decyzyi dalsze losy wydawnictwa. Wkrótce po tem rozporządzeniu powołał Bóg do siebie sędziwego starca, a w lat kilka poszedł za nim syn jego ś. p. Wojciech, który z rzadką gorliwością sprawami wydawnictwa się zajmował.

Po dokładnem rozpatrzeniu się w położeniu naszem politycznem i społecznem, widząc z jednej strony, że liczne czasopisma codzienne i peryodyczne oraz częste nakłady prywatnych wydawców starają się zaspokajać potrzeby umysłowe szerszych warstw społeczeństwa naszego, — że zwłaszcza Towarzystwo Czytelni Ludowych zapewnia zbyt wszelkim dziełkom pożytecznym, widząc zarazem z drugiej strony z bólem serca, że przez znikanie znaczniejszych polskich fortun byt wydawnictwa filantropijnego staje się zagrożonym, — widząc wreszcie i to, że bez znaczniejszych kapitałów, a przedewszystkiem bez własnej drukarni podołać dziś nie łatwo prywatnej konkurencyi: postanowiliśmy wydawnictwa dalszego zaprzestać, rozporządziwszy zebranym funduszem i pozostałemi dziełkami w następujący sposób:

I tak z przekazanych nam po śmierci ś. p. dr. Ludwika Rzepeckiego 29 640 dziełek rozdzieliliśmy pomiędzy najuboższych ku zaspokojeniu głodu duchowego 19 300 egzemplarzy i to dla rodaków w Ameryce za pośrednictwem ks. prałata Wawrzyniaka 10 200 książeczek, dla Towarzystwa Czytelni Ludowych 8500 egzemplarzy, dla innych Towarzystw około 700 egzemplarzy.

Zebrany ze sprzedaży reszty dzie-

łek kapitalik, wynoszący 1250 marek, ofiarowaliśmy Towarzystwu Czytelni Ludowych jako „fundusz Imienia księdza Franciszka Bażyńskiego''.

Nadmieniamy tu jeszcze, że wszelkie przysługujące nam prawa własności literackiej tegoż *Wydawnictwa odstąpiliśmy dnia 26 kwietnia r. b. razem z resztą dziełek księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.*

Nie odebrawszy nigdy wsparcia materyalnego, czy to od społeczeństwa, czy od osób prywatnych, nie mamy obowiązku składania publicznego sprawozdania z swej czynności; zabierając dzisiaj głos, czynimy to głównie w tej myśli, aby przy rozwiązaniu Wydawnictwa uczcić choć w ten sposób pamięć zgasłych mężów, którzy tyle zasług dla oświaty ludu naszego położyli.

Poznań, d. 20. 10. 1901 r.

Ks. Laskowski,
prob. przy św. Wojciechu w Poznaniu.
Karol Kozłowski.''

Nasza ofiarność.

Złożono do dnia 13-go marca włącznie:

Na urnę srebrną dla hetmana Żółkiewskiego: 1 mr.

Na Macierz Szkolną w Królestwie, 296 mrk 68 fen.

Na Tow. Pomocy Naukowej Karola Marcinkowskiego
a) dla chłopców 2 mr.
b) dla dziewcząt 10 mrk.

Na Czytelnie Ludowe 23 mr.

Na „Straż": dotychczas złożono 11 mr.

Na stacyą kolonii wakac. „Stella"

Na „Gniazdo"-budowę sali „Sokoła" w Poznaniu 2 mrk.

Na elementarze dla biednych dzieci 18 mrk. 50 fen. Sumę tę wręczyliśmy komu należy.

Na rodzinę Jana Wyciska 104 mrk. 50 fen. Z tej sumy wysłaliśmy dnia 22-go grudnia dla pani Wyciskowej 74 mk 65 fen; pozostaje mrk. 29, 85 fen.

Na Weteranów
z roku 1848-go
razem wpłynęło dotychczas 2 mrk
„ 1863-go wpłynęło dotychczas 73 mrk 77 fen.

Z tej sumy wypłaciliśmy komu należy 48 mrk. 20 fen; pozostaje mrk 18,95 fen.

Na rodziny skazańców w Gliwicach pani A. Łucka z Stanisławowa w Galicyi 1 m. z wieczorku ludowego w P. 11 mr. Razem wpłynęło 18 mr. 5 fen.

Na budowę kościoła w Żninie

Na odnowienie Wawelu w Krakowie 2 mrk.

Na głodnych w Królestwie zebrano dotychczas 316 mr. 16 fen.

Na rodzinę robotnika Karola Piotrowskiego, zamordowanego w Warszawie przez socyalistów: 12 mr.25 fen.

Dla banity kaleki bez nóg Walentego Półtoraka: pani A. Łucka ze Stanisławowa w Galicyi 50 fen. Razem wpłynęło 5 marek.

Wiadomości literackie i artystyczne.

„Spiewo i frantowci", napisał Aleksander Majkowski, Poznań, nakładem autora. Czcionkami drukarni „Pracy" Sp. z ogr. p. 1905. r. Autor wzbogacił literaturę kaszubskę nowem wydawnictwem, publikując kilka własnych, drobnych utworów, między któremi są: „Jazda Helana", „Na Oksewscij kępie", „Słup Bismarcka", „Hakatesce", „Pankowie i ludowce" „O gburach Szkurpie i Gąsorze", „Muzykant Dydana". Za moto położył p. Majkowski wiersz kaszubski, ułożony, przez Derdowskiego:

Czujce tu ze serca toni
Skłod nasz apostolsci:
Niema Kaszeb bez Polonii,
A bez Kaszeb Polści.

Historyą głównego *seminaryum nauczycielskiego* w Poznaniu, które od roku 1804 do 1874 istniało w Poznaniu na Śródce (w byłym klasztorze Reformatów), — a następnie przeniesione do Rawicza jako symultanne, 1904 obchodziło stuletni jubileusz swego bytu, ma zamiar spracować p. *M. Łukowski w Poznaniu przy ul. Bismarka nr. 5.* W tym celu ogłosił odezwę, tak do księży jak też do nauczycieli, aby wszystko cokolwiek w pracy jego zużytkować można, nadesłać mu zechcieli.

Najtańsze wydawnictwo książkowe. Wkrótce ukażą się pierwsze tomy nowego wydawnictwa warszawskiego p. tyt. „Książnica Polska". Będzie to pierwsze od lat 40-stu wydawnictwo wolne od cenzury a zapowiadające się istotnie bardzo interesująco. Wzięło sobie ono za zadanie dostarczanie jaknajszerszej publiczności dzieł wybitnych pisarzów, nigdzie dotąd nie drukowanych, w szacie wykwintnej i po cenach nadzwyczaj niskich. Najlepszą miarą tego, co „Książnica Pol." dać zamierza, będzie przegląd wykazu zapowiedzianych w prospekcie autorów i tak: w pierwszym kwartale t. j. od kwietnia r. b. począwszy wyjdą najnowsze powieści Prusa („Rachunek życiowy") i Reymonta („Baterya Nr. 6), zbiór nowel poczytnego pisarza współczesnego Gomulickiego („Muzyka"), ostatnie prace dwóch satyryków naszych Nowaczyńskiego i Lemańskiego, oraz rozprawa Art. Górskiego znakomitego, znawcy największego wieszcza naszego p. t. „Adam Mickiewicz o Polsce".

Pierwszy tom stanowić będzie mało znane arcydzieło Jul. Słowackiego p. tyt. „Kordyan". Wybrano na plan pierwszy przedruk ten który będzie nb. jedynym w całem wydawnictwie — ponieważ przedstawia on olbrzymie ze względu na treść znaczenie dla Królestwa, gdzie cenzura dotąd na przedruk ten nie pozwalała.

W dalszym ciągu ukażą się tłomaczenia zabronionych utworów Gorkija, Czechowa i Koroleńki, nowa powieść Żeromskiego i studyum estetyczne Antoniego Potockiego. Nadto obiecał drukować w „Ks. P, następną swoją powieść Henryk Sienkiewicz.

Obok prawdziwej wartości, ma „Książnica Polska" jeszcze tę zaletę, że daje książki, w wytwornej szacie i po cenie bardzo niskiej, bo tylko po 50 fen od tomu w prenumeracie. Za gustowną i trwałą oprawę dopłaca się 40 fen. za tom.

Główne zastępstwo na Galicyę i W. Księstwo objęła księgarnia dwóch młodych i ruchliwych Poznaniaków, Maniszewskiego i Kędzierskiego we Lwowie, plac Halicki 3.

Nekrologia.

† Ś. p. *Mateusz Szamkowski*, ostatni u nas weteran z czasów napoleońskich, zakończył żywot doczesny w Szczepankowie, przeżywszy lat 120. Był ułanem we wojsku polskiem. Urodził się w roku 1785. Był zawsze zdrów i pełen siły dopiero w ostatnich latach osłabł mu wzrok. Cześć pamięci tego weterana polskiego! Niech odpoczywa w pokoju po trudach tak długiego żywota!

Dział szaradowy.

Łamigłówka.

Kółka przy cyfrach zastąpić literami w ten sposób, aby utworzyły sześć wyrazów; otrzymamy wtedy ilość i nazwę klejnotów koronnych, używanych w czasie koronacyi królów polskich.

LITERY:

i, y, w, h, e, d, c, k, n, z, ą, u, e, c, o, c, r, c, ł, ł, r, e, o, ń, b, r, o, i, h, a, e, k, m, c, ł, j, b, a:

6 o o o o o
4 o o o o o o
19 o o o o o o o o
4 o o o o o o o o
5 o o o o o o
4 o o o o o o

Rozwiązania nadsyłać należy do dnia 24-go b. m.

Rozwiązanie szarady z nr. 4-go „Pracy":

M
b a s
n a r e w
p l a t y n a
m a r t y n i k a
a n a n a s y
ś c i g i
o k a
a

Martynika.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Kostek Puknijsię z Mełpina pod Dolskiem i Stanisław Skórnicki z Mórki pod Dalewem.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

ODEZWA
w sprawie wyborów do Izby Rzemieślniczej na obwód rejencyjny poznański.

W najbliższym czasie odbędą się wybory do Izby Rzemieślniczej na obwód rejencyjny poznański. Data wyborów jeszcze nie oznaczona, ale lada chwila może nastąpić. Wobec tego potrzeba jakiejś organizacyi, chociaż luźnej, aby wybory po naszej myśli się odbyły.

O ile dowiedzieć się było można, wybierają następujące okręgi wyborcze:

II okręg, do którego należą powiaty: ostrowski, kempiński, ostrzeszowski i odolanowski. Wybierają dwóch delegatów i dwóch zastępców.

IV okręg, do którego należą powiaty: międzyrzecki, nowotomyślski i grodziski. Ten okręg wybiera 4 delegatów i 4 zastępców.

VI okręg, do którego należą powiaty: babimojski, skwierzyński, szamotulski i obornicki. Wybiera 4 delegatów i 4 zastępców.

VII okręg, do którego należy miasto Poznań i dwa powiaty poznańskie. Wybiera się 2 delegatów i 2 zastępców.

VIII okręg, do którego należą powiaty: śremski, średzki i wrzesiński, wybiera 3 delegatów i 3 zastępców.

Razem zatem wybiera się 15 delegatów. W pierwszym rzędzie teraz chodzi o ustanowienie kandydatów. Wybierają tylko zarządy cechów. Niechże więc cechmistrze w odnośnych okręgach porozumieją się, jakich kandydatów postawić. Zwracamy uwagę, aby postawiać ludzi chętnych i mających szerszy pogląd na stosunki rzemieślnicze, oraz władających dobrze językiem niemieckim. W razie braku kandydatów w odnośnych okręgach możemy polecić takowych z Poznania, którzyby niektóre okręgi reprezentowali. Z niemieckiej strony tak się dzieje, że wybierają majstrów z Poznania.

Niechby wybitniejsi cechmistrze ujęli agitacyę w swe ręce i porozumieli się dobrze w swych okręgach i znieśli się z poszczególnymi cechami po miastach, należących do jednego okręgu.

Czas nagli, a zatem nie należy chwili tracić i wziąść się do pracy wyborczej. Mianowicie ciąży ten obowiązek na tych cechmistrzach oraz rzemieślnikach, którym sprawa naszego rzemiosła polskiego leży na sercu i któryby w dobrze zrozumianym interesie polskim chcieli przeprowadzić większą niż dotąd polską reprezentacyę do Izby Rzemieślniczej. Nie trzeba atoli rozdwajać się przy ustanawianiu kandydatów, jak to się stało w jednym okręgu przy zeszłych wyborach.

Wszelkie listy w sprawie wyborów i o rezultacie poczynionych kroków agitacyjnych, oraz w sprawie kandydatów prosimy przesłać pod adresem: I. Grajkowski, Poznań, Wrocławska ulica 12. (Dla szybkości można adresować po niemiecku.)

Komitet:
Chociszewski Stefan. Filipowicz Teodor. Górski Feliks. Grajewski Jan. Krajna Kazimierz. Krause Teodor. Miklaszewski Ludwik. Stolpe Stanisław. Węcławski Antoni.

„Związek Ziemian“ w Poznaniu.

Z nadesłanego nam *czwartego sprawozdania „Związku Ziemian“* w Poznaniu wyjmujemy następujące słowo wstępne Zarządu:

„Czwarte z rzędu sprawozdanie dowodzi, że Spółka nasza korzystnie się rozwija — co znowu jest dowodem, że powołanie jej do życia było potrzebą.

Wskutek rozszerzonej działalności zwiększył się zakres pracy biurowej i okazała się konieczność dodania Zarządowi do pomocy współpracownika — rolnika z zawodu.

Pragnieniem naszem jest aby instytucya nasza nie tylko z imienia, ale w rzeczywistości była związkiem Ziemian, niejako ich środowiskiem, dla tego postanowiliśmy zaprowadzić dla członków rachunki bieżące, tak zwane „Konto korrente“, dając te same warunki, jak inne banki *miejscowe.*

Pocieszającem jest że obrót rachunku Depozytów w roku 1905 w porównaniu do lat poprzednich znacznie się zwiększył; deponowane u nas pieniądze, procentujemy według umowy po $3^1/_2$, 4 i $4^1/_2$ od sta i zwracamy w razie potrzeby i możności na każde żądanie nawet i w takich przypadkach, gdzie zastrzeżone było wypowiedzenie kwartalne lub półroczne.

W obec ożywionej dziś podaży i popytu na majątki ziemskie zajmuje się Związek również pośrednictwem w transakcyach; pożądanem jest bardzo, aby więcej niż dotąd pośrednictwa instytucyi naszej używano — przy rozgałęzionych bowiem stosunkach jaknajsumienniej z polecenia wywiązać się możemy, a osiągnięte ztąd zyski przechodzą na korzyść wszystkich członków.

Osiągnięte w 1905 roku zyski, po potrąceniu ustawami przepisanych kwot do Funduszy rezerwowych, pozwalają nam za zgodą Rady Nadzorczej, zaproponować Walnemu Zebraniu uchwalenie 5% dywidendy od wpłaconych udziałów.“

Skład Zarządu stanowią pp. dr. Tadeusz Szułdrzyński, Lucyan Osten i Stefan Wize.

Towarzystwo ku wspieraniu urzędników gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem,

Z 45-go nadesłanego nam sprawozdania za rok 1905 zaznaczamy:

1) znaczniejszy przyrost członków rzeczywistych i honorowych, 2) umieszczenie znacznie większej ilości urzędników czyli wyjednanie dla nich posad, 3) ożywienie się większe po powiatach, 4) nadzwyczajny prawie udział członków, zapisanych na wykłady rolnicze, bo przeszło 2 razy tak wielki jak w poprzednich latach.

Zarząd główny stanowią pp. Kazimierz Brownsford, prezes, Józef Winiewicz, sekretarz, Stanisław Chrzanowski, Franciszek hr. Kwilecki, W. Magowski.

* * *

Zarząd Główny Towarzystwa Ku Wspieraniu Urzędników Gospodarczych polecić może od 1 kwietnia ew. od 1. 7. 06. kilku dobrze poleconych urzędników gospodarczych, z świadectwami jaknajlepszemi. Prosimy o pospiech, bo czas nagli. Pośrednictwo zupełnie bezpłatne. Zgłoszenia upraszamy nadsyłać pod adresem: *I. Winiewicz, Poznań, ul. Ogrodowa No 13 ptr.*

* * *

Wykłady dla urzędn. gospodarcz. urządzane od lat kilku corocznie prze Centr. Tow. Gosp., odbyły się 6 i 7 marca w Poznaniu na sali Bazarowej przy nadzwyczajnym udziale urzędników gosp., dwóch włościan oraz kilku gości z Królestwa.

DZIAŁ KOBIECY.

Ratujmy dzieci nasze!

Im więcej rozpatrujemy położenie, tem bezradniejsze stajemy się wobec zła, co zewsząd wyciąga zaborcze po skarb nasz ramiona. I nie dziw, że upadamy na duchu, widząc wrogów tylu! *Pierwszy wróg to brak wiedzy u nas matek, brak umiejętności wychowania, brak prawdziwej miłości,* widzącej szczęście dzieci w hartownem ich do życia przygotowywaniu. Mimo złych skutków jeszcze dziś wszak wierzą, że umiejętność wychowania dzieci wraz z macierzyństwem w udziale dostaje się młodziutkiej kobiecie.

Nie dziw więc, że matki dają sobie radę jako tako z maleńkiemi dziecmi, choć nie da się obliczyć, ile dzieci ginie wskutek braku umiejętności obchodzenia się z niemi i zapobiegania chorobom.

Trudności wychowania wzrastają z wiekiem dzieci. Ojciec, mniej jeszcze niż matka przygotowany do ojcostwa, najczęściej podporą żonie być nie może, a po części nie chce, zwalając cały ciężar wychowania na barki żony, której nieumiejętność na tem polu ciągle sam wymawia. Dobrze jeszcze, gdy życiem swem, w którem po za obowiązkową pracą czas swój poświęca butelce, kartom i rozpuście, nie gorszy własnych dzieci i nie obraca w niwecz całej pracy matek nad duszą sobie powierzoną. Cóż bo zdziałać może matka, gdy syn od ojca uczy się lekceważenia wszystkiego, co kobieta zdziałać potrafi — od ojca, którego przecież matka na ojca swych dzieci wybrała i którego kochać i szanować uczyła dziecko od maleństwa?

Do wpływu złego ojca dołącza się z czasem *wpływ złej szkoły* — złego koleżeństwa. Szkoła faworyzując wyzuwanie się z poczucia godności narodowej, prowokując zaparcie się odczuwania krzywd i upośledzenia pod względem językowym, karząc bezwzględnie najmniejszy objaw niechęci — i buntu, wywołany świadomością dążności przeciwpolskich — ta szkoła, gdy znajdzie poparcie w zapatrywaniach rodziny, stawiającej korzyść materyalną ponad stan narodowości swojej — działa tak morderczo, a często na zawsze zaginie w duszy dziecka posiew miłości ojczyzny — słabą nieumiejętną ręką matki przygodnie rzucony.

Przyłączmy do tego *zły wpływ kolegów* na moralną stronę naszych dzieci. Przez obawę zgorszenia nieuświadomione słowem matki dziecko — pokona wkrótce argumenta najpotężniejsze: zły przykład — i sankcyą systemu, otaczającego opieką domy rozpusty. Dziecko ma umysł logiczny z natury; uczone poszanowania władzy, musi wierzyć, że to co z jej wiedzą się dzieje, jest zgodne z pojęciem dobra ludzkości, że instytucye cieszące się opieką państwa, ustanowione do użytku poddanych, muszą być potrzebne i dobre. Toż tyle ludzi korzysta z tych zakładów! Wie młodzież po imieniu, kto tam chodzi i opowiada ciekawym i nieciekawym kolegom, wzdychając do chwili, kiedy wiek i im pozwoli korzystać z udogodnień ustanowionych dla ogółu.

I nie tylko młodzież męska — ale i dziewczęta podają sobie na ucho wiadomości o tym „raju", jak go nazywają!

I przeciwdziałaj temu — skutecznie, boś jest matką — przeciwdziałaj wszystkiemu złemu ty jedna, bo nikt prócz ciebie odpowiedzialności za złe wychowanie nie poniesie. Nikt! — Działaj przeciw temu, czego często sama nie znasz — działaj skutecznie, boś matką — bo na tobie jednej naród buduje swe nadzieje! Ty jedna działaj — choć często nie wiesz, gdzie wróg lub którego wpierw zwalczać ci należy — a innym bądź wdzięczną, gdy wytknąwszy zło — dowiodą ci, że działasz nie dosyć.

Ty matko robotą cały dzień zajęta, przeciwdziałaj skutecznie tej zarazie, którą z lekkiem sercem podli rozsiewają w około. Posyłając dziecko na służbę, na przechadzkę, po sprawunki — gdziebądź, nawet do kościoła — ty matko drżyj — bo wszędzie czyha na dziecko twe wąż zgnilizny moralnej, który dotknięciem, wzrokiem i głosem skazić może duszę i ciało twego dziecka. I drżysz matko a milczysz — by nie potępić najbliższych — milczysz, bo nie wiesz jak złemu zaradzić — milczysz, boś niepewna drogi mogącej wywieść z rozpaczliwego położenia. Milczysz, bo może nie znasz, nie pojmujesz ogromu niebezpieczeństwa — grożącego twym dzieciom.

Ale te, które przejrzały zło w całej nagości — i odtąd ze zgrozą szeroko otwierając źrenice, widzą coraz dokładniej zagładę swych starań — te matki prawdziwe miłością, bólem i niepokojem, niechże ręce sobie podadzą co prędzej, i w miłości cierpiąc niepokonaną siłę, niech staną do walki ze złem — zmuszając wszystkich do wspólnej pracy. Wspólnemi siłami tylko zdołamy wyrwać zło z korzeniem na polu wychowawczej naszej pracy.

Uczmy się same i uzbrajajmy do walki ze złem gruntownie. Uczmy się i rozpatrujmy wkoło — czy nie dojrzymy gdzie punktu wyjścia z tej okropnej sytuacyi — szukajmy najskuteczniejszego środka przeciw owej zarazie moralnej i fizycznej, zabierającej nam owoc życia naszego — a mniej świadomym nieśmy pomoc w słowach i czynie!

Matka-Polka.

P. S. Wszystkim pragnącym obszerniej zaznajomić się z pracą kobiet angielskich w tym kierunku, polecam książkę Alice Hopkins, p. tyt. „Matki a synowie" w tłomaczeniu Moszczeńskiej. — Książka ta, objaśniając dokładnie niebezpieczeństwo, grożące dzieciom naszym, zachęci chyba każdego do energicznej walki o nasze dobro.

(„Dziennik Kuj.")

Rady praktyczne.

W „Poradniku" „Drogeryi Universum" przy ulicy Rycerskiej 38 (właściciel Bronisław Śniegocki) — dołączonego do każdego zeszytu „Tęczy" czytamy między innemi:

Kwas cytrynowy. Kwas winny, a przedewszystkiem kwas cytrynowy używa się z bardzo dobrym skutkiem w czasach gorączki i chorób epidemicznych, a wogóle zawsze tam, gdzie niema bezwarunkowo dobrej wody źródlanej do picia, do poprawienia tejże, gdyż dodany wodzie w małej ilości zabija zakaźne pierwiastki. Kwas cytrynowy zastępuje także bardzo dobrze cytrynę w gospodarstwie domowem, bądź to do potraw, bądź do orzeźwiających napoi.

Przepis do proszku musującego. Natrum bicarbonicum 100 gr., kwasu winnego w proszku 90 gr., cukru miałko utłuczonego 190 gr., olejku cytrynowego 20 kropli.

Wszystko dobrze zmięszać i zachować we wysuszonem naczyniu szklanem szczelnie zamkniętem.

ROZMAITOŚCI.

Królowa armat. Królowa armat, 20-letnia panna Krupp z Essen nad Renem, posiada własność reprezentującą wartość 400,000,000 mk. Rządzi nad 300 000 robotników; ma rocznego dochodu 20,000,000 m., posiada dla swego codziennego użytku książęcy zamek, własną armię, stanowiącą jej gwardyę i utrzymującą porządek; szpitale, szkoły, kościoły, domy dla sierót, koleje, statki, a pomimo to prowadzi życie proste i sama ...eruje olbrzymiemi zakładami. Pot... a jej jest tak wielką, że żaden moca... europejski bez jej przyzwolenia w...y prowadzić nie może.

Nie wia...mo, czy z obawy przed armatami, c..., też przed jej milionami nie mają ka...alerowie odwagi jej się oświadczyć.

* * *

Powiesze... „sinobrodego." W Chicago został p...wieszony Jan Hoch, Niemiec hakatysta, zwany w Ameryce „sinobrody." Jan Hoch poślubił 20 kobiet; z tej liczby zamordował 9, resztę zaś opuścił, zabrawszy ich majątek. Prócz tego od 100 przeszło kobiet obietnicami zawarcia małżeństwa wyłudził znaczne sumy, Hoch do ostatniej chwili zachowywał się cynicznie.

* * *

Straszny obraz. Petycya w parlamencie niemieckim, domagająca się wywożenia więźniów do Afryki, odsłoniła obraz następujący: Liczba więzień zwyczajnych w Prusiech wynosi obecnie 1026. Sądy niemieckie skazały w ciągu roku 48 osób na śmierć. Kary „cuchthauzowe" wynoszą 28,000 lat, kary więzienne 49,000 lat w ciągu roku. Do tego nie są wliczone kary pieniężne, areszty i kary dyscyplinarne oraz wojskowe. Średnia liczba więźniów w ciągu dnia wynosi w Prusiech: w więziemiach 42,374, w cuchthauzach 34,676. Koszta procesów i utrzymania obliczają na 100 milionów marek.

* * *

Kobieta potwór krwiożerczy. W Roviano we Włoszech zamordowała 22-letnia Antonina Zellich wespół z dwoma braćmi swego małżonka, a gdy policya zamierzała ją aresztować, naczerpała ręką krwi zamordowanego i piła takową. Badano jej umysł, bo wydawało się nieprawdopodobnem, ażeby kobieta przy zdrowych zmysłach mogła się zmienić na krwiożerczą bestyę. Wykazało się jednak, że morderczyni była najzupełniej zdrową, a krew piła, jak na sądzie zeznała, jedynie z dzikiej rozkoszy, że pozbyła się małżonka, który ją bezustannie poniewierał.

* * *

Zkąd się wzięło przezwisko „djabeł wenecki?" Nieraz zdarzy nam się usłyszeć to przezwisko i na myśl przychodzi nam Wenecya, królowa Adryatyku, powstało ono jednakże u nas w Wielkopolsce i ma historyczną podstawę.

W byłem województwie gnieźnieńskiem jest jezioro, Wenecyą zwane. Nad tem jeziorem wznosił się niegdyś zamek warowny. Za czasów króla Ludwika, następcy Kaźmierza Wielkiego mieszkał tam potomek hardego rodu Nałęczów, imieniem Jan, dziedz. Wenecyi, a więc Wenuki. Piastował on urząd sędziego ziemskiego, miał stąd wielką władzę nad szlachtą, zwłaszcza uboższą, licznie w tych stronach osiadłą. Surowy bowiem obyczaj ówczesny nakazywał pokornie ulegać wyrokom sprawiedliwości, a wyroki te sam król tylko mocen był unieważnić. Jeśli zaś król przebywał daleko za górami, jak Ludwik, a pokrzywdzony w sądzie chudzina nie mógł snadnie dostać się do tronu, musiał na niesprawiedliwym poprzestać wyroku. Wielkie z tej przyczyny działy się nadużycia, zapobiegł im poniekąd statut wiślicki.

Ze wszystkich jednak sędziów nie dopuszczał się żaden tylu krzywd i nadużyć, co sędzia poznański, Jan z Wenecyi, Niejednego szlachcica przywiódł do nędzy, uciskał poddanych do krwi. Z nienawiści dano mu przydomek krwawy djabeł,, mówiono zwyczajnie krwawy djabeł z Wenecyi — djabeł wenecki. Sześć set lat z górą minęło od czasów Jana z Wenecyi. Stary zamek był w gruzach, zaginęło jego nazwisko, ale pamięć niesprawiedliwości przechowała się w przysłowiach narodu.

* * *

Straszna katastrofa w kopalni węgli w Courrieres we Francyi pozbawiła życia 1219 ludzi. W kopalni wybuchł pożar, który spowodował eksplozyę gazów i uniemożliwił prace ratunkowe. Dotychczas wydobyto tylko niewielką liczbę zwłok spalonych, których w przeważnej części nie podobna rozpoznać. Wiadomość o nieszczęściu tak głębokie sprawiła wrażenie w całej Francyi, że prezydent Fallieres odroczył wszelkie uroczystości i przeznaczył 10 000 franków dla rodzin po nieszczęśliwych.

* * *

Zamach na życie Arcybiskupa. Z Caracas nadeszła wiadomość do Nowego Jorku, że usiłowano otruć arcybiskupa Venezueli przez domieszkę saletrzanu srebra do wina, podanego mu do Mszy św. Zamach ten miał wywrzeć silne wrażenie na prezydencie Castro. Domieszkę gwałtownej trucizny do wina na czas spostrzeżono. O usiłowanie otrucia arcybiskupa podejrzany jest pewien duchowny.

* * *

Aresztowanie Gapona. Z Petersburga donoszą do Londynu, że aresztowano tam znanego popa Gapona. Zakrawa to na komedyę.

Humorystyka.

Improwizacya Jagny.

Ej Mateusz, ej Mateusz!
Cudzej baby nigdy nie rusz,
Bo chłop porwie za kłonicę,
I zepsuje ci kapelusz...
Oj Jacenty, oj Jacenty,
Nie puszczaj się na wykręty,
Bo jak się twe babsko dowie,
To będziesz miał łeb spuchnięty.
Ej Barnabo, ej Barnabo,
Nie wojować tobie z babą,
Baba jeść nie ugotuje
I będzieć na wnętrzu słabo.
Ej Marcinie, ej Marcinie,
Ustąp lepiej kobiecinie,
Bo jak ta terkotać zacznie
To stuk będzie jak we młynie,
Ejże Janie, ejże Janie,
Nie zabawiaj się w kochanie,
Bo wyleci Magdy ojciec
I sprawi ci tęgie lanie.
Ejże chłopy to zmiarkujcie
I z babami nie wojujcie,
I ty Maćku i ty Wojtku
I ty nawet panie wójcie.

Jagna.

Wybrnął.

W redakcyi „najpotyczniejszego“ pisma.

Recenzent: Kolego, jak się pisze: tempo? (przez em czy przez ę?)

Kolega: Hm, to zależy — a zresztą: albo ja wiem...

Recenzent: Kolego, wiecie co, mam doskonałą myśl. Napiszę: „tempo szło tępo“ i teraz mnie nikt za złą ortografię zwymyślać nie może.

Symptomy podejrzane.

— Doktorze, nie wiem, co się stało z moją żoną.

— No, co takiego? Pewno ma ataki sercowe?

— Otóż właśnie że nie!

— Mdleje?

— Także nie!

— Spazmuje, płacze?

— Nie, nie!

— Oho! to coś poważnego. Muszę pańską żonę odwiedzić.

Wielkiemu aktorowi O. Gaponowi.

Ja lubię dobrą komedyę —
Dla tego, wyznaję szczerze —
Ze mnie już Molier, ni Fredro,
A nawet Szekspir nie „bierze“.
Wcale już mnie dziś nie bawi
Świat płócien swą atmosferą,
Bo to są wszystko parodye —
Ja lubię komedyę szczerą!

I pocóż płacić mam lożę,
A potem złościć się, zżymać,
Gdy fuszerują na scenie,
Ze aż nie można wytrzymać,
Po co, gdy w koło po świecie
Taki jest komizm rozsypan,
Tyle szczerego humoru —
Ze można pęknąć — dalipan!

Ot weźmy jeno naprzykład,
Choćby z najnowszej kroniki:
Czyż O. Gapon — męczennik
Nie komik to nad komiki?
Wódz ludu, prorok natchniony,
Pod godłem najświętszem krzyża
Chce ponieść śmierć za miliony! —
W kręg bóstwa jasność rozszerza.

Tymczasem pod maską świętą
Śmieje się w kułak szalenie,
Drwiąc w duchu: „Rola Judasza
I dziś w znacznie lepszej jest cenie.
Judasz za Chrysta trzydzieści
Srebrników chapnął — nie więcej,
Mnie Witte za krew niewinnych
Sypnął trzydzieści tysięcy“.

Brawo! Gaponie! Przyznaję,
Pysznieś świętego udawał —
Cały świat świetną grą swoją
I mnie też wziąłeś na kawał.
Dziś krew rozlawszy zdradzonych,
Kpisz, pieszcząc w garści rubelki.
A ja ci składam uznanie:
„Tyś aktor naprawdę wielki!“

R. P.

Współczucie.

...Przez trzy tygodnie pływały nieszczęśliwe kobiety w łódce po morzu bez nadziei ocalenia.

Elegantka: Biedaczki i zawsze w tym samym stroju?...

Oczekują.

— No, a jakże tam pani przyjaciółka, zamężna?

— Dotychczas nie, właśnie jeszcze czekamy.

A na co właściwie?

Na męża.

Sarmancki dentysta.

Pannę Wandę bolał ząbek
Miała buzię niby trąbę,
A więc poszła do dentysty,
By założył w dziurkę plombę.
Czy to tak boleć będzie?
Z strachem pyta się panienka.
— Ach to głupstwo? — rzekł dentysta
Niech się pani nic nie lęka.
My ukarać go musimy,
Zaraz go się z ust wyprosi,
Że, w tak ładnem pomieszkaniu
Śmie dokuczać swej gosposi!...

Bardzo łatwo.

Adwokat. Racz pan przyjąć pod uwagę, iż sprawa pańska jest bardzo skomplikowana, że występować będę przeciw najznakomitszemu naszemu adwokatowi...

Klijent. Ach, panie mecenasie, doprawdy nie wiem, czem ja się panu odwdzięczę...

Adwokat. No, co znowu! Z chwilą, gdy zaczęły kursować pieniądze, zadanie to jest bardzo ułatwionem...

Scena małżeńska.

— Jak ty się nie wstydzisz od samego rana być tak pijanym!

— Nie od rana, tylko od wczorajszego wieczora... Że też ty zawsze musisz przesadzać!

Niema obawy.

Kupiec pewien zrobił niebardzo uczciwą plajtę i ofiarował wierzycielom po fenygu za markę.

- Czy nie wstyd ci będzie — pyta go przyjaciel — spotykać się z twoimi wierzycielami?

— Niema obawy... Oni chodzić będą piechotą, a ja będę jeździł powozem.

W starej kawiarni.

— Cóż to? u was, jak widzę, więcej służby, niż gości!...

— Bo, proszę pana, właściciel chce, żeby na te ciężkie czasy nie było widać pustek w kawiarni.